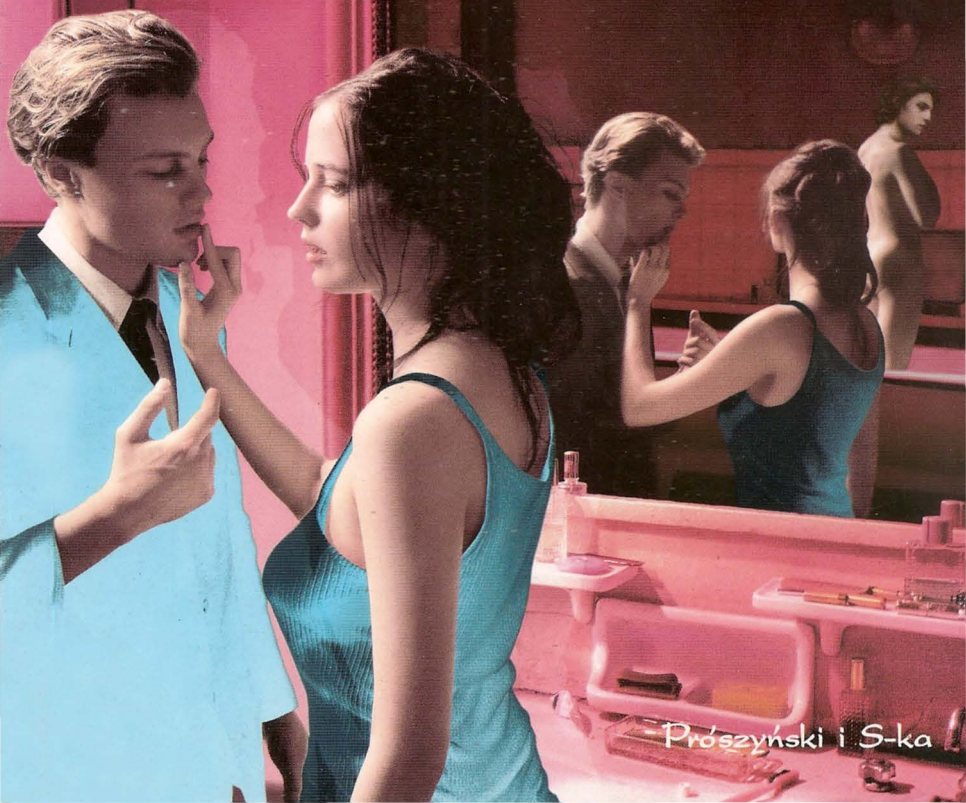


Gilbert Adair

# MARZYCIELE



Prószyński i S-ka

Gilbert Adair

**MARZYCIELE**

Przełożył  
Maciej Świerkocki

Prószyński i S-ka

---

Kochani Danielle i Guillaume,

Jak się przekonacie, zapożyczyłem od Was imiona, twarze, gesty – tu wykorzystałem jakieś powiedzonko, tam zaś część garderoby. Jednym słowem, pożyczyłem tylko zysk, kapitał pozostawiając nietknięty. A jeśli niniejsza książka jest powieścią z kluczem, jest to jedynie klucz do osoby autora i jego własnych fantazji.

*A vous deux, donc, vendredis de ma solitude, mon livre est offert, comme il fut écrit, avec amour.*

Gilbert

---



*L'imagination au pouvoir*  
(Graffiti)



# CZĘŚĆ PIERWSZA

*Paryż. Luty 1968*





**K**inoteka Francuska znajduje się w XVI Dzielnicy, pomiędzy aleją Albert-de-Mun i esplanadą Trocadéro. Przywodzący na myśl czasy Mussoliniego monumentalizm Palais de Chaillot, gdzie mieści się Kinoteka, wywiera takie wrażenie na kinomane, który odwiedza to miejsce po raz pierwszy, że gratuluje sobie, iż przyszło mu mieszkać w kraju darzącym ogromnym poważaniem film, który gdzie indziej należy do najmniej szanowanych sztuk. Dlatego rozczaruje się jednak, kiedy przyjrząwszy się bliżej budynkowi, odkryje, że sama Kinoteka zajmuje jedynie skromną część gma-szyska, a wchodzi się do niej niemal potajemnie piwnicznym, ukrytym z boku wejściem.

Można się tam dostać na przykład z placu du Trocadéro – przechodząc w tym wypadku przez esplanadę pełną obiboków, ludzi zarabiających na życie grą na gitarze, zakochanych, wrotkarzy, czarnoskórych sprzedawców pamiątek, małych dziewczynek w kraciastych sukienkach, spacerujących w towarzystwie angielskich albo niemieckich opiekunek, i podświetlanych fontann, które czasami kontynuują swe niewidzialne występy długo w noc, niczym pozbawieni publiczności kuglarze. Ale można też iść do Kinoteki cienistą dróżką, biegnącą równoległe do alei Albert-de-Mun, wtedy zaś wkracza się do czegoś w rodzaju japońskiego ogrodu, skąd pośród krzewów skąpanych w elektrycznym świetle widać odlaną z żelaza Fudzijamę wieży Eiffla.

Jednak bez względu na to, kto skąd przychodzi, trzeba w końcu zejść po schodkach do foyer, którego nieco onieśmielającą surowość łagodzą kinetoskopy, praksynoskopy, mechaniczne mu-toskopy, ciemnie optyczne, latarnie magiczne i inne naiwne,

urzekające zabytki prehistorii kina, stanowiące jedyną dekorację tego wnętrza.

Trzy razy co wieczór, o osiemnastej trzydzieści, dwudziestej trzydzieści i dwudziestej drugiej trzydzieści, miłośnicy kina dokonują inwazji na okalający Kinotekę ogród.

Jednak prawdziwi fanatycy, *rats de la Cinémathèque*, „szczury Kinoteki”, które przybywają tu na seans o osiemnastej trzydzieści i bardzo rzadko wychodzą przed północą, na ogół nie bratają się z nieco mniej zbzikowanymi na punkcie kina gośćmi, dla których wizyta w Chaillot oznacza jedynie tani wieczór na mieście.

Fanatycy uważają ich za dyletantów. Gardzą nimi tak, jak ryby zapewne gardzą pływakami.

Tutejsza kinomania kieruje się bowiem zasadami tajemnego stowarzyszenia, kabalizmu albo wolnomularstwa. Dlatego trzy pierwsze rzędy na parterze to terytorium podlegające wyłącznej władzy *rats*, których nazwiska należałoby wyryć na oparciach foteli na podobieństwo nazwisk hollywoodzkich reżyserów, wypisywanych za pomocą szablonów na oparciach składanych płóciennych krzesłek. Te napisy, jak *Mr Ford* albo *Mr Capra*, na fotografiach bywają na ogół nieznaczące, acz nigdy nie całkowicie przesłonięte barkami i ramionami filmowców, których uśmiechnięte, ogorzałe od słońca oblicza spoglądają w obiektyw aparatu fotografa.

Czyż *rats*, ci fanatycy, nie są dziećmi nocy, prawdziwymi wampirami, spowitymi w peleryny swoich własnych cieni?

Jeżeli siadają tak blisko ekranu, to nie po prostu dlatego, aby obcować z filmem niby Ludwik II Bawarski, oglądający „Lohengrina” albo „Tannhäusera” z wysokości swojej *loge* w zupełnie pustej operze, ale dlatego, że nie mogliby ścierpieć, gdyby nowiutkie, jeszcze wilgotne obrazy nie docierały w pierwszej kolejności do nich, nim pokonają płatki kolejnych rzędów, nim niczym sztafetowa pałeczka przebędą drogę z rzędu do rzędu, od widza do widza, i wreszcie zanim zmęczone, wyblakłe, splugawione, zużyte, zredukowane do żałosnych wymiarów znaczka pocztowego i zupełnie zlekceważone przez zgiętych wespół kochanków w ostatnim rzędzie nie powrócą z ulgą do swego źródła – kabiny projekcyjnej.

A poza tym przecież ekran to naprawdę ekran. Przesłona. Ekranuje więc i osłania ich przed światem niby mąż, który przy śniadaniu wznosi pomiędzy sobą i zaniedbaną żoną zaporę porannej gazety.

– Widziałeś już Kinga?

Tego wieczora ogród Kinoteki opanowała wiosna. Zdobna w kępki krokusów i pierwszych fiołków, wytryskających znikąd niczym wyczarowane przez magika bukiety kwiatów z bibuły.

Było dwadzieścia po szóstej. Dwa sinusoidalnie lewoskrętne słupki z emaliowanego żelaza nadawały wejściu na stację metra wygląd portalu secesyjnego Piekła, z którego na placu du Trocadéro wyłoniło się troje nastolatków. Skręcili na ścieżkę biegnącą wzdłuż alei Albert-de-Mun. Pytanie zadał młodzieniec najwyższy z całej trójki. Był szczupły, muskularny, ale przygarbiony, toteż koślawość ramion kontrastowała wyraźnie z jego konstytucją fizyczną.

Łatwo było sobie wyobrazić, że pod ubraniem chłopaka kryją się ostre jak płetwa rekina łopatki i delikatnie wyrzeźbione kostki stóp – choć może raczej dwie pary skrzydełek Merkurego.

Ubranie kupione na wyprzedazy – połataną sztruksową kurtkę, niedopasowane do niej kolorystycznie sztruksowe spodnie, których zmarszczki zbiegały się pod kolanami w workowatą nicość, i skórzane sandały, opinające paskami kielki włochatych wełnianych skarpetek o barwie morskiego błękitu – młodzieniec ów obnosił z *genialnością*, którą Stendhal przypisuje gdzieś wysiadającej z powozu damie. Nazywał się Guillaume – miał siedemnaście lat.

Jego siostra, Danielle, była o godzinę i piętnaście minut młodszą od brata. Nosiła kapelusik przypominający kształtem hełm i miękkie białe boa z lisa, które co kilka minut przerzucała przez ramię z taką niedbałością, jak gdyby to był ręcznik bokserski.

Reszta jej garderoby nie pochodziła z lat dwudziestych, ale wystarczył kapelusz i futrzane boa, by można ją było wziąć za muzę z tamtej epoki. Od głupkowatej panienki, dla której tego rodzaju akcesoria stanowią tylko przejaw mody, dzielił ją jednak dystans, jaki dzieli dwóch biegnących ramię w ramię biegaczy, z których jeden zdublował już drugiego. Od dzieciństwa nie nosiła nowych rzeczy, a ściślej rzecz biorąc, nigdy nie wyrosła z dziecięcej miłości do wypłowiałych babcynych sukni, w które lubiła się stroić – wrastała w nie raczej i przywłaszczała je sobie.

Tamtą głupawą panienką często wpatrywała się w nią uporczywie, dumając, jak ona to robi. A Danielle nie korzystała nigdy z magicznych zwierciadeł – i na tym polegała jej tajemnica. Jak powiadała wyniośle:

- To wulgarnie ciągle przeglądać się w lustrze. Lustra są po to, żeby podglądać obcych.

Próżność, z natury bowiem była próżna, stanowiła element jej duchowego świata.

Guillaume skierował powyższe pytanie nie do siostry, lecz do idącego u jej boku chłopaka. Matthew, dziewiętnastolatek, był wśród nich najstarszy, wyglądał jednak najmłodziej. Kruchej budowy ciała, niczym pięściarz wagi piórkowej, nie miał jeszcze zarostu. Był ubrany w zaprasowane w kant dzinsy, obcisły niczym druga skóra pulower i białe adidasy. Wydawało się, że chodzi na palcach, choć wcale na palcach nie chodził.

Miał zwyczaj pstrykać się w nos krótkim, drobnym palcem wskaźującym. Paznokcie obgryzał albo przycinał do żywego mięsa.

Jest taka opowieść o faunie, który przychodził na brzeg górskiego jeziora, ale nigdy nie udawało mu się napić wody, ponieważ odwracał wciąż głowę, chcąc się upewnić, że nie zagraża mu przyczajony gdzieś w pobliżu wróg, umarł więc w końcu z pragnienia. Matthew do złudzenia przypominał owego fauna, bo nawet odpoczywając, zerkał przezornie na boki.

Pochodził z Zachodniego Wybrzeża Stanów Zjednoczonych, z San Diego, ze szczęśliwej rodziny o włoskich korzeniach, z którą przed przyjazdem do Francji nigdy się nie rozstawał.

W Paryżu, gdzie studiował filmoznawstwo, czuł się do bólu niezręcznie i obco, niczym wiktoriańska postać, wklejona do surrealistycznego kolażu. Przyjaźń z Danielle i Guillaume'em, dojrzałą w białym cieniu ekranu Kinoteki, uważał za łaskę, której oczywiście nie był godzien, toteż żył w obawie, że pewnego dnia jego przyjaciele dojdą do mniej więcej takiego samego wniosku.

Przerażeniem napawało go również przeświadczenie, że nie odczytał poprawnie poufnej klauzuli ich związku. Zapomniał jednak, że przyjaźń opiera się na umowie, która nie może zawierać tajnych klauzul – a zatem uczucie, jakim darzył ich oboje, musiało być czymś nieco innym niż przyjaźń.

Człowiek samotny myśli wyłącznie o przyjaźni, jak, nie przymerzając, człowiek prześladowany o zemście. Gdyby jakiś dżin albo anioł stróż obiecał spełnić jedno jego życzenie, Matthew poprosiłby zapewne o maszynę, której, jak dotąd, niestety, nie wynaleziono, a która za naciśnięciem właściwego guzika informowałaby go, gdzie w danej chwili znajdują się jego przyjaciele, co

porabiają i w czym towarzystwie. Matthew należał do tego rodzaju ludzi, którzy wystają pod oknami ukochanych do późnej nocy; usiłując rozszyfrować cienie kładące się przelotnie na żaluzjach.

*Ukochani.* Czy Danielle i Guillaume to jego ukochani? Matthew odczuwał wobec nich półmiłość, którą należy rozumieć tak, jak słowo „półmrok”, a w półmroku jego półmiłości różnice między płciami stawały się nieco mgliste i niewyraźne – nie zanikały jednak całkowicie.

W domu, w San Diego, jeszcze zanim przyjechał do Paryża, jego najlepszym przyjacielem był pewien futbolista, którego symetryczne rysy szpecił złamany nos. Najlepszy przyjaciel zaprosił go kiedyś, by spędził u niego noc. Na łóżku leżały porozrzucane brudne koszulki i slipy, ścianę zdobił plakat z Bobem Dylanem i proporczyk uniwersyteckiej drużyny futbolowej, a w kącie pokoju piętrzył się stos gier planszowych. Z dolnej szuflady komódki przyjaciel wyjął dużą, płową niczym opalenizna kopertę, po czym rozłożył jej zawartość na dywanie. Były to zdjęcia o jakby śmietankowej fakturze, wycięte z kolorowych pism o sporcie i modzie, przedstawiające, w większości z profilu, młodych, mniej lub bardziej rozebranych mężczyzn. Oszołomiony Matthew pomyślał, że przyjaciel czyni w ten sposób wyznanie i oczekuje od niego tego samego. Przyznał się więc do czegoś, z czego aż do tamtej chwili nie zdawał sobie sprawy – a mianowicie, że i jego pobudza męska uroda: nadzy chłopcy o brodawkach jak gwiazdy.

To spontaniczne wyznanie napełniło jego najlepszego przyjaciela głębokim obrzydzeniem. W prezencie na osiemnaste urodziny rodzice zamierzali zafundować mu operację plastyczną, to zaś, co Matthew mylnie uznał za zestaw zdjęć erotycznych, stanowiło w rzeczywistości antologię modeli najróżniejszych męskich nosów – więc Matthew z bijącym sercem wrócił ukradkiem głuchą nocą do domu.

Postanowił, że nigdy więcej nie pozwoli się złapać w podobną pułapkę. Na szczęście drzwi ukrycia, z którego na chwilę wyszedł, okazały się obrotowe. Nie chcąc zdradzić swojego własnego sekretu, najlepszy przyjaciel nie pisał ani słówka o niedyskrecji, jaką popełnił Matthew.

Potem Matthew zaczął się onanizować: raz, czasem dwa razy dziennie. By sprowokować przesilenie, wyczarowywał w wyobraźni długonogich młodzieńców, ale kiedy fale niemal zrywały już tamę,

zmuszał się do rozmyślania o dziewczętach. I ta gwałtowna zmiana frontu weszła mu w krew. Zachowywał się jak dziecko, któremu czyta się bajkę: jego samotne orgazmy nie tolerowały najmniejszych nawet odchyień w stosunku do przygotowanego wcześniej scenariusza i haniebnie paliły na panewce, jeśli jakimś nieszczęśliwym zrządzeniem losu zdarzyło mu się pominąć kulminacyjny zwrot akcji.

Są różne rodzaje ognia: ogień, który płonie, ogień, który grzeje, ogień, od którego zajmuje się las, i ogień, przy którym zasypia kot Stéphane'a Mallarmé. Podobnie jest z pożądaniem seksualnym. Regularny seks ze stałym partnerem to forma masturbacji. Członek, który wydawał się dawniej równy największym cudom świata, niczym aleksandryjska latarnia morska i wiszące ogrody Babilonu, staje się w końcu znany partnerowi równie dobrze, jak własny – sfatygowany i wygodny niczym stary bambosz. Twierdzenie owo zachowuje jednak ważność także przy braku partnera, toteż Matthew i jego ciało przestali wkrótce wzbudzać w sobie wzajemne pożądanie.

Aby je ożywić i na nowo rozniecić utraconą, transgresyjną iskrę, systematycznie powtarzał teraz gafę, na myśl o której serce mu waliło niby młotem. Jak zacny mały katolik, zaczął przystępować co tydzień do spowiedzi w angielskim kościele przy alei Hoche.

Skłonność do spowiedzi stanowiła jedną z jego wad. Przyznawanie się do banalnych plugastw, które popełniał, paliło go boleśniej niż ich praktykowanie. Stęchła wilgoć konfesjonału przypominała mu widziany kiedyś w „Paris Match” fotoreportaż, przedstawiający prostytutki siedzące w swoich kabinach w Rio czy Valparaiso – na ich wspomnienie niemal zawsze doznawał erekcji. Natomiast jeśli idzie o niezbędny w spowiedzi konflikt wewnętrzny, to wywoływało go smakowite poczucie upokorzenia, jakiego niechybnie doznawał, wyliczając, ile razy „się dotykał”.

Albowiem łatwiej jest przyznać się do zabójstwa niż do masturbacji. Morderca niezawodnie zostanie wysłuchany z szacunkiem. On sprawia księdzu frajdę.

Czy pisarz może przemycić do książki opowieść zbytęcną w obliczu pozostałej treści dzieła? Tak, o ile owa opowieść charakteryzuje jakąś postać. A zatem wypada nam tu podkreślić fakt, że półmiłość Matthew nie była zwykłym frazesem, albowiem roztaczała wokół swoisty czar – i miała swe blaski i cienie.

W czasach poprzedzających początek tej książki Matthew spotykał się z koleżanką ze studiów, Dominique, wesołą, filigranową dziewczyną – choć przymiotnik „filigranowa” nie posiada francuskiego ekwiwalentu. Dominique była „po słowie” z niejakim Erikiem, jedynym spadkobiercą ogromnej fortuny, którą jego rodzina zbiła na produkcji napojów chłodzących. Kochali się praktycznie każdej nocy, ale poza tym Eric nudził ją – choć trzeba przyznać, że nie interesowało go, czym się zajmuje Dominique pod jego nieobecność. Pozwalał jej robić, co chce i z kim chce, pod warunkiem, że nie pójdzie do łóżka z innym mężczyzną. Był to ich *modus vivendi*, równie dobry, jak inne.

Matthew, z którym jej przyjaźń musiała w tej sytuacji pozostać platoniczna, wydawał się jej „inny”. Krótko mówiąc, bawił ją. Pewnego popołudnia, kiedy siedzieli w Ogrodzie Luksemburskim i przyglądali się dzieciom puszczającym modele żaglówek na stawie, Matthew rozbawił ją do tego stopnia, że śmiejąc się bezradnie, dostała ekstrawaganckiego ataku czkawki. Nie pomagały ani przerażające miny, ani uderzanie w plecy, toteż czkawka nie przestała dręczyć dziewczyny nawet wtedy, gdy rozstawali się już na Montparnassie u stóp wieżowca, którego sylwetka majaczyła w zapadającym zmierzchu niczym barwna klawiatura akordeonu. Dominique umówiła się tego wieczoru na kolację w „panoramicznej” restauracji na dachu, gdzie za wszystko trzeba było przepłacić; Eric lubił zapraszać ją w podobne miejsca.

Matthew jak odurzony wrócił dostojnym krokiem do swego pokoju, ponurej dziury, mieszczącej się na piątym piętrze obskurnego hotelu przy jednej z wąskich, bocznych uliczek, rozchodzących się promieniście od Sorbony. Był upalny, lipcowy wieczór, otworzył więc okno, zdjął ubranie, wyciągnął się wygodnie na łóżku i zaczął pisać czuły list do rodziców.

Wtem z maleńkiego, wąskiego dziedzińca, na który wychodziło hotelowe okno, dobiegły go niedwuznaczne odgłosy miłości, które co chwila przybierały na sile. Spazmatyczny oddech kobiety stawał się coraz bardziej urywany. Matthew wstał, podszedł do okna, a kiedy już miał je zamknąć, kobieta, pogrążona w erotycznym szaleństwie, czknęła nagle. Matthew zbladł. Zatrzasnął okno – bo odkrył wtedy skazę na jednym ze swych najjaśniejszych wspomnień.

Powróćmy więc do pytania, czy Danielle i Guillaume byli jego ukochanymi. Prawdę mówiąc, zakochał się w czymś, czym odznaczali się oboje w równym stopniu, w czymś, co było w nich identyczne, chociaż nie byli przecież bliźniakami jednojajowymi, w jakimś bratersko-siostrzanym podobieństwie, którego nie mająły cechy płciowe, a które wykwiłało najpierw na twarzy jednego z nich, potem zaś drugiego, w zależności od miny, gry światła albo kąta, pod jakim Danielle bądź Guillaume pochylali głowy.

A zatem Matthew zakochał się w jednej osobie, którą stanowiłyby Danielle i Guillaume, gdyby nie urodzili się bliźniakami.

Oczywiście nigdy nie rozmawiał z nimi o alei Hoche. Był to jedyny sekret, którego im nie powierzył. Wolałby umrzeć niż wyświadać się z tego, że się spowiada.

– Widziałeś już Kinga?

– Tak... Nie... Nie wiem.

– No więc widziałeś czy nie?

– Tak, chyba tak. Ale o ile sobie przypominam, to nic specjalnego. W każdym razie nie dorasta do pięt Borzage'owi.

Mówiąc o Kingu, Guillaume miał na myśli „Siódme niebo”, sentymentalny melodramat z lat trzydziestych, dzieło hollywoodzkiego reżysera nazwiskiem Henry King. Tę samą historię sfilmował wcześniej inny reżyser, Frank Borzage, ale to wersję Kinga mieli obejrzeć o osiemnastej trzydzieści. Przez cały marzec odbywał się w Kinotece retrospektywny przegląd filmów Kinga.

Dlaczego jednak chcieli oglądać film, który, jak twierdził Matthew, nie był „niczym specjalnym”? Musicie zrozumieć, że naszej trójce nie przyszłoby do głowy opuścić tego seansu, jak czytelnikowi prasy nie przyszłoby do głowy zrezygnować z prenumeraty dlatego, że wiadomości w ostatnim wydaniu gazety były kiepskie.

Zasiadłszy w pierwszym rzędzie Kinoteki, trzymali się na dystans zarówno od krytyków, jak i przygodnych widzów – nie pożądaliby ról sędziów ani członków ławy przysięgłych, uważali się bowiem za przyjaciół, czy może raczej gości, ogromnego, białego ekranu, który na mniej więcej dziewięćdziesiąt minut miał, niby ambasada, stać się częścią terytorium Stanów Zjednoczonych.

Zamierzali spędzić w kinie cały wieczór, toteż przynieśli ze sobą wałkówkę: kanapki i jajka na twardo, jak na piknik. Zjedzą je



w ogrodzie, w przerwach między kolejnymi seansami, a boa Danielle zostawia rozciągnięte na fotelach, by zarezerwować sobie w ten sposób miejsca.

Prowadzili fachową rozmowę – czyli mówili o kinie.

Rozmowy *rats* są nie do opisania. Wszystko w nich jest *sublime*. Wszystko jest *chef-d'oeuvre*. Nawet Matthew, który te określenia zachowywał na ogół w angielszczyźnie dla Michała Anioła, Szekspira czy Beethovena, ulegał kinomańskiej pokusie nadawania każdemu w miarę przyzwoitemu filmowi miana *sublime*, a każdemu lepszemu *chef-d'oeuvre*. Ale w sposobie, w jaki wymawiał te słowa, było coś mało wiarygodnego, podobnie jak w całym jego życiu w Paryżu. Nie potrafił zdecydować, czy należy je ścisnąć pęsetą cudzysłowu, jak człowiek nieprzywykły do jadań w restauracjach waha się na widok szyku bojowego sztucców na stole.

Nie rozumiał, że słowa, niczym pieniądze, podlegają płynnym kursom wymiany, a wskutek wielce charakterystycznej dla paryżan skłonności do inflacji językowej wyrażenia takie jak *sublime* i *chef-d'oeuvre* stały się walutą przewartościowaną.

Wrażliwi na tego rodzaju niuanse mogą być tylko ludzie zmuszeni tłumaczyć je z jednego języka na drugi. Dla Guillaume'a i Danielle problem sprzeczności w tym względzie w ogóle nie istniał. Natomiast w uszach Matthew pozbawiona wszelkiej żenady swoboda, z którą rodzeństwo przerzucało się owymi epitetami, nadając im lekkość lotek do gry w wolanta, brzmiała doprawdy wspaniale.

Skonfundowany, obawiał się, że brat i siostra odsuną się od niego i że w świetle ich liryczności jego mdły entuzjazm zostanie poczytany za potępienie, wyrażane w formie skąpej pochwały, toteż zaczął się z nimi zgadzać, a zgodność z ich poglądami uznawał odtąd za swój obowiązek.

Jeżeli Danielle schlebiała jego postawa, to nie dawała tego po sobie poznać.

A tak się właśnie złożyło, że Matthew zgodził się z jakąś uwagą, którą rzuciła, kiedy zbliżali się do wejścia do Kinoteki.

– Mój mały Matthew – odwarknęła natychmiast Danielle. – Jeżeli dwoje ludzi zgadza się ze sobą, to znaczy, że można się obejść bez jednego z nich.

Matthew przygryzł wargę.

A jednak będzie wciąż przytakiwał Danielle, pomimo jej surowości, którą łagodziła nieco okoliczność, że od kilku dni mówi-

ła mu per tu – choć Guillaume już po dziesięciu minutach pierwszej rozmowy przeszedł z nim na „ty”. Matthew zachowywał się jak gracz, który woli raczej stracić piłkę na korzyść zwycięskiej drużyny, niż zdobyć gola dla strony przegrywającej.

– Nigdy nie myślałem o tym w ten sposób – odpowiedział bezradnie. – Ale wydaje mi się, że masz rację.

Danielle odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się.

– Och, Boże, to nie ma sensu. Jesteś niepoprawny.

– Przestań się z nim drażnić – powiedział Guillaume. – Nie widzisz, że tego nie cierpi?

– Bzdura. Uwielbia, kiedy mu dokuczam. To łasuch... nie, raczej smakosz wszelkich połajanek.

Matthew zmierzył przeciągłym spojrzeniem tę straszną młodą kobietę, którą na swój sposób kochał. Otulona w boa przypominała psotną lisczkę z baletowej adaptacji prozy Beatrix Potter<sup>1</sup>.

– Gardzisz mną, wiem o tym – powiedział.

– Wręcz przeciwnie – odparła. – Moim zdaniem, jesteś niesamowicie miły. Oboje tak uważamy. Naprawdę, jesteś najsympatyczniejszą osobą, jaką znamy. *N'est-ce pas*, Guillaume?

To rozbuchane, przeciągłe, przypominające radosne rzenie *n'est-ce pas, Guillaume*, było znakiem firmowym Danielle, jak powiedzonka, po których można rozróżnić artystów kabaretowych. Jeżeli ktoś zechciałby ją sparodiować, z pewnością zacząłby od tego cytatu.

– Nie słuchaj jej, Matthew – powiedział Guillaume. – To suka. Zawsze psuje powietrze.

Wchodzili właśnie do ogrodu Kinoteki.

Każde wielkie miasto ma swój własny, charakterystyczny odgłos. W Nowym Jorku, na przykład, jest to rozbrzmiewające daleko w dole, na ulicy, wycie syreny policyjnego radiowozu, którego trasę każdy rodowity nowojorczyk potrafi odtworzyć ze słuchu, śledząc dźwięk od jednego skrzyżowania do drugiego, niemal po próg frontowych drzwi domu przestępcy. W Londynie byłby to zapewne stukot pustej puszki po piwie, przetaczającej się tam i z powrotem po podłodze wagonu metra, pędzącego z hurkotem przez

<sup>1</sup> Beatrix Potter (1866–1943) – angielska pisarka i ilustratorka literatury dziecięcej (przyp. tłum.).

tunel. Odgłosem charakterystycznym dla Paryża są natomiast rozmowy. Paryżanie oddychają rozmową. Gdyby jej ich pozbawić, zwiędliby i uschli.

Wszelako każda z niezliczonych rozmów, wypełniających paryskie powietrze, też chełpi się swoim charakterystycznym brzmieniem – posiada własny *tenor*, po którym można odróżnić ją od innych.

W ogrodzie, jak zwykle, stały grupki rozmawiających półgłosem kinomanów. Sprawiali nieuchwytne wrażenie spiskowców, toteż nie można by się zbyt dziwić na widok wielkiej czarnej bomby z zapalonym lontem, wystającym spod któregoś z wyświechtanych płaszczy przeciwdeszczowych albo anoraków, jakie miała na sobie większość z nich.

Na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało tak samo, jak w scenie odgrywanej tu każdego wieczoru o tej samej godzinie. Ale tylko na pierwszy rzut oka. Coś było nie całkiem w porządku – coś się zmieniło. Bo *rats* nie prowadziły fachowej rozmowy o kinie.

Zaniepokojony Guillaume wysforował się naprzód i podszedł do wejścia do Kinoteki, by sprawdzić, co się święci. Furtka była zamknięta. Z obu stron kłódki zwiślały bliźniacze półkola grubego stalowego łańcucha, który przypominał mu dewizki zegarków, jakie w sowieckich filmach propagandowych ostentacyjnie nosili spasieni kapitaliści. Pośrodku ktoś umieścił przekrzywioną tekturkę z wypisanym odręcznie objaśnieniem: *Fermé*.

Chcąc się dowiedzieć, co zaszło, Guillaume zbiegł po schodach, przeskakując po trzy stopnie naraz, i – przymrużając oczy – zajrzał do środka między prętami krat. Wnętrze foyer nie było oświetlone. Podłogę, której tego popołudnia nie zamiatano, pokrywały niedopałki. Nikogo nie było w kasie. Mutoskopy i latarnie magiczne, które zazwyczaj bawiły niecierpliwych bywalców papierowymi mewami, nagimi atletami i amazonkami skazanymi na to, by bez końca skakać przez krąg metalowych kółek, spoczywały w spokoju.

Poczuł mrowienie na całym ciele. Miał taką minę, jaką musiał mieć Newton, kiedy spadło mu na głowę jabłko – a raczej jednopensówka.

Ćpun pozbawiony działki nie mógł się bardziej przestraszyć.

– *Salut.*

Guillaume odwrócił się gwałtownie. Oszołomienie sprawiło, że banalne powitanie odbiło się w jego uszach echem niczym strzał z pistoletu.

Pozdrowił go Jacques, jeden z najbardziej fanatycznych *rats*, o rysach przypominających rozpustnego charta. Na widok długiego, poplamionego zamszowego płaszcza, wypchanej torby na ramieniu, ubłoconych butów, w których cholewki właściciel niezdarnie poupychał nogawki spodni, białego jak kokaina oblicza i okropnie zmierzwionych, rzędzących włosów, można było powiedzieć, że Jacques wygląda niczym strach na wróble, który przstraszył się ptaków.

– *Salut, Jacques.*

– Słuchaj, Guillaume, nie mógłbyś może...

Guillaume, wiedząc, że Jacques zamierza poprosić go o parę franków, nie pozwolił mu skończyć.

Dobrze znał ten rytuał, Jacques nie był jednak pospolitym żebrakiem. Nieodmiennie prosił o pieniądze, dzięki którym skończy „montować swój film”. Cóż z tego, że wzmiankowanego filmu nikt nie widział – ostatecznie na świecie działy się dziwniejsze rzeczy, a niektóre arcydzieła powstały za mniejsze sumy niż te, które udało się Jacques’owi wydusić przez lata z kolegów kinomanów.

Ostatnio zdobywanie pieniędzy przychodziło mu jednak z coraz większym trudem. Wiedząc, że Jacques ma zwyczaj grzebać w śmietniku na schodach przy stacji metra na placu du Trocadéro, troje jego znajomych kupiło kiedyś na Pigalle pismo pornograficzne. Wybrali najbardziej lubieżne zdjęcie, dorysowali wydobywający się z rozwartej pochwy komiksowy „dymek”, w którym jedno z nich napisało pajęczym pismem *bonjour, Jacques*, po czym w drodze do Kinoteki na seans o osiemnastej trzydzieści starannie podłożyli spreparowaną fotografię tam, skąd – czego byli pewni – wydobędzie ją Jacques, wracający z kina o północy.

Operacja przebiegła bez żadnych komplikacji, ale od tamtej pory Jacques sam skazał się na banicję z pierwszego rzędu i rzadko kiedy zamieniał choć słowo z dawnymi znajomymi. Guillaume doskonale zdawał sobie sprawę, że pozostał jedynym przyjacielem, do którego Jacques zwraca się czasami o pieniądze, zachował jednak ciepłe uczucia dla tej żałosnej istoty, którą poznał przecież w lepszych czasach.

Danielle natomiast nie chciała mieć z nim nic wspólnego. Twierdziła, że jest niedomyty i cuchnie.

– Gdyby gównu mogło srać – zauważyła kiedyś – jego kupa wyglądałaby i cuchnęła jak twój przyjaciel Jacques.

Guillaume wypytywał Jacques'a, dlaczego drzwi do Kinoteki są zamknięte, ale Danielle nie przyłączyła się do nich. Stała z boku i zapaliła papierosa, co w jej wypadku nie oznaczało nic nadzwyczajnego.

Była nałogową palaczką. Bez papierosa czuła się jak kurtyzana bez krzykliwie kolorowych pierścieni na palcach. Jednak nałogowcy są przebiegli i szybko uczą się, jak przechytryć nałóg. Strategia Danielle polegała na tym, że wyciągała papierosa z paczki i odrywała filtr. Potem dwoma ostrymi ukąszeniami paznokci kciuka i palca wskazującego dzieliła papierosa na trzy równe części, z których jedną wsuwała do lufki z kości słoniowej. W ten sposób mogła wypalić czterdzieści papierosów dziennie, nie zużywając nawet jednej paczki.

Matthew z kolei zapatrzył się w rozmarzeniu na wieżę Eiffla, której spawane kratownice właśnie w tej chwili zajaśniały nagle, jak gdyby trawił je ogień. W dogasającym świetle dnia wieża wyglądała niczym pięcioramienna gwiazda z drutu, rozplątana przez dziecko, które nie umie odtworzyć jej pierwotnego kształtu.

Wieści, jakie przekazał Guillaume'owi Jacques, nie mogły być gorsze. Zwolniono Langlois! Kurator Kinoteki, Henri Langlois, którego Cocteau nazywał „smokiem strzegącym naszych skarbów”, został odwołany ze stanowiska przez André Malraux, ministra kultury w rządzie generała de Gaulle'a.

Guillaume absolutnie nic z tego nie rozumiał.

– Jak to zwolniono go?

– To wszystko, co wiem – odparł Jacques, wciąż wypatrujący w tej rozmowie luki, w którą mógłby wcisnąć prośbę o pożyczkę. – Langlois odszedł, a Kinotekę zamknięto do odwołania. Ale wiesz co, Guillaume...

– Dlaczego Malraux miałby zrobić coś takiego? Przecież to bez sensu.

– Och, wiesz, zarzuty pewnie są te same, co zwykle. Chaos, bałagan, mania wielkości. Skąd my to znamy.

To prawda, że Langlois nie przypominał innych kuratorów. Puszki z taśmą filmową trzymał rzekomo w wannie i ponoć zapodział gdzieś unikalne kopie wielkich, klasycznych filmów, które ratował jednak w czasie wojny, jak inni spadochroniarzy. Zabójczo, a w każdym razie zaczepnie wystrojony w jeden ze swoich ulubionych, rozchełstanych trzyczędowych albo i czteroczędowych, monstualnych garniturów, przechadzał się po scenie Kinoteki niby kapitan żeglugi wielkiej po mostku swojego szkunera, za jego plecami rozwijał się zaś smukły, biały żagiel ekranu.

Langlois uważał, że skarbów należy strzec, utrzymując je w ruchu. Był ekscentrycznym kuratorem, który chętnie pokazywał filmy. Jego zdaniem, przesuw taśmy w projektorze dobrze służył dziełom. Różnił się w tym względzie od wielu swoich kolegów, którzy upierali się, że projekcje szkodzą filmowi – co poniekąd brzmi jak powiedzenie, że uśmiech szkodzi twarzy.

Projekcja jednak, niczym uśmiech, powoduje zmarszczki. Koledzy po fachu oskarżali zatem Langlois, że trwoni narodową ojcowiznę. Mówili, że w dzisiejszych czasach już nie wolno trzymać filmów w wannie.

Tak czy inaczej, trudno było pogodzić się z myślą, że kurator Kinoteki został zdetronizowany tak bezceremonialnie. Langlois stał się bowiem instytucją w takim samym sensie, w jakim była nią placówka, którą założył.

Guillaume, który niemal nigdy nie czytał prasy, zapragnął nagle kupić gazetę. Szczegóły – chciał poznać szczegóły. Dlatego mechanicznym ruchem wyciągnął z kieszeni garść drobnych i wcisnął je Jacques'owi w dłoń, nie przesiewając monet. Biorąc pod uwagę wiadomość, którą przekazał mu chłopak, był niemal gotów uwierzyć, że płaci dolę informatorowi.

To, co się stało, spadło na Danielle i Matthew jak grom z jasnego nieba.

Danielle nie należała do kobiet, które nie mogą oprzeć się podejrzeniu, że śmiech nadaje im plebejskie rysy. Przeciwnie, nigdy nie bała śmiać się w głos, całym ciałem – a kiedy ogarniało ją zdumienie, otwierała szeroko oczy jak dziecko i równie dziecinnie wzdychała, czym ktoś, kto mógłby ją zobaczyć w takiej chwili, byłby zapewne mile zaskoczony. Ten śmiech i te westchnie-

nia w pewnym sensie ją ucieleśniały, bez nich bowiem pozostała-by eteryczna i niematerialna jak hologram.

– To nieprawda – oświadczyła z przekonaniem godnym jasnowidza. – To musi być pomyłka, zobaczycie. Langlois poszedł tylko na dywanik za jakieś drobne niedopatrzenie. Kinotekę otworzą najdalej jutro, a może nawet jeszcze dzisiaj wieczorem.

Zachowywała się niby kobieta, która siedząc wygodnie w fotelu, słyszy strzał z broni palnej, ale mimo wszystko wmawia sobie, że strzelił tylko samochodowy gaźnik.

– Posłuchaj, Danielle – powiedział Guillaume. – Odsłoń uszy, które owinęłaś tymi upiornymi lisimi zwłokami, i chociaż raz posłuchaj. Powtarzam ci, co mi powiedział Jacques, ni mniej, ni więcej.

– Skąd Jacques może wiedzieć takie rzeczy?

– Od Victora Peplosa. (Victor Peplos należał również do *rats*, nosił zaś ów przydomek ze względu na upodobanie do tanich włoskich eposów filmowych, w których ogorzali Tezeusze i Herkulesi nieskromnie prężą bicepsy pod gustownymi togami). – A Victor z kolei dowiedział się o wszystkim od któregoś z bileterów. Langlois odszedł na zawsze.

– Zobaczysz, że to nieprawda – odpowiedziała Danielle i gestem wszechwiedzącej kobiety stuknęła się palcem w nos.

Kinomani rozeszli się tymczasem, by wypić *menthes à l'eau* w jednej z kafejek przy placu du Trocadéro. Światło w ogrodzie stało się stonowane, jednorodne, niemal niewidzialne, i nawet najlżejszy powiew nie mącił jego równomiernie rozproszonej tafli. Spowite tą mgłą zarośla – przeczesywane z lewego brzegu Sekwany w regularnych odstępach przez inne, znacznie bardziej skupione światło w postaci świetlnego stożka, balansującego na czubku wieży Eiffla niby żyroskop – zaczęły pogrążyć się w cieniu i wydawało się, że wyrastają z nich skrzydła nietoperzy, przywodzące na myśl pewną osobliwą rzeźbę na cmentarzu w Genui.

Przed zakratowaną Kinoteką siedziała spleciona w uścisku ztwardziała w nieskromności para. Młodzi ludzie co chwila bez wytchnienia atakowali nawzajem swoje usta. Korygując kąt nachylenia głów, barków i ramion, niby akrobaci szykujący się do potrójnego salta, nie mieli niemal okazji, by zaczerpnąć tchu. Kochali się tak przyziemnie, prymitywnie i bezwstydnie, że antro-

polog mógłby wziąć ich zachowanie za jakiś plemienny rytuał inicjacyjny albo taniec godowy.

Matthew zadrżał. Na widok ich rozpromienionych twarzy poczuł się jak bladolicy wymoczek.

– I co my teraz zrobimy?

Guillaume chciał kupić „Le Monde”. Zrobi to w drodze do domu, ale najpierw zjedzą kanapki i jajka na twardo na esplanadzie Trocadéro.

Esplanada była zatłoczona, bo ciepły, łagodny wieczór wywabiał na zewnątrz faunę tej czarownej równiny. Na spadzistym zboczu, spływającym na nabrzeże Sekwany, stały w równych odstępach szeregi pustych butelek po coca-coli, pomiędzy którymi ze straszliwą prędkością śmigali slalomem wrotkarze, wyginający do tyłu grzbiety niczym orzechówki; w ostatniej chwili udawało się im uniknąć upadku do rzeki głową w dół dzięki jakiemuś skomplikowanemu, bocznemu poślizgowi. Niebawale wysoki, szczupły, czarnoskóry chłopak w cienkiej błękitnej kamizelce i szortach zrobionych z dzinsów o obciętych nogawkach, pucybut, którego połyskliwa skóra mogła służyć jako żywa reklama jego rzemiosła, odsunął na moment na bok pudło ze szczotkami i pastą, przypiął wrotki i jał majestatycznie krążyć w koło, wyprostowany jak struna, z rozpostartymi rękami, w postawie ukrzyżowanego czarnego Jezusa. Spod ramion krzyża wyrastały lśniące, jedwabiste włosy.

Znaleźli osłonięte miejsce z widokiem na tę scenę i usiedli, machając nogami i gryząc chrupiące bagietki.

Za wspólną, milczącą zgodą nie wspominali o Langlois ani o kinie. Mówiła Danielle. Mnich z zakonu trapistów obowiązany jest złożyć przysięgę milczenia, ona natomiast poprzysięgła mówić. Opatrywała przypisami spektakl, który rozgrywał się w dole pod ich stopami. Bawiła się w Boga. Bezcześnie przypatrując się nastolatce o przypominających brunatne kulki oczach, oliwkowej cerze i załączkowym wąsiku, rzucała uwagi w rodzaju:

– Cóż, oczywiście, taki typ kobiety także musiał pojawić się na świecie, bez względu na to, co można o tym myśleć.

Na widok młodego blondyna w okularach o przezroczystych oprawkach, łagodzących spojrzenie, które inaczej można byłoby uznać za nazbyt przenikliwe, powiedziała:



– Śmiał twierdzić, że ja subtelniej zarysowałabym mu kości policzkowe – (to znaczy: gdybym była Bogiem) – chociaż końcowy rezultat i tak jest całkiem niezły, słowo daję.

Gdy wypatrzili kuriozalny tandem, przechadzający się między fontannami, dwóch niewidomych albinosów, trzydziestoparoletnich braci, identycznie ubranych jednojajowych bliźniaków z białymi łaskami w rękach, którymi postukiwali razem rytmicznie, lewo, prawo, lewo, prawo, jak perfekcyjnie wyszkoleni gwardziści, Danielle zaczęła znów swoje, tym razem z innej beczki:

– No tak! Muszę przyznać, że ja na coś takiego nigdy bym nie wpadła!

Skończyli jeść. Zaczął padać deszcz. Danielle, która nie lubiła wychodzić z domu podczas aury, która ją „dotyka”, uparła się, żeby pojechali metrem, choć Matthew i Guillaume woleli wracać pieszo, nabrzeżem wzdłuż Sekwany.

Wysiedli na stacji Odéon. Guillaume i Danielle poszli do rodziców, do mrocznego, zastawionego książkami mieszkania w kamienicy między placem de l'Odéon i kościołem Saint-Sulpice. Ich ojciec był poetą o dobrze ugruntowanej, ale kultowej renomie. Co pięć lat wydawał cienki tomik, rzadko zawierający więcej niż dziewięć albo dziesięć subtelnie i wytwornie rozmieszczonych słów na stronie.

Matthew pożegnał się z przyjaciółmi i wrócił piechotą do swojego hotelowego pokoju w Casbah, w Dzielnicy Łacińskiej.

Ów „dwugwiazdkowy” hotel był, w gruncie rzeczy, arabskim burdelem, wciśniętym między antykwariaty, targowiska z dżinsami, maleńkie, studyjne kina artystyczne, prosperujące na spartańskiej diecie Bergmana i Antonioniego, i coś w rodzaju tunezyjskiej *charcuterie*, gdzie za jednego franka można było dostać pyszne jagnięce albo baranie kebaby, świeżo wykrawane z przypominającego odwróconą piramidę udźca, a także gumowate ciasto z cytrynowym lub miodowym kleistym nadzieniem. Dziedzińcowi hoteliku, na którym konwulsyjny atak czkawki eksplodował w jego głowie jak ogień karabinów maszynowych, dopisano ścieżkę dźwiękową niby z neorealistycznego filmu włoskiego: składała się na nią muzyka orkiestry tanecznej, płaczące niemowlę i dźwięki sol-fa albo „Dla Elizy”, których wygrywanie ćwiczył ktoś na kiepsko nastrojonym fortepianie.

Sen jest duchem, którego nie można zmaterializować aktem woli. Jak większość duchów, szybko uzależnia się od dekoracji spirytystycznych seansów: nakrytych woalami lamp, zasłoniętych kotar, cierpliwości i ciszy. Sen zależy jednak także, a może przede wszystkim, od łatwowierności śpiącego i jego naiwnej gotowości, by uwierzyć, że za kilka chwil (o ile śpiący upewnił się przed zaśnięciem, iż wszystko jest w porządku i nic mu nie zagraża) popadnie w samoindukowany trans. Tylko wtedy sen pozwala się przywołać, by wymiotować później nieprzezroczystą, straszną ektoplazmą rojeń.

Matthew nie dowierzał okultystycznym ponętom snu. Tej nocy śnił jednak, a sen mieszał mu się z pewnym wspomnieniem z rzeczywistości. Było to w Londynie, w drodze do National Gallery. Na ulicach wokół Trafalgar Square kłębił się tłum ludzi. Matthew przystanął na ulicznej wysepce, czekając, aż światło zmieni się na zielone. Na chodniku naprzeciwko, przed muzeum, stał młody chłopak (Amerykanin? Niemiec? Szwed?) o niezrównanej fizycznej urodzie, wyglądający, jak gdyby zstąpił właśnie z ołtarza Tiepola. Czekał, żeby przejść na drugą stronę. Oczy Matthew wypełniły łzy, które wywołać może jedynie podobnie skrajna manifestacja piękna i które, jak niemieszalne ciecze w probówce uczonego, nie łączą się nigdy ze łzami wzbudzonymi z bardziej banalnych powodów. Matthew nie podejrzewał nawet, co ujrzy za chwilę – albowiem dopiero kiedy młodzieniec ruszył na drugą stronę, zauważył, że wszystkie jego członki są nieprawdopodobnie zniekształcone. Zeschnięty wskutek jakiegoś neurologicznego schorzenia chłopak poruszał się krokiem slapstickowego klauna, szaleńczo wyrzucając kolana na boki.

Dwa niemieszalne rodzaje łez nieoczekiwanie mieszały się w oczach Matthew. Targany litością dla tego czarującego potwora chciał podejść, chwycić go delikatnie za ramiona, nakazać gapiom, by cofnęli się i rozsunęli, jak należałoby postąpić, gdyby nieznamy zemdlał, a potem ucałowałby chłopaka w czoło, nakazując mu, by odszedł i chodził odtąd wyprostowany jak struna. Wówczas Matthew niepostrzeżenie wymknąłby się z tłumem, w którym wielu oszomionych cudem ludzi padłoby w modlitwie na kolana.

Jednym słowem, Matthew cierpiał na kompleks Chrystusa, czyli nieskodyfikowaną psychiczną jednostkę chorobową, która mimo to realnie istnieje.

W tym miejscu kończyło się wspomnienie, a zastępował je sen. Oto Matthew rusza bronić młodzieńca przed szydzącymi z niego przechodniami. „Serce ma jednak we właściwym miejscu!” – zawołał, używając niewątpliwie tych samych słów, które padły z ust poniekąd zdesperowanych chirurgów, badających człowieka-słonia. Przechodnie, jak zamierzający dokonać linczu motłoch, zaczęli jednak wytykać palcami Matthew. „Ale jego serce nie jest na swoim miejscu! Jego serce nie jest na swoim miejscu!” – wrzeszczeli. Na czele tej tłuszczy stała Danielle, z twarzą wykrzywioną nienawiścią bachantki. Po chwili Matthew zauważył, że młodzieniec przycupnął na szczycie kolumny Nelsona, wymachując ekranem Kinoteki niby wielką, złotą flagą, sygnalizującą kwarantannę. Matthew począł wspinać się mozolnie na szczyt kolumny. Golenie rozboleły go nieznośnie i odnosił wrażenie, że kolumna się chwieje. Stojący w dole tłum, podjudzany przez Danielle i Guillaume’a, zaczął go kamienować. Kiedy Matthew dotarł wreszcie na wierzchołek, chłopiec raptownie zmienił się w Nelsona, potem w Napoleona, po czym przybrał znów pierwotną postać. Huknął strzał. Na ekranie Kinoteki pojawiło się logo studia filmowego Paramount Pictures: ośnieżony szczyt w otoczeniu tiary gwiazd. Wtedy Matthew i chłopak, wymachujący ciągle złotą flagą, wznieśli się razem do nieba w przeciągłym omdleniu, w aureoli gwiazd wytwórni Paramount, niczym Madonna z Dzieciątkiem pędzła Murilla.

Zabrzmiał kolejny strzał. Tym razem był to telefon. Matthew rzucił okiem na stojący na nocnym stoliku budzik – okazało się, że spał nie dłużej niż siedem minut. Dzwonił Guillaume. Powiedział, że nie zapomniał kupić „Le Monde”, kiedy rozstali się na placu de l’Odéon.

Odpryski „afery Langlois”, jak nazywali ją już dziennikarze, zajmowały całą pierwszą stronę.

Była to doprawdy nadzwyczajna sprawa. Młodzi ludzie prostodusznie skupiali całą uwagę na ekranie Kinoteki, nie mieli zatem najmniejszego pojęcia, co działo się poza nim. *Coup d’etat* zaplanowano doskonale, niczym szturm komandosów, lecz finał tego wieczoru stanowił *coup de grâce*, wymuszony telegramami, którymi filmowcy z całego świata zasypywali ministerstwo kultury. Ludzie ci podarowali kopie swoich filmów Langlois i tylko jemu, po jego odejściu odmówili więc autoryzacji pokazów swoich dzieł. Zawiązał się

komitet poparcia dla byłego kuratora z kwaterą główną w ciasnych pomieszczeniach redakcyjnych pisma „Cahiers du Cinéma”. Jakby tego było mało, pracownicy Kinoteki, niechęć uznać władzy nowo mianowanego następcy Langlois, niejakiego Pierre’a Barbina, którego nazwisko uosabiało jedynie jego anonimowość, zostali dyscyplinarnie zwolnieni z pracy w trybie natychmiastowym.

Z całego tego frontalnego ataku na Langlois Matthew pojmował tylko jeden fakt, który sformułował w myślach niby aksjomat logiczny: Kinoteka zamknęła podwoje; Guillaume’a i Danielle poznał w Kinotece; ergo, od tej chwili nie będą się już spotykać.

Cień rzucany na ścianę przez słuchawkę telefonu przybrał kształt rewolweru wymierzonego w jego głowę.

– Czy to znaczy, że jutro się nie zobaczymy?

W słuchawce zapadła cisza.

Po chwili, z daleka, nadeszła odpowiedź:

– Chodzi ci o to, czy mimo wszystko nie powinniśmy pojechać do Chaillot? W tej sytuacji to chyba nie jest zły pomysł. Może do jutra wszystko się wyjaśni.

– Nie, chciałem zapytać...

Matthew zawsze łatwo poddawał się biegowi zdarzeń. Był rad, kiedy okoliczności obnażały go i unosiły falą, przypominając mu zakończenie pewnego idiotycznego, ale wzruszającego filmu, który przypadkiem oglądali razem, filmu, w którym Edith Piaf wstępuje do nieba w kolejce linowej na Montmartrze, a słowo *Fin* stopniowo przesuwa się na pierwszy plan, niczym wyjeżdżający z tunelu pociąg. Kiedy chodziło o wybór seansu, restauracji, w której mieli zjeść obiad, albo kierunku, w jakim powinni się udać, Matthew zawsze oddawał inicjatywę rodzeństwu.

Teraz jednak, po raz pierwszy w historii ich przyjaźni, ośmielił się sam złożyć propozycję Guillaume’owi.

– Czy nie moglibyśmy spotkać się po południu? Nie wiem, może poszlibyśmy na drinka?

Telefon to także swoista dziurka od klucza. Ucho podsłuchuje głos, odsiewając nieistotny szum lepiej niż tuner radiowy. Guillaume, któremu nigdy nie przyszło do głowy, by spotkać się z Matthew w taki pozaplanowy sposób – przypominał bowiem nieco ucznia, który bawi się ze wszystkimi kolegami na boisku, ale do domu na posiłek zaprasza jedynie kilku wybrańców – wyłapał w jego głosie sygnały cichego przygnębienia.

– No... – odpowiedział, początkowo z wahaniem. – Musiałbym zwać z jednej lekcji z budy. Ach, ale do jasnej cholery, dlaczego by nie? Dobra, spotkajmy się o trzeciej w „Rhumerie”. Znasz tę kawiarnię?

– Przy Saint-Germain-des-Prés? Tak, wiem, gdzie to jest – wymamrotał Matthew z wdzięcznością w słuchawkę. – Do zobaczenia.

Matthew ich przyjaźń przypominała cyrkowe akrobacje na linie, tyle tylko, że linę rozpinano za każdym razem nad inną przepaścią. Podciągnął kołdrę pod brodę i zamknął oczy. Dziś znów udało mu się bezpiecznie przejść na drugą stronę.

Z zewnątrz dobiegł go bezmelodyjny ryk syreny policyjnej z przejeżdżającego bulwarem radiowozu.

Czekał. Matthew czekał. Siedział w wiklinowym krześle na ogrodzonym, ciemnobrązowym tarasie „Rhumerie” od za dziesięć trzecia, modląc się, jak to się czasem mówi, nad szklanką lemoniady. Dochodził już kwadrans po trzeciej, a w każdym razie taką właśnie godzinę wskazywał zegar wiszący na bulwarze naprzeciwko. Matthew, który miał szczupłe, kruche i nieco kanciaste nadgarstki, nie nosił zegarka: pasek i sprzączka, opinające żyły, wywołałyby u niego nadpobudliwość, odnosiłby więc wrażenie, że jakiś bezimienny lekarz bezustannie bada mu puls. Dlatego zdawał się na zegary uliczne. Był przy tym tak przekonany, iż pierwszy zegar, na jaki zdarzyło mu się spojrzeć danego dnia, podaje właściwy czas, że bez względu na to, ile innych zegarów mogłoby mu później przeczyć, Matthew wciąż pokładał wiarę w tym pierwszym.

Czekanie. Dla kogoś, kto czeka, paradoks Zenona, który neguje możliwość realizacji wszelkich form ruchu, jest nie tyle paradoksem, ile jak najbardziej rzeczywistym przeżyciem. A Matthew doświadczał właśnie takiego paradoksu. „Guillaume, wyszedłszy od rodziców – mówił sobie Matthew – musiałby w krótkiej drodze do «Rhumerie» dotrzeć najpierw do bulwaru Saint-Germain”. Zanim jednak stanie na bulwarze, musi wprawdzie przejść na drugą stronę ulicy na skrzyżowaniu z de l'Odéon, przedtem zaś iść ulicą de Condé, a jeszcze wcześniej zejść z chodnika na jezdnię – i tak cofał się dalej, aż do chwili, w której Guillaume zastygłby niby posąg na progu swojej sypialni, z ramieniem na wprost wsu-

niętym w rękaw kurtki, stanowiąc równie wzruszający widok, jak ofiara trzęsienia ziemi w Pompejach.

Czekając, Matthew jednym okiem obserwował grupkę młodych Amerykanów, przechodzących akurat obok kawiarni. Przygarbieni pod ciężarem plecaków, przypominali żółwie. Wyekwirowani w chusty, kaftany, mokasyny, ciemne okulary, stylizowane na staroświeckie binokle, gitary i obciążone skórą manierki na wodę, wlekli za sobą wędrujące gęsiego, oszołomione dzieciaki, a prowadzeni jakimś tajemniczym instynktem wiedzieli, że ich punkt zborny znajduje się na rogu bulwarów Saint-Germain i Saint-Michel. Tam mieścił się ich amerykański rezerwat. Tam w błogim spokoju pociągali skręty z marihuaną, przekazywane z rąk do rąk niczym fajki pokoju. Tak trudno było wyobrazić ich sobie w innym *quartier*, że z łatwością można by uwierzyć, iż czarterowe samoloty amerykańskich turystów lądują bezpośrednio na placu Saint-Michel, gdzie chwilę kołują, by w końcu zatrzymać się między fontanną i arabskimi handlarzami, którzy sprzedają z jednej kieszeni haszysz, z drugiej zaś ulgowe bilety na metro. Ale dla tych Amerykanów Paryż był tylko pierwszym przystankiem w drodze do Katmandu.

Chwilami zdawało mu się, że rozpoznaje Guillaume'a, po chwili jednak dostrzegał swoją pomyłkę. Wpadał w pułapkę, której zapewne nikt z nas nie umie się ustrzec, albowiem kiedy osoba, na którą czekamy, przybywa wreszcie na umówione spotkanie, nie żyjemy nawet najmniejszych wątpliwości, że to faktycznie ona. Wszyscy otaczający ją ludzie znikają wówczas w zwariowanej, pikselowej mgłę, jak wtedy, kiedy operator filmowy zmienia ostrość, czekający zaś czuje natychmiast, że spadł mu kamień z serca.

Kamień tymczasem ciążył wciąż w sercu Matthew, a zegar wskazywał już dwadzieścia po trzeciej.

Jest takie chińskie przysłowie: *Kiedy kazesz komuś na siebie czekać, dajesz mu czas, by spisał twoje przywary*. Matthew jednak, jak można byłoby po nim oczekiwać, koncentrował się raczej na swoich własnych słabościach, uważał bowiem, że to z jego winy Guillaume nie może dotrzeć na spotkanie na umówioną godzinę. Danielle to co innego: jej wyższością czuł się absolutnie zdruzgotany. W obecności dziewczyny zawsze przypominał sobie za póź-

no, o wiele za późno, co chciał jej powiedzieć. Sądził jednak, że wobec wielkości, którą dostrzega w Guillaume, nie powinien czuć się aż takim karłem.

W istocie rzeczy jednak nie mylił się w tej kwestii tylko pod pewnym względem. Zdarzało się, oczywiście, że Matthew i Guillaume gawędzili jak równy z równym, oddając się delirycznym rozmowom kinomanów bez zahamowań, które musieli mieć na względzie w towarzystwie Danielle. Lecz nawet gdy byli sami, widmowa Danielle, niemal niedostrzegalna, jak duch, ze swoją inteligencją, błyskotliwością, drwiącą uprzejmością i swoim *n'est-ce pas, Guillaume*, migotliwie brała brata w posiadanie, jak na zmontowanych fotografiach, na których nakłada się na siebie dwa profile, by uzyskać trzecią twarz, która wydaje się zupełnie obca, gdy patrzeć na nią *en face*.

Matthew kochał właśnie tego obcego, ale miłość nie służyła mu. Zaczynał się jąkać niby bojaźliwy, zakochany pasterz w rustykalnej farsie, i łamał sobie język na najprostszych zdaniach.

Ciągle czekał. Uniesienie, jakie odczuwał, odkładając wczoraj wieczorem słuchawkę, zniknęło. Znów tańczył na linie rozpiętej nad nową przepaścią. Dochodziło dwadzieścia pięć po trzeciej.

Na chodniku przed „Rhumerie” stał uliczny grajek – młody marokański skrzypek. Grał, ze średnią wprawą, melodię pieśni „Vilja” z „Wesołej wdówki”. Matthew przypatrywał mu się uważnie zza szklanego ogrodzenia. Co chwila, kiedy w sarkastycznej, natarczywej melodii pojawiała się jakaś gasnąca fraza, muzyk podtrzymywał ją w ostatniej chwili drgnięciem smyka, zdającego wic się wokół instrumentu niby miękkie girlandy powiązanych w pęki ziół, rozwieszzone na straganach na wiejskich targowiskach.

Skrzypek patrzył wprost przed siebie. Chociaż uśmiechał się, grając, wystarczyło choćby o nim pomyśleć, by dać się ogarnąć melancholii. Pielęgnując w sobie bakterię melancholii, przypominał nosicieli chorób zakaźnych: ludzie ci nie zapadają sami na te choroby, ale nieświadomie zarażają nimi innych.

Była to jedna z chwil, kiedy Matthew stawał się bardziej podatny na tego rodzaju infekcje. Wyobraził sobie, że jest antyheroiczną postacią filmową, pochodzącą z jednego z tych wyjątkowo pretenjonalnych francuskich obrazów, których nie lubił najbardziej. Był oto wrażliwym wyrzutkiem społecznym, wędrującym samotnie

po połyskliwych, rozświetlonych neonami bulwarach, wśród radośnych, zaaferowanych przechodniów, zmierzających tłumnie w przeciwnym niż on kierunku. Tło muzyczne dzieła zapewniali bez wyjątku autentyczni grajkowie uliczni, zwerbowani osobiście przez reżysera, który podjął wcześniej szeroko nagłośnioną wyprawę poszukiwawczą na ulicach, placach, w parkach i tunelach metra. Motyw przewodni filmu – którym była, oczywiście, „Vilja” – przekazywały sobie kolejne instrumenty i grajkowie, od agresywnej staruchy spod kawiarni „Flore”, obdarzonej uśmiechem wyszczerzonym i pomarszczonym jak jej akordeon, po ślepego żydowskiego harfistę, którego przepaska na oko przypominała plac Monge, jak gdyby melodia ścigała muzykanta przez cały Paryż.

Było w pół do czwartej, kiedy na horyzoncie pojawił się wreszcie Guillaume, idący nieśpiesznie bulwarem. Nie przyszedł sam. Danielle, która nudziła się w domu, szukając rozrywki pośród książek ojca, kotów i zmurszałych stojaków na fajki, postanowiła dołączyć do brata i Matthew. Ubrała się w przedwojenny „mały” kostium Coco Chanel. Miał ozdobne spinki i guziki i był co najmniej o dwa numery za mały. Ponieważ zaś Guillaume włożył, jak zwykle, sztruksową kurtkę, sztruksowe spodnie i sandały, oboje wynagrodzili Matthew czas oczekiwania, wzbudzając niejaką sensację wśród mieszczańskich wdów, popijających lśniący, gorący grog, otulonych chustami od Hermèsa i wyposażonych w niewyczerpane zasoby medycznych oraz farmaceutycznych opowieści grozy, takie to bowiem kobiety, wraz z kilkoma milikowymi mizantropami w okularach, czytającymi „Le Monde” albo „Le Nouvel Observateur”, tworzyły klientelę „Rhumerie”.

Guillaume ani Danielle nie przeprosili za półgodzinne spóźnienie. Nie przyszło im do głowy, że przyjaciel mógłby na nich nie czekać. Guillaume przebiegł wzrokiem kartę napojów, a Danielle wzięła do ręki książkę, którą Matthew odłożył na stół. Nosila tytuł „I Ragazzi terribili”. Kartkując ją, powiedziała:

– Co takiego? Czytasz Cocteau po włosku? *Molto chic!*

Matthew zadał sobie trud, by jej wyjaśnić, że chcąc podtrzymać znajomość włoskiego, języka swoich przodków, czyta po włosku tylko te książki, które zna już na pamięć.

Ale Danielle właściwie nie zwracała na niego uwagi. Odkryła właśnie nowe powiedzonko, którym delectowała się z lubością.



Od tej chwili wszystko, co było kiedyś *sublime* – film, sukienka od Wortha, indyjski parawan z Coromandel albo eksplodująca tropikalnymi pąkami cieplarnia – stało się *molto chic*. Jak czytelnicy działu „Rozbuduj swoje słownictwo” z „Reader’s Digest”, którzy budują swoją konwersacyjną reputację na tym, ile razy dziennie zdołają użyć słów w rodzaju *superata*, *nieukontentowanie* albo *kwintesencja*, szermując nimi w sposób, w jaki inni szermują sławnymi nazwiskami – tak Danielle za nic nie chciała pozwolić, by wymknęła jej się jakakolwiek frapująca odzywka, gdy już raz wpadła jej w ucho.

Niekiedy bywały to cytaty. Na przykład powiedzenie Napoleona, że „ludzie gotowi są uwierzyć niemal we wszystko, o ile nie ma o tym mowy w Biblii”, które, choć nie była bynajmniej praktykującą katoliczką, lubiła przytaczać bez względu na to, czy mówiła *à propos*, czy nie.

Używała także kapryśnych, pieszczotliwych nazw, przywierających na zawsze do przedmiotów, którym je nadawała. Swoje radzieckie papierosy, przypominające dekadenskie, fiołkoworóżowe pomadki, przechrzciała na „rasputiny”. Kiedy zdarzało się jej gasić niedopałek w popielniczce, a mimo to jarzył się, choć kilkakrotnie usiłowała go zdusić, uśmiechała się sztucznie, udając spontaniczność, i mówiła:

– Ależ on normalnie nie chce zdechnąć! Istny Rasputin!

Tymczasem Guillaume i Matthew, przejrząwszy odbity na wielaczu program Kinoteki, uznali, że najrozsądniej będzie pojechać metrem do Chaillot o szóstej, jak gdyby nigdy nic. Mieli nadzieję, że w ten sposób obezwładnią los przez zaskoczenie. Ponieważ powstrzymali się od kupna porannej gazety, istniała wciąż szansa, choć wyjątkowo niewielka, że sytuacja w Kinotece powróciła do normy.

Czekało ich chłodne, ale nie całkiem niesympatycznie pochmurne popołudnie.

– Może pójdziemy tymczasem na jakiś film – zaproponował Matthew. – To znaczy, do kina.

– Nie ma na co – odparł Guillaume. Wyciągnął w zamyśleniu różowy papierowy parasol, osłaniający jego lody przed promieniami niewidocznego wciąż słońca, na przemian zamykając i otwierając maleńką, pajęczą kopułę, którą suwał w górę i w dół. – Sam zobacz.

Z głębin kieszeni kurtki wyłowił poplamiony atramentem egzemplarz „Pariscope” z bieżącego tygodnia i rzucił go Matthew na stół.

Filmy wymienione były w porządku alfabetycznym, a Guillaume miał w zwyczaju, zawsze w środę rano, kiedy ukazywał się tygodnik, zaznaczać koślawą gwiazdką tytuł każdego filmu, który już widzieli. Nie było w zasadzie ani jednej strony, na której marginesie nie widniałaby niemal nieprzerwana, pionowa krecha nabazgranych ręką Guillaume’a gwiazdek.

– Tak czy owak musielibyśmy iść na seans o czwartej, co oznacza, że spóźnimy się do Kinoteki – ciągnął Guillaume.

Wtedy przerwał im pełen pogardy głos:

– Chyba wam odbiło.

Danielle wydeła z niesmakiem blade, nieuszminkowane usta.

Guillaume poczerwieniał, jak gdyby zorientował się, że ich rozmowę podsłuchiwał ktoś obcy.

– O co ci chodzi? – mruknął.

– Nie zdajesz sobie sprawy, że zachowujesz się jak kompletny idiota? Dotyczy to zresztą was obu. Rozumiecie chyba, że Kinotekę zamknęto. Jest nieczynna. Dlatego jazda do Chaillot dzisiejszego wieczora to zwykła strata czasu. Obaj wiecie o tym doskonale. Gdybyście nie byli tchórzami, kupilibyście gazetę, a wtedy nie musielibyśmy wydawać pieniędzy na bilety na metro.

Nie trzeba być jasnowidzem, żeby wiedzieć z góry, co wyczyta wróżka z dłoni klienta. Długie podróże morskie i wysokich, ciemnowłosych nieznajomych – ten stereotypowy repertuar zdezawowałby nawet najbardziej trywialny z sentymentalnych powieściopisarzy. Danielle należała jednak do wróżek innego gatunku. Choć wydawała oświadczenia na każdy bez wyjątku temat z właściwą wszystkim wróżkom stanowczą pewnością siebie, umiała wywracać własne poglądy do góry nogami z taką samą nonszalancją, jak cudze.

– Po pierwsze, gazeta kosztuje drożej niż metro – odparł jej brat. – Po drugie, sama się zaklinałaś, że najdalej dzisiaj Langlois zostanie przywrócony na swoje stanowisko. A po trzecie, nie przypominam sobie, aby ktoś cię prosił, żebyś jechała z nami, tak jak nikt cię nie zapraszał tutaj.

Zaspokoiwszy irytację na Danielle liczbą, mocą i nieoczekiwanie przemyślną kolistością swoich argumentów, Guillaume opadł w milczenie i znów zaczął się bawić parasolem.

Danielle przykręciła śrubę.

– Och, pewnie, że z wami pojadę. Choćby tylko po to, żeby zobaczyć wasze miny, kiedy okaże się, że furтка jest zamknięta. Bo wczoraj wieczorem to był piękny widok! Przez chwilę, kiedy wsadziłeś nos między kraty, myślałam, że ktoś ci go do nich przyspawał! Wyglądałeś, jakbyś się miał rozpuknąć! Matthew, czy on nie wzbudzał w tobie obrzydzenia? Nie było ci wstyd, że jesteście razem? Chodzi mi o to, że Guillaume ma siedemnaście lat, a zachowuje się jak dzieciak przed wystawą sklepu z zabawkami. Widziałeś kiedyś coś równie żenującego? A nawet haniebnego? Przykro mi to mówić, ale mój brat jest równie żaloszny, jak cała reszta tej zgrai. Jak Peplos. Albo Jacques. To urodzona ofiara losu. *N'est-ce pas, Matthew?*

Matthew nie śmiał się wtrącać. Nabrał wody w usta. Nigdy nie czuł się tak wyalienowany, jak podczas podobnych scysji. Milczał niczym dziecko, które stoi samotnie w piżamce w środku nocy pod drzwiami sypialni rodziców i mocno przytula do siebie pluszowego misia, słysząc, że rodzice obrzucają się nawzajem obelgami, których nigdy nie będą mogli cofnąć.

Guillaume nie odezwał się podczas tyrady Danielle ani jednym słowem, ale zaczął szarpać parasol tak gwałtownie, że zabawka w końcu złamała się, jak prawdziwy parasol w wietrzny dzień.

Danielle błysnęła złośliwie sacharynowym uśmiechem. Z triumfalnym: „*Voilà!*” iluzjonisty wyjęła z kieszonki kostiumu tubkę Smarties. Pasjami uwielbiała te cukierki. Nucąc pod nosem „Walczyka łyżwiarzy”, jednym pstryknięciem strzepnęła z opakowania małą, żółtą plastikową zatyczkę. Wciąż powolnym, płynnym gestem zawodowego prestidigitatora podniosła tubkę do ust i zsunęła na język kilka ostatnich czekoladowych dropsów. Wsadziła palec do środka, by zademonstrować, że pojemnik jest pusty. Następnie odwróciła go do góry dnem i obluzowała okrągłe kartonowe dno. Wyciągnąwszy je przez środek, wcisnęła papierowe kółeczko w swój prawy policzek, ściągnęła twarz i odchyliła głowę w tył, żeby kartonik nie mógł się przesunąć. Potem odwróciła się powoli w stronę Matthew i trzepocząc kokieterycznie powiekami, spytała:

– Matthew, kochanie, kogo ci przypominam?

Matthew był na tyle przerażony, że niezupełnie zarejestrował owo „kochanie”, choć mimo wszystko uznał je za ważny przełom

w ich przyjaźni. Nie śmiał też spojrzeć w oczy Guillaume'owi, na którego prawym policzku, w punkcie dokładnie odpowiadającym miejscu, gdzie Danielle przyłożyła tekturkę, widniała wyraźna, niemal idealnie okrągła blizna – pamiątka po spaaranym zabiegu usunięcia pieprzyka. Guillaume nigdy nie wspominał o niej w obecności Matthew, który uważał, że blizna stanowi tabu, zatem żadne z nich nie powinno go naruszać. Szanował ten zakaz. Pragnął jednak, aby Guillaume wiedział, jak bardzo on lubi tę bliznę, nadającą rysom tamtego bajroniczną męskość i szlachetność, i że od dawna marzy w skrytości ducha, by ją pocałować.

Piękno jest doskonałością z defektami. Blizna Guillaume'a była ni mniej, ni więcej tylko kropką nad „i” urody jego twarzy – skazą, która, w rzeczy samej, wyносиła jego urodę poza doskonałość i nadawała jej prawdziwy kształt, jak owa słynna, choć całkiem zwyczajna czarna kropka, którą Hokusai zwieńczył kiedyś ponoć swój autoportret, przekształcając nagle embrionalne bażgroły w żywe oblicze artysty.

Przeróżający żarcik Danielle naruszył jednak to tabu. Za wcześniej, o wiele za wcześniej. Guillaume może mu tego nie wybaczyć. Właśnie jemu.

Guillaume mógł zrobić wszystko. Mógł wypaść jak bomba z kawiarni, chlusnąć w twarz siostrze resztkami lodów albo dźgnąć ją ostrym niby igłą szpikulcem maleńkiego parasola.

On jednak zaczął się śmiać. Podobieństwo bliźniaków było rzeczywiście niesamowite. Guillaume wyglądał tak, jak gdyby wpastrywał się we własne odbicie w gabinecie zręcznie zmodyfikowanych luster, które zmieniają płęć przeglądających się w nich ludzi.

Zepsuty bezpiecznik został naprawiony.

– Idiotka! – powiedział Guillaume, wykrzywiając twarz, chciał bowiem zrobić równie groteskową minę, jak Danielle.

W tej chwili byli do siebie podobni jak dwa gargulce na parapetach Notre-Dame, więc kiedy dziewczyna wcisnęła kartonik tak mocno, że odskoczył od jej sprężynującego policzka i wylądował na stole, Matthew w rozmarzeniu czekał, aż z blizną Guillaume'a stanie się to samo.

– Jednak jeżeli uważasz, że nie powinniśmy jechać do Kinoteki... – zaczął Guillaume.

– Naturalnie, że powinniśmy pojechać – odparła z szerokim uśmiechem dziewczyna. Droczyła się z bratem od samego początku. – Pojedziemy, nie ma żadnej kwestii. Tylko nie mogą ścierpieć, kiedy wygadujecie te brednie nad programem, jak wasi okropni koledzy.

– Więc co proponujesz?

– Co proponuję? – zapytała, mistrzowsko parodiując Petera Lorre'a, z której to umiejętności była szeroko znana. – A to...

Pochyliła się ku nim, mówiąc ledwo dosłyszalnym szeptem, jak w tych sekwencjach filmowych, które znikają w ściemnieniu, kiedy „czarny charakter” zaczyna wyłuszczać plan zawładnięcia światem.

Przypadki zdarzają się wszędzie, tyle tylko, że nikt ich nie dostrzega – i nie rozumie.

Pewna kobieta prosi w pociągu o ogień współpasażera, który odkłada kryminał i podaje jej swoją zapalniczkę. Kobieta dziękuje uprzejmie – i żadne z nich nie myśli więcej o tym incydencie. Rok później biorą ślub w kościółku parafialnym, oddalonym o blisko pięćset mil od miejsca ich pierwszego spotkania, wciąż nic nie rozumiejąc.

Podobieństwo propozycji Danielle do snu, jaki Matthew śnił ostatniej nocy, stanowiło tego rodzaju przypadek. Ponieważ jednak Matthew zapomniał treści snu i nie zdążył go nikomu opowiedzieć, żadne z nich nie miało nigdy zrozumieć, że w tym momencie zadzierzgnęli węzeł, który mogła przeciąć tylko śmierć, rozsupłać zaś – tylko czas.

Oto co zaproponowała Danielle. W wolnych chwilach, kiedy udawało mu się oderwać od nauki i Kinoteki, Guillaume sporządził listy swoich ulubionych filmów w skrupulatnie datowanych kołonotatnikach, które kupował w Gibert Jeune. Zapisane zeszyty katalogował następnie w porządku chronologicznym. Ssąc pracowicie pióro, odnotowywał w jednym sto swoich ulubionych filmów wszech czasów, w innym zaś, o znacznie bardziej sfatygowanych kartkach, setkę najlepszych filmów z kolejnych lat. Zapełniał i porządkował pieczołowicie te notatniki od dziesiątego roku życia, i od tej pory wciąż dokonywał w nich gruntownych poprawek. Był jednak jeden film, któremu pozostał wierny: „Amatorski

gang” Godarda, w którym troje szemranych bohaterów pędzi przez sale i korytarze Luwru, chcąc pobić rekord świata – dziewięć minut i czterdzieści pięć sekund – w szybkości zwiedzania, a raczej zwiedzania w przelocie, zgromadzonych w muzeum skarbów sztuki. Danielle rzuciła myśl, by dzisiaj to oni spróbowali dokonać podobnego wyczynu.

Guillaume był oczarowany pomysłem. Byłby to akt oporu, donkiszoteria, gest sprzeciwu wobec zamknięcia Kinoteki. Jeżeli nie można tam wyświetlać filmów, to doskonale, świetnie, wyciągną je na ulicę. Jeżeli będzie trzeba, choćby i do samego Luwru. Chichocząc jak dzieci, obmyślające osobistą psotę, Guillaume i Danielle oderwali róg papierowego obrusa, po czym wyrysowali na nim optymalną marszrutę.

Na próżno Matthew radził im ostrożność. Nie chciał podpaść policji, błagał więc, żeby jeszcze się zastanowili. Obawiał się, że jako obcokrajowiec zostanie postawiony w ambarasującej sytuacji, jeśli przypadkiem strażnicy przyłapią ich na gorącym uczynku. Widział już oczami wyobraźni, że czeka go bezzwłoczna deportacja, okryty hańbą wraca do San Diego, przerywa studia i naraża na szwank swoją przyszłość. Dla niego piękno kina tkwiło w tym, że właściwości taumaturgiczne i potęga podstępnej magii filmu ograniczały się do zaczarowanego prostokąta białego ekranu: reszta świata leżała poza jego granicami.

Przypominał kogoś, kto zwiedza wesołe miasteczko jak rozbawiony, lecz bezwolny widz, marzący jednak skrycie, by śmielsi towarzysze zaciągnęli go na diabelskie koło.

Ale Guillaume i Danielle utworzyli przeciw niemu niezwykły front. Wzorem wszystkich par, bez względu na to, czy dobrze, czy źle dobranych, przybierali postać dwugłowego orła – przed chwilą wydziobywali sobie nawzajem oczy, teraz zaś czule pieścili swoje wilgotne dzioby. Było ich dwoje na jednego – czy raczej dwoje przeciw całemu światu – zlekceważyli więc zastrzeżenia Matthew.

W „Deux-Magots” na placu Saint-Germain-des-Prés panował tłok. Przed tutejszymi bywalcami popisywał się właśnie połykacz mieczy, który przybierał ekstatyczną minę człowieka uprawiającego seks oralny. Po drugiej stronie ulicy, cierpliwie czekając na swoją kolej, by zająć miejsce na zaimprovizowanej scenie, stał na wy-

sokich szczydłach młody mężczyzna, Cygan, odziany w pstrokaty kostium Arlekina. Opierał się o ogrodzenie kościoła, a kiedy go mijali, skrzyżował szczydła z taką nonszalancją, jakby krzyżował nogi.

Matthew bojaźliwie włókł się z tyłu – stracił zapał i nie miał już odwagi, by zgłaszać dalsze protesty. Skręcili w ulicę Bonaparte, minęli École des Beaux-Arts, najbrzydszy budynek Paryża, i poszli dalej ulicą, biorącą od niego nazwę. Stojące przy niej domy zapierały się fundamentami w ziemię i pochylały naprzód, niczym turyści, przyglądający się przeciągającej procesji. Po prawej stronie, gdy dochodzili do nabrzeża Voltaire, ukazała się baletnica Degasa w zardzewiałej metalowej spódniczce z falbankami. Po lewej ręce, dokładnie naprzeciwko, stał posąg samego Woltera, który zdawał się śledzić pielgrzymkę Matthew spod pomarszczonych kamiennych powiek, uśmiechając się do amerykańskiego Kandyda równie sarkastycznie, jak żywe posągi Bestii wdzięczą się do Pięknej w „Pięknej i Bestii”.

Rodzeństwo z lekkimi jak korki sercami i Matthew, któremu serce ciążyło niby ołów, przekroczyli rzekę na moście du Carrousel.

Tu, na nabrzeżu Sekwany, gdzie ciągną się szeregami stragany bukinistów, przywodzące na myśl zalane miasto, zabezpieczone przed powodzią tysiącami białych worków z piaskiem, stała para młodych ludzi: chłopak i dziewczyna. Częściowo przesłaniał ich secesyjny słup ogłoszeniowy, oklejony plakatami reklamującymi recitale w Salle Gaveau i najnowsze trzyaktowe farsy. Oboje nosili włosy długie do ramion, wełniane szkockie berety z pomponami i szare płaszcze przeciwdeszczowe. Byli podniośle nieświadomi świata, który, wedle powszechnej opinii, wprawiali rzekomo w ruch. Wyobraźcie sobie bliźnięta syjamskie, złączone ustami.

Gdy przyjaciele przechodzili przez most, sunący bystro w dół *bateau-mouche*, rozświetlony wesoło na dolnym i górnym pokładzie niczym miniaturowy liniowiec oceaniczny, zniknął im z pola widzenia z jednej strony, po czym pojawił się z drugiej nietknięty, jak za sprawą czarów.

W oddali, poza świerkową symetrią ogrodów Luwru, majaczył konny posąg Joanny d’Arc, której popiersie lśniło w słońcu niczym kolczuga.

Matthew przyłapał się na tym, że myśli o nieszczęsnych, zwęglonych szczątkach świętej, kiedy wciągnął w nozdrza ostry zapach wypalonych fajerwerków.

Nieoczekiwanie, bez ostrzeżenia, Guillaume i Danielle wrzucili najwyższy bieg i puścili się cwałem. Szykowali się już na gwóźdź programu.

Nieco zdyszani stanęli przed gmachem Luwru.

Aby opisać ten wyścig, musiałbym napisać telegram, pozbawiony *kropek*.

Cóż za spontaniczność, jakie niespodzianki! Brali zakręty, opierając się tylko na jednej nodze, jak Charlie Chaplin. Budzili drzemiących strażników, którzy ocykali się, wydając zdziwione parsknięcia. Rozpraszali grupki japońskich turystów, zwiedzających muzeum z przewodnikiem. Wokół nich śmigały arcydzieła niby na filmie, w którym kamera sunie z najwyższą prędkością. Ikony... Matki Boskie z Dzieciątkami i bez... Ukrzyżowania... święci Antoni i Hieronimowie... Fra Angelicowie, owinięci w złote arkusze tkanin jak czekoladki z likierem. Znów Matki Boskie... Zuzanny i starcy... impertynency *putti* o zadartych nosach, oklepujący chmury jak poduszki, a potem okładający się nimi niczym chłopcy w szkolnym dormitorium po ogłoszeniu ciszy nocnej... Freski Veronesego, tak ogromne i przedstawiające tyle postaci, że każdy by się zawałał, zanim przerobiłby je na układankę... Mona Liza... Wenus z Milo, której odłamali ramiona w biegu, Danielle tuż przed Guillaume'em, choć Matthew, który słabo wystartował, dochodził ich stopniowo po wewnętrznej. Cierpiący na chorobę morską mnisi pędzła El Greca... Autoportrety Rembrandta... Płótna Davida i Ingresy... Tratwa „Meduzy”... I wreszcie wyszli na prostą, idąc już łeb w łeb, by wpaść na metę fotokomórki tuż przed eleganckimi damami z „La Grande Jatte”<sup>2</sup>, przypominającymi centaury, które chronią się przed pointyлизmem pod plisowanymi parasolkami.

Nie zderzyli się z nikim ani razu i nie wpadli w rozpostarte ramiona żadnego strażnika. Żadne z nich nie straciło także równowagi. Dokonywali bowiem cudów z łatwością, z jaką podobno pewni nieszczęśnicy ulegają najróżniejszym wypadkom.

A co więcej, poprawili rekord o siedem sekund!

Wybiegli z Luwru razem, pierś w pierś. Zatrzymali się, dopiero kiedy pozostawiwszy ogrody daleko za sobą, dotarli na nabrze-

<sup>2</sup> Obraz Paula Seurata (1863–1935), twórcy neoimpresjonizmu (przyp. tłum.).



że. Tam przystanęli, zgięci wpool, dysząc ciężko i trzymając się pod boki, jak gdyby chwyciła ich kolka.

Danielle rozładowała się. Była w euforii, która łagodziła jej ostre rysy. Oczy dziewczyny błyszczały. Zarzuciła Matthew ręce na szyję, zmuszając go, by spojrział jej prosto w twarz.

– Och, Matthew, mój mały Matthew, byłeś po prostu wspaniały. Wspaniały. *N'est-ce pas, Guillaume?* – To mówiąc, pocałowała go delikatnie w usta.

Prawdę rzekłszy, Guillaume podejrzewał, że Matthew stchórz, znieruchomieje w ostatniej chwili w blokach startowych, gotów do ucieczki z bijącym sercem. Uradowany, że przyjaciel pomyślnie przeszedł jednak sprawdzian i nie okrył się hańbą w oczach Danielle, wyciągnął do niego braterską dłoń takim gestem, jak gdyby zamierzał mu wykręcić ucho.

Matthew uprzedził go jednak. Może dlatego, że wciąż czuł się odurzony chimeryczną, zwierzęcą energią, jaką wyzwolił w nim wyścig, a może także dlatego, że uznał, iż nadarza się okazja, która szybko nie wróci, wspiął się na palce i impulsywnie pocałował Guillaume'a w odpowiedzi.

Guillaume wzdrygnął się z odrazą. Nieoczekiwany pocałunek wydał mu się obrzydliwie wilgotny, jak pocałunek dziecka, które dotyka tylko ustami obcych ust. Wyglądało na to, że zaczerwieni się, przemówi i powie coś nieodwracalnego, przerwała mu jednak Danielle, która zaczęła nucić niskim, gardłowym głosem:

– Jesteś jednym z nas... Jesteś jednym z nas...

Wystarczyło zaledwie kilka sekund, aby jej brat zrozumiał aluzję. Uśmiechając się zagadkowo, podjął refren:

– Jesteś jednym z nas! Jesteś jednym z nas!

*Jesteś jednym z nas.* Kto, słysząc te słowa, mógłby nie wspomnieć złowieszczych, kpiących okrzyków karłów, debili, brodatych kobiet oraz pozbawionych rąk i nóg potworów, wijących się na weselnej uczcie karła Hansa i zdrowej, zmysłowej akrobatki imieniem Cleopatra w filmie Toda Browninga „Dziwolągi”?

Na horyzoncie, równie nieuchronnym jak księżyc, widniała latarnia morska wieży Eiffla, która prowadziła ich do portu. Niebo pokryły smugi przypominające plasterki bekonu. Danielle, po krzepiona trwającą dziewięć minut i trzydzieści osiem sekund lekcją historii sztuki, zauważyła w zadumie na ten widok:

– Dlaczego, kiedy przyroda naśladuje sztukę, wybiera zawsze to, co w sztuce najgorsze? Jak zachody słońca, to Harpigniesa, nigdy Moneta.

Pod Kinoteką czekała jednak młodych ludzi niemiła niespodzianka. Nie można było wejść do ogrodu od strony alei Albert-de-Mun. Pod bezlistnymi drzewami parkowały przysadziste, granitowoszare furgonetki, należące, jak wiedzieli, do paramilitarnych sił policyjnych CRS. Funkcjonariusze w skórzanych kurtkach przechadzali się grupkami po chodniku, paląc gauloisy i gładząc bezmyślnie pałki oraz szturmową broń. W ramach zakratowanych okien furgonek, gdzie panowała duchota jak za skrzynkowymi oknami w zamkowej wieży, tkwiły widoczne z profilu, okryte hełmami głowy pozostałych policjantów. Sądząc po drgnieniach ich ramion, jedynym ruchem, jaki chwilami widać było z zewnątrz, rznąli w karty.

Nie rozumiejąc, co się dzieje, Guillaume i Danielle pokonali biegiem plac du Trocadéro, po czym skierowali się na esplanadę. Matthew pobiegł za nimi. Czuł, że z każdą minutą uchodzi z niego radość pozostała po wyprawie do Luwru.

Na esplanadzie trudno było znaleźć choć cal wolnego miejsca. Pod wieczór zebrało się tam tysiące demonstrantów, którzy stali, siedzieli po turecku w małych półkolach, dyskutowali albo padali sobie w ramiona.

Niektórzy wdrapywali się na fontanny, żeby lepiej widzieć okolicę, i jak szaleni opryskiwali wodą stojących na dole kolegów. Inni, chwyciwszy się za ramiona niczym biesiadnicy w sylwestrową noc, kołysali się w przód i w tył, nucąc „Michelle” Beatlesów. Znad profilowanych parapetów esplanady dyndały bezwładnie nogi jak obwisłe kończyny marionetek w antrakcie przedstawienia z udziałem Pucha i Judy.

Chwilami w pole widzenia wpływały sławne twarze. Czy to nie Jeanne Moreau? A tam, skryta za przeciwsłonecznymi okularami, to chyba Catherine Deneuve? No, a dalej, w tej ciżbie, stoją filmowcy, Truffaut, Godard i Resnais, naiwnie przeciwstawiając pistoletom maszynowym policjantów z CRS maleńkie, ręczne kamery, które siedziały na ich ramionach jak ptaszki.

Z najwyższego parapetu górował nad tłumem aktor Jean-Pierre Léaud, bardziej demoniczny i obdarzony bardziej szalonym spojrzeniem niż Jezus. Chrapliwym głosem odczytywał tekst niewy-

rażnej fotokopii jakiejś odezwy, którą rozdawano jednocześnie wśród demonstrantów na dole.

Nosiła tytuł „Les Enfants de la Cinémathèque”, kończyła się zaś tak:

„Odwołując się do biurokratycznych pretekstów, najgorsi wrogowie kultury ponownie opanowali ów bastion wolności.

Nie dajcie się wykiwać. Wolność to przywilej, którego się nie daje, lecz który można odebrać. Wszyscy, którzy kochają kino – zarówno we Francji, jak i na całym świecie – są razem z wami i z Henri Langlois!”.

Nazwisko Langlois stanowiło niewątpliwie umówiony sygnał, tłum ruszył bowiem falą pod Kinotekę. Wymachując afiszami, na których manifestanci wypisali hasła: „Barbin, odejdz!” , „Malraux, odejdz” i „Langlois z powrotem do Chaillot!”, brodzili już wśród roślinności ogrodu. W tym samym czasie w piskliwej kakofonii gwizdków funkcjonariusze CRS, trzymając pałki na sztorc i wznosząc metalowe tarcze na wysokość twarzy, wybiegli truchtem gęsiego z furgonetek i ustawili się rzędem w poprzek alei Albert-de-Mun, porzucając niedokończone rozdania pokera i tarota.

Demonstranci rzucili się do ataku z aparatami fotograficznymi, policjanci CRS z pałkami. A kiedy starli się z sobą, odbyło się to jakby w stroboskopowo zwolnionym tempie, niczym na dokumentalnym filmie, prezentującym wzrost splątanej łądygi, a potem całej rośliny.

Teraz zaś w filmie następuje zbliżenie.

Tu François Truffaut na próżno usiłuje przemówić do rozsądku legionistom z CRS.

Tam ktoś opatruje ranę na czole François Truffauta, który schronił się w bramie. Jego płaszcz i czerwony kaszmirowy szal pocętkowały już plamki ciemniejszej czerwieni.

Młoda kobieta, żona reżysera Yves’a Boisseta, rozglądająca się rozpaczliwie wokoło w poszukiwaniu jakiejś znajomej twarzy, pada nieoczekiwanie na ziemię jak łachman, gdy kolana załamują się pod nią niczym nogi składanego stolika karcianego. Momentalnie otaczają ją tak zwane łaskawie przez władze „siły porządkowe”. Pałki bębnią jak deszcz w jej zwinięte w kłębek ciało, nim innym demonstrantom uda się odciągnąć kobietę w bezpieczne miejsce.

Zmuszeni do odwrotu manifestanci wycofują się na esplanadę. Ich przednia straż wpada bezładnie na tyły, aż w końcu cała ta oszłomiona masa, rozgorączkowana i poruszająca się na oślep, na wpeł maszerując, na wpeł biegnąc, wraca na plac du Trocadéro, po czym przeciska się dalej, na aleję du Président-Wilson. Grzechoczą szyby w oknach. Ruch uliczny zamiera. Przechodnie przywierają przyplaszczeni do ścian domów albo kulą się w bramach ze strachu, że stratuje ich szarżująca na złamanie karku ludzkość, przywodząca na myśl huragany, którym nadaje się kobiece imiona.

W końcu tam, gdzie aleja du Président-Wilson przecina aleję d'Iena, demonstracja zatrzymuje się. W głębi stoi bowiem kolejna zapora tarcz, nieprzebyta, głęboka na trzech policjantów, ciągnąca się wszerz z jednego chodnika na drugi.

Jest dwadzieścia po siódmej, kiedy Godard apeluje do tłumu o rozejście się i esplanada powraca we władanie miejscowej fauny.

Troje naszych bohaterów nie opowiedziało się za żadną ze stron w tej *bataille de la Cinématheque*. Jak dzieci, które zdjęte zadziwieniem na widok złotych rogów, szampana, końskich fokstrotów i quickstepów oraz szkarłatnych strojów jeździeckich, mylą polowanie z bałem myśliwskim, tak oni pomylili film z walną bitwą, w której ważyły się losy przyszłości kina. Jeżeli coś ich w tym zafascynowało, to olimpijska fascynacja widza, którego na zarazki współuczestnictwa uodparnia świadomość, że może oglądać widowisko, samemu nie będąc widzianym. Podziwiali więc niezwykle przekonująco ucharakteryzowanych aktorów w barwnych kostiumach. Oklaskiwali gwiazdy. Zadawała ich pospolita rola przypadkowych, niewinnych świadków zdarzenia.

Film jednak okazał się długi ponad miarę, wyszli więc przed końcem. Kiedy z pola bitwy ściągali ostatni ranni, eskortowani na schodach wiodących w podziemia stacji metra przez tych demonstrantów, którym udało się wyjść z utarczki bez szwanku, nasi bohaterowie byli już daleko, wędrując po Lewym Brzegu w wyjątkowo długim ujęciu niczym trzy niemal niedostrzegalne punkciki na horyzoncie.

Na rogu de l'Odéon stwierdzili, że ich rutynowe pożegnania są tym razem dziwnie egzaltowane i pozbawione wdzięku. Minęła właśnie ósma. Stali jak gdyby bez celu na chodniku, przestępując z nogi na nogę. Ponieważ do odwiedzin w Chaillot doszło pod

wpływem impulsu, był to bowiem poniekąd zaimprovizowany strzał w ciemności, zapomnieli zaopatrzyć się w kanapki. Dopiero teraz więc uświadomili sobie, jak bardzo doskwiera im głód.

– Matthew, gdzie będziesz jadł? – zapytał bezceremonialnie Guillaume. – Czy w tym twoim hotelu jest kuchenka?

Matthew pomyślał o ciasnym pokoiku w kształcie litery „L”, w którym łuszczyła się żółta tapeta, a służąca mu za lustro tafla szlifowanego szkła, przymocowana do płyty z drewna balsa, stała wsparta o ścianę.

– Kuchenka? Nie, nie mam gdzie gotować sobie posiłków.

– To jak sobie radzisz wieczorami?

Pytanie zaskoczyło Matthew, nie chciał jednak przypominać Guillaume’owi i Danielle, że ostatnio niemal każdego wieczoru przebywał w ich towarzystwie. Nie wiedział, że kiedy wracali do domu ostatnim metrem, systematycznie pustoszyli lodówkę. Kanapki i jajka na twardo, które dla niego stanowiły główny posiłek, dla nich były jedynie podwieczorkową przekąską.

– Ach, wiesz, zawsze mogę zjeść kuskus czy pizzę w *quartier* – odpowiedział lekceważąco. – Albo kupić kebab i przemycić go do hotelu pod kurtką. No, chyba że... – dodał z wahaniem – ...że razem pójdziemy gdzieś coś zjeść?

Guillaume zwrócił się do Danielle.

– Masz ochotę?

Danielle wydeła wargi w grymasie niesmaku. Jej twarz wyglądała jak pacynka, z której aktor już wysunął palec. Ostatecznie powiedziała „nie” – a raczej „nnnie”, parodiując rozwlekłe latynoamerykańskie przeczenie, które zapożyczyła od jednego ze swoich przyjaciół, pewnego Argentyńczyka.

– Danielle nie chce iść do żadnej paskudnej restauracji w tym *quartier* i jeść paskudny kuskus.

Matthew wolałby odgryźć sobie język. Powinien wiedzieć, że pasmo jego szczęścia w końcu się wyczerpie.

– Nie ma o czym mówić – powiedział, rozprostowując ramiona i przygotowując się bohatersko, by pierwszy powiedzieć „do widzenia”. – Będę już chyba leciał.

Guillaume przez chwilę przyglądał mu się z ironią i czułością – w równych proporcjach.

– A może pojechałbyś z nami?

– Jak to?

– Wracaj z nami. Zjemy razem obiad w domu. Nie sądzisz, że Matthew powinien pojechać z nami, Danielle?

Matthew natychmiast zmierzył spojrzeniem jej twarz, czujnie wypatrując najmniejszych nawet cieni rozdrażnienia, jakie mogłyby się na niej pojawić.

Danielle uśmiechnęła się do niego.

– Jasne, Matthew, jedź z nami. Ponieważ już wszyscy się całowaliśmy, nadeszła pora, żebyś odwiedził nas w domu i poznał naszych starszych.

Matthew wiedział, że to określenie jest równie ironiczne, jak jej wcześniejsze „kochanie”, jednak jak każdy, kto cierpi z powodu nieodwzajemnionej miłości, przestał być drobiazgowy. Wiadome słowa już padły i za to Matthew był losowi wdzięczny, bo z punktu widzenia jego nocnych marzeń liczył się tylko ten fakt. W sekcji zwłok każdego dnia, którą przeprowadzał noc po nocy, niuanse w tonie Danielle bywały albo wyolbrzymiane nie do poznania, o ile z jej ust wychodziło jakieś protekcyjne określenie, albo łaskawie neutralizowane, jeżeli dziewczynie zdarzyło się wyrazić w sposób szyderczo pieśczośliwy.

– Z największą przyjemnością – odpowiedział. I, po raz pierwszy stosując wobec niej swój wystudiowany, „trypiotowaty” urok, zastrzeżony dotąd dla rodziny w San Diego, dodał niemal flirciarsko: – A już myślałem, że nigdy mi tego nie zaproponujesz.

Odtąd Matthew nie potrzebował suflera. Nauczył się tekstu na pamięć.

Rodzice Guillaume’a i Danielle mieszkali na pierwszym piętrze, a do ich mieszkania prowadziły wąskie, kręcone schody, wznoszące się z dziedzińca, jakich w Dzielnicy Łacińskiej są tysiące. Duże mieszkanie pod względem liczby pomieszczeń nie wydawało się jednak rozległe z żadnej perspektywy, ponieważ wszystkie pokoje były małe i niskie – sprawiały zaś wrażenie jeszcze niższych niż w rzeczywistości z powodu stojących wszędzie szafek na książki, na których, niczym ebonitowe figurki, siedziały czarne koty.

Ojciec rodzeństwa, poeta, przypominał podłużną, patykowatą rzeźbę Giacomettiego, ubraną w jedwabny szlafrok. Ta dandyso-wata skamielina miała niecodzienny zwyczaj częstowania gości papierosami, które wyciągała pojedynczo z kieszeni swojej mni-

siej szaty tak, że na ich korkowego koloru filtrach pojawiały się wytworne wgłębienia, powstałe pod naciskiem szczyplych niby papierosy palców. Trudno było określić, czy tego rodzaju zachowanie było szczytem elegancji, czy raczej wulgarności.

Był znanym perfekcjonistą. Pisząc wiersze, postępował na podobieństwo drwala, który ścina drzewo, by zrobić z niego zapałkę. Chcąc zrobić drugą zapałkę, drwal musi ściąć drugie drzewo. Tu przez zapałki rozumiemy słowa – bo poetę podziwiano za słowa, jak innych pisarzy podziwia się za olśniewające zdania.

Na każdej stronicy było jednak owych słów tak mało, a każdy tomik zawierał tak niewiele stronic, że rzadko zdarzało się recenzję z dzieła poety czytać dłużej niż jego książkę.

Jak wszyscy pisarze, żyjący z dala od zgiełku i rzadko raczący schodzić między ludzi ze spowitej chmurami wieży z kości słońcowej, poeta był wyjątkowo czuły na krytykę. W notesie z adresami dokonywał skreśleń równie gęsto, jak w swoich rękopisach.

Rodzona matka bliźniaków została sparaliżowana zaledwie kilka miesięcy po wydaniu ich na świat i zmarła przedwcześnie w wigilię trzydziestych urodzin. Osiem miesięcy później poeta poślubił swoją sekretarkę. Guillaume i Danielle innej matki nie znali.

Była smutną kobietą, żyjącą wprawdzie bardzo zamożnie, ale na skraju pustki, niby milioner nad brzegiem szwajcarskiego jeziora. Chodziła po mieszkaniu na palcach, bezgłośnie jak koty męża – nawiasem mówiąc, zwierzaki, na które była łagodnie uczulona, podobnie jak na nierozzerwalnie już złączone zapachy jego fajki i żółknących książek.

Jej rolą w życiu poety było służyć temu anemicznemu, zrzedliwemu inwalidzie: była jego natchnieniem. Gotowa na każde skinienie i wezwanie małżonka, dostarczała mu niekończących się zapasów zastępczych medykamentów – placebo, czyli filizanek słabej indyjskiej herbaty, pustych słów otuchy, a najczęściej – milczenia. Większą część dnia spędzała w kuchni o pigmejskich wymiarach, czytając pisma o modzie i podjadając paluszki rybne.

Ta kobieta, którą kilkanaście razy dziennie nachodziła ochota, by przeraźliwie krzyknąć, nie podnosiła nigdy głosu nad szept, chroniąc spokój domowych pieleszy równie neurotycznie jak ktoś, kto bawi się pokrętem głośności dźwięku w odbiorniku radiowym. W rzeczy samej, pewnego razu, kiedy Guillaume, wyciągnąwszy się

na dywanie w sypialni, słucał „Bolera” Ravela, tylekroć wsuwała głowę do pokoju, prosząc chłopaka, aby ściszył muzykę, która mogłaby zakłócać spokój ojcu, że sławne crescendo utworu ani na chwile nie wzniosło się nad poziom *pianissimo* – podobnie jak jej życie.

Krótko mówiąc, egzystowała w świecie z uprzejmości. A jeśli ktoś wejdzie między wrony...

Kiedy Danielle wkroczyła do pokoju, jej ojciec siedział w fotelu przed ozdobnym kominkiem. W zasięgu ręki poety, obok trzech chwiejnych stosów płyt na siedemdziesiąt osiem obrotów, stał staroświecki, nakręcany patefon. Tubka w kształcie kielicha kwiatu, zdobna arabeskami godnymi sukni Loïe Fuller<sup>3</sup>, czyni z tego typu odtwarzacza niekwestionowany emblemat czaru *belle époque*.

Danielle skubnęła figlarnie ojca za włoski na karku.

– Papo, to my. Jak widzisz, wróciliśmy wcześniej.

– To ładnie z waszej strony – zamruczał ojciec, nie podnosząc głowy, był bowiem zajęty: rozcinał właśnie kartki jakiejś książki nożem do papieru, wykonanym z brązu. – Ale czy nie powinniście być teraz w Kinotece?

– Nic nie grają – odparła oschle Danielle. – Papo, jak Boga kocham, odłóż tę książkę. Przeprowadziliśmy kogoś, kto chciałby cię poznać. Nazywa się Matthew. Jest Amerykaninem.

Szurając nogami i niespokojnie okrywając się z przodu połami szlafroka, poeta wstał, by przypatrzeć się gościowi. Przez jeden niezapomniany, koszmarne semestr wykładał kiedyś gościnie na pewnej małej uczelni na Środkowym Zachodzie, widok młodych Amerykanów, paradujących po jego mieszkaniu, nie był mu zatem obcy, choć wtedy bywali to z reguły studenci ostatniego roku, piszący prace dyplomowe na temat jego twórczości.

Kiedy ścisnął dłoń Matthew, chłopakowi wydawało się, że oczy pisarza myślą niezależnie od reszty jego znużonej twarzy o sflaczałych mięśniach. Miał powieki jak lalka.

Na chwilę zapadła cisza.

– A gdzie mateczka? – zapytał Guillaume.

– W kuchni – odparł ojciec. Potem, jakby po namyśle, dodał:

– Nie zamierzacie chyba zostać w domu?

<sup>3</sup> Loïe Fuller – sławna w czasach modernizmu tancerka amerykańska (przyp. tłum.).



– Oczywiście, że zostaniemy, papo – odparła Danielle. – Zaprosiliśmy Matthew do nas na obiad. Mieszka w paskudnym hotelu, gdzie nie mają blachy.

Poeta zamrugał powiekami. Nie wiedział, co to jest blacha. Wyobrażał sobie, że chodzi o coś w rodzaju amerykańskiego baru, gdzie serwuje się dania z rusztu.

– W takim razie radziłbym ci iść i uprzedzić matkę. Dla pięciu osób jedzenia na pewno nie starczy.

W tym miejscu do rozmowy pośpiesznie wtrącił się Matthew.

– Ależ niech państwo nie robią sobie z mojego powodu kłopotu, bardzo proszę.

– Nie opowiadaj głupstw, młody przyjacielu. Nie pozwolimy ci przecież wrócić do hotelu, w którym nie mają blachy. Siadaj, proszę. Poczęstuj się. – Wyłuskał z kieszeni szlafroka papierosa i podał go chłopakowi.

– Matthew nie pali – powiedział Guillaume, a następnie przełószył z fotela czarnego kocura, wyciągnął swoje długie nogi, przerzucając je z boku przez poręcz, wsparł głowę na drugiej poręczy, po czym sięgnął po NRF<sup>4</sup> i zaczął przeglądać pismo.

Ojciec szybko odebrał chłopakowi papierosa i włożył go z powrotem do kieszeni, gdzie było ich więcej.

– Naturalnie, że nie palisz. Jesteś o wiele za młody, dopiero teraz to widzę. Powiedz mi zatem, Matthew, ile masz lat? Piętnaście? Szesnaście? Nie sądzisz, że jesteś za młody, żeby mieszkać w hotelu?

Zakłopotany Matthew odpowiedział:

– Mam dziewiętnaście lat.

Poeta znowu zamrugał powiekami. Popatrzył na gościa z wyraźnie teraz widoczną w wyrazie jego twarzy podejrzliwością. Bez wątpienia sądził, że chłopak go okłamuje. Atmosfera na chwilę stała się niezręczna, a rozwiało ją dopiero wejście żony pisarza. Uprzedzona przez Danielle, twierdziła z uporem, że taka reorganizacja obiadu dla dwojga, by można było nakarmić nim pięć osób, nie przedstawia dla niej najmniejszego problemu.

Obiad okazał się wydarzeniem dziwnym, wystylizowanym i ponurym. Kosztując bez entuzjazmu rozcieńczoną nieco zupę, poeta

<sup>4</sup> „Nouvelle Revue Française” – miesięcznik literacki, założony w 1909 roku w Paryżu m.in. przez A. Gide’a (przyp. tłum.).

bez zwłoki wdał się w to, co Baudelaire, mówiąc o Wiktorze Hugo, określił kiedyś jako „specyficzny monolog, który on nazywa rozmową”. Umyślił sobie, że uwiedzie Matthew. Zaliczał się jednak do starych, zacofanych rozpustników konwersacyjnych. Bez względu na słuchacza – czy był nim dziennikarz, magistrant, kolega po piórze czy młody Amerykanin, którego przypadkiem znały jego dzieci – nie umiał odstąpić od przyjętego wcześniej scenariusza. *Il faisait son numéro*, jak mawiają Francuzi.

– ...*hein*, mój młody Matthew? Wiesz, życie pisarza to jedna wielka symulacja. Udawanie. No, bo czy ja *piszę* wiersz? Wcale nie. To nie jest takie oczywiste. Ja tylko *udaję*, że piszę wiersz... *Udaję*, że piszę tomik poetycki. Poeta (prawdziwy poeta, rozumiesz, *n'est-ce pas*) jest kimś, kto udaje, że pisze, do chwili, do tej cudownej chwili, kiedy stwierdza, że bum! Oto zmaterializował się przed nim nowy wiersz, zmaterializował się przed nim nowy tomik. No? Dlatego nigdy nie zrozumieję takich pisarzy – wiesz, *le genre* Mauriac – którzy zasiadają przy biurku o dziewiątej rano i wstają zza niego o piątej. Co? Czy nie jesteśmy ludźmi wolnego zawodu? *Foutaises!* Albo inaczej, inaczej mówiąc, można porównać pisarstwo... chociaż rozumiesz, tylko w pewnym sensie... do profesji lekarza. Pojmujesz, co do ciebie mówię, mój młody amerykański przyjacielu? Mówię, że poeta, tak jak lekarz, może otrzymać *wzwanie* o każdej porze dnia i nocy. *L'inspiration, c'est ça*. Jak dziecko, nie wybiera dogodnej, miłej pory, żeby przyjść na świat. Nie okazuje żadnych względów poecie, *ça non*. Ale gdy już przychodzi... wtedy, wiesz... okazuje się... – (tu głos poety nabrał rewerencji odpowiadającej wzniosłości stwórcy, korzącego się w obliczu przedwiecznej tajemnicy stworzenia) – okazuje się wspaniała. Tak, jestem jak lekarz, powiadam. Patrząc na rzecz od strony zawodowej. *Le côté professionnel, n'est-ce pas?* Ale istnieje także coś takiego, jak powołanie. Powołanie – choć z tego punktu widzenia jesteśmy mnichami. Mnichami. Wkraczamy do literatury, pochylając głowy niczym mnisi, którzy przyjmują święcenia. Po prostu. Czy artysta, dla którego tematem sztuki, jedynym możliwym tematem sztuki, jest sama sztuka (a powiadam ci, dla prawdziwego artysty żaden inny temat *nie może* istnieć), nie jest jedynie mnichem, którego całe życie przebiega pod znakiem adoracji jego Boga? Potomność to nasze niebo. Ty – wypowiedział to słowo z naciśnięciem – *ty*, Matthew, rozumiesz, co mam na myśli, prawda? Chodzi

o nieśmiertelność dusz. Czym bowiem jest ostatecznie *oeuvre*, jeżeli nie duszą swojego stwórcy? Dlatego chichoczę, słysząc błazeństwa tych żalonych starych bałwanów z Akademii, zgłaszających pretensje do zinstytucjonalizowanej nieśmiertelności. *Les Immortels*, ha! Maurois, Achard, Genevoix, Druon i cała ta hałstra! Ależ to cmentarz, Matthew, *n'est-ce pas*? W istocie są oni bowiem martwi, nie nieśmiertelni, martwi jako pisarze i zmumifikowani jako ludzie, którzy z trudnością trzymają się w swoich *fauteuils*, jak tysiące innych starych pierdzieli na wózkach inwalidzkich. Cóż to za farsa! *Hein*? I wiesz co? Właśnie zdałem sobie sprawę, w tej chwili, że prawdziwa nieśmiertelność, nieśmiertelność Montaigne'a, Racine'a, *qu'est-ce que j'en sais*, Rimbauda, ma się do tak zwanej nieśmiertelności Akademii Francuskiej jak niebo do... no, powiedzmy, do Watykanu. *Hein*? Tym bowiem jest w istocie Akademia... Watykanem literatury francuskiej. Tak, ależ tak, teraz to rozumiem, Akademia i Watykan. Czyż zieleń Akademii nie dorównuje papieskiej purpurze? No? Nie sądzisz? Cha, cha, cha! Można by niemal... Aaa... A te czwartki, słyszałeś o ich czwartkach, *hein*, o owych świetnych a absurdalnych czwartkach, kiedy to w pocie czoła smażą swój przesławny Słownik? *Quelle connerie, n'est-ce pas*? Powiedziałbyś, że to jest słownik francuski? Wcale nie. To słownik łaciński, mój biedny, młody przyjacielu. Łaciński. Słownik języka Watykanu. Oni łacynizują nasz język, *hein*... No, rozumiesz mnie?... Co?

Matthew w prawej dłoni ścisnął niewielką, jednorazową turkusową zapalniczkę, jaką można kupić w każdym *tabac* za cenę niewiele przewyższającą koszt paczki papierosów. Zapalniczka należała do Danielle. Chłopak w zamyśleniu bawił się nią pieszcotliwie, suwając ją we wszystkie możliwe strony po kraciastym obrusie. Raptem, w nieprzewidzianej ciszy, jaka zapadła po ostatnich słowach poety, zaadresowanych do niego, Matthew nieoczekiwanie i z rozdrażnieniem spostrzegł, że jest obiektem spojrzeń wszystkich obecnych przy stole.

Guillaume'owi i Danielle z trudem udało się zachować powagę. Ich macocha spojrzała na Matthew, a w jej oczach zamigotały ledwo widoczne iskierki zaciekawienia, które tego wieczoru ożywiły jej oczy po raz pierwszy. Poeta dostojnie zwinął serwetkę, położył ją przed sobą na stole i czekał na odpowiedź.

Wstrząśnięty ostrzegawczym dreszczem paniki, której ogniska nie potrafił jeszcze dokładnie zlokalizować, a która z tego względu osiągnęła apokaliptycznie wysoką pozycję w Richterskiej skali jego układu nerwowego, Matthew podniósł wzrok na gospodarza.

– Wybacz, młodzieńcze, ale wydawało mi się, że mówię do ciebie – powiedział zimno poeta. – Wydawało mi się także, że mnie słuchasz. Jednakże...

– Ach, nie, nie, ja tylko... – odpowiedział zbity z tropu Matthew. – Watykan, tak... Absolutnie... Tylko że...

– Tylko że co?

– Na krótką chwilę popadłem w roztargnienie.

– ?

– Bez powodu, naprawdę.

– Chyba jednak miałeś jakiś powód. Wygląda na to, że zaurczyła cię ta banalna zapalniczka, której istnienie w wielu kopiach, choć przyznać należy, że w różnych kolorach, dotarło chyba już wcześniej do świadomości osoby nawet tak młodej, jak ty.

Pisarz sięgnął po wspomniany przedmiot, obejrzał go pobieżnie, po czym odrzucił zapalniczkę na stół jak niedopałek.

– Może zechciałbyś podzielić się z nami swoją iluminacją?

Wyrażał się z pedantyczną ironią nauczyciela, który przyłapał jednego ze swych podopiecznych na bujaniu w obłokach podczas lekcji.

– Nie jest w najmniejszym stopniu interesująca.

– Pozwól, że ja to ocenię.

– Papo... – zaczęła Danielle.

– Bądź cicho, proszę. Matthew?

– No więc, proszę pana – zaczął nerwowo chłopak. – Ja...

– Tak?

– No więc, proszę pana, bezmyślnie wziąłem do ręki zapalniczkę Danielle, wie pan, wszyscy robimy czasem takie rzeczy, i zacząłem się nią nerwowo bawić. No, a potem położyłem ją na stole, choć powinienem raczej powiedzieć: na kraciastym obrusie, przypadkowo na przekątnej jednego z tych kwadracików. I wtedy zauważyłem, że długość zapalniczki jest mniej więcej równa długości przekątnej. O, tak – (tu na użytek słuchaczy Matthew przeprowadził spontaniczną demonstrację). – Następnie przesunąłem zapalniczkę wzdłuż zewnętrznej krawędzi kwadratu i spostrzegłem, że się

ga miejsca, gdzie ten kwadracik styka się z następnym. O, w ten sposób. Jak pan widzi, i w tym wypadku długość zapalniczki idealnie odpowiada długości boku kwadratu. Z kolei – (tu Matthew podniósł ze stołu malowany talerz, ozdobiony niebieskimi wierzba-mi) – weźmy na przykład ten talerz. Jestem pewien... tak, patrzcie, nie myłę się (wszyscy wyciągnęli szyje, żeby lepiej widzieć). – Długość zapalniczki równa się także wysokości tej maleńkiej pagody, o, tutaj, a jej szerokość... jej szerokość... równa jest dokładnie szerokości schodów, które do niej wiodą.

Zarumieniony, wpatrywał się wyczekująco w otaczające go twarze, jak gdyby siedział uwięziony w studni, a oni przyglądali-by mu się znad jej krawędzi.

– Nie pierwszy raz zdarzyło mi się zaobserwować tego rodzaju... hmm... tego rodzaju harmonię. To dość niezwykle, ale mam wrażenie, że wszystko na świecie, nawet taką plastikową zapalniczkę Danielle, można opisać, posługując się zaledwie kilkoma wymiarami. Chodzi mi o to, że długość każdego zwyczajnego przedmiotu codziennego użytku, każdej *rzeczy*, równa się dokładnie długości innego obiektu, połowie jego długości lub jego długości pomnożonej przez dwa. To tak, jak gdyby... jak gdyby w świecie istniała globalna, choć nie wiem, być może nawet *kosmiczna*, jedność rozmiarów i kształtów...

Matthew z zażenowaniem odłożył zapalniczkę na stół.

– I to właśnie wprawiło mnie przed chwilą w roztargnienie, proszę pana. Bardzo przepraszam, jeżeli przerwałem bieg pańskich myśli.

Tykanie ciszy odmierzało czas jak zegar. Poeta zmarszczył brwi. Przez kilka chwil mierzył Matthew przenikliwym, ale już nie nieprzychylnym spojrzeniem. Odchrząknął, po czym zwrócił się do Guillaume'a, który siedział po jego lewej ręce, kołysząc się na krześle.

– Twój przyjaciel to interesujący młody człowiek. Podejrzewam, że nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo. Powinieneś skorzystać z okazji i poznać go nieco bliżej.

Potem, zwracając się do wszystkich obecnych przy stole, ojciec Guillaume'a splótł swoje wielkie dłonie, pokryte drobnymi cętkami plam wątrobowych, i rzucił:

– Która godzina?

Życie bez zegarka nauczyło Matthew tak trafnie wyczuwać czas, jak ślepcy wyczuwają dźwięki i zapachy, spróbował więc zgadnąć:

– Dwadzieścia pięć po dziesiątej?

Okazało się, że było dwadzieścia dwie po.

– Kochanie – powiedział ze znużeniem poeta do małżonki. – Na nas już czas. Muszę odpisać na listy... Listy, *n'est-ce pas* – dodał w ostatnim tchnieniu wcześniejszego rozgorączkowania – które wiszą nade mną jak niespłacone rachunki. A wasza trójka może tu zostać i gadać, jak długo macie ochotę. Zaproś Matthew, by został u nas na noc – powiedział do Guillaume'a. – Sądząc z opisu, twój hotel jest naprawdę obrzydliwy.

Kiedy wstał, Matthew domyślił się, że poeta musiał być w młodości bardzo przystojnym mężczyzną. Miał jednak do tego stopnia „maszynowy” chód, że mogło dziwić, iż z pleców nie wystaje mu klucz, którym się go nakręca.

Widziany z daleka, z lotu ptaka losu, kraciasty obrus najbardziej przypominał szachownicę. Los musztrował na niej pionki, wytyczał linie ataku i budował fortyfikacje obronne. Tego rodzaju działania nie mają jednak nic wspólnego z konwencją dosłowności ani wulgarnie manichejskim fortelem ułożonych naprzemiennie czarno-białych pól. W tę grę można bowiem grać na pustyni albo na środku oceanu. Deseń był tylko przynętą, znakiem firmowym, prywatnym żartem, deklaracją zamiarów, przebiegłą *mise en abîme* dla wtajemniczonych.

Kim zaś był drugi gracz? Los z zasłoniętymi oczami grał przeciwko sobie.

Pierwsza odezwała się Danielle. Zapalając trzeciego papierosa znaną nam już zapalniczką, zagadnęła Matthew głosem osoby, która pieśczołtliwie świergoli do kanarka:

– Ładnie się tak maskować?

– Maskować się? O co ci chodzi?

– Nie udawaj, człowieczku. Zrobiłeś ogromne wrażenie na papierze. Znamy się na tym, *n'est-ce pas*, Guillaume? Dlaczego nas nie olśniłeś nigdy tymi filozoficznymi dywagacjami? *Molto chic!*

– Posłuchaj, Danielle – powiedział Matthew, mimo wszystko

zadowolony, że pozwolił dziewczynie podejrzeć swoje bogactwo wewnętrzne, które w jej obecności zazwyczaj gdzieś znikało. – Nie powiedziałbym w ogóle ani słowa, gdyby twój ojciec mnie nie sprowokował.

– Papa pieprzy głupoty – powiedział Guillaume, dłubiąc w zębach.

– Ostatecznie właściwie mi się spodobał.

– Spodobał ci się? – powtórzył z niedowierzaniem Guillaume.

– Chcesz powiedzieć, że ten głupkowaty, stary gaduła i pierdziel przypadł ci do gustu?

– Daj spokój, twój ojciec jest wspaniałym gawędziarzem.

– Doprawdy? No, to co mówił?

– Jak to?

– Słyszałeś chyba. Pytam, co mówił.

– Byłeś przy tym, nie?

– Ale proszę, żebyś ty mi o tym opowiedział.

– Skoro musisz wiedzieć, to szczerze mówiąc, niewiele z tego pamiętam – przyznał po chwili Matthew, po czym dodał z uśmiechem: – Choć z drugiej strony nigdy tego nie zapomnę.

– Jesteś słodki, Matthew – oświadczyła Danielle z właściwym sobie uśmiechem, który przeszedł niemal w ziewnięcie. – A ja wypompowana. Idę do łóżka. Dobrej nocy.

Zrzucając pantofle na płaskim obcasie, obeszła stół i ucałowała najpierw Guillaume'a, a potem Matthew.

– A swoją drogą – powiedziała, będąc już jedną nogą za drzwiami. – Zostaniesz u nas na noc?

– Jeżeli mogę.

– Kławo.

Potem Guillaume zaprowadził Matthew do swojego pokoju. Łóżko nie było posłane. Jeden z kotów ojca leżał, zwinięty w kłębek, na pikowanej kołdrze, jak gdyby chcąc podkreślić pochlebnie wyidealizowaną istotę kociej natury w oczach jakiegoś sentymentalnego, odzianego w beret i pelerynę *artiste-peintre* z Montmartre'u. W kącie stało pianino. Półki zapchane były książkami z dziedziny historii i genologii filmu, monografiami sławnych reżyserów i pisanymi przez „murzynów” autobiografiami hollywoodzkich gwiazd filmowych. Na ścianach wisiały przypięte pinezkami fotografie aktorów i aktorek. Był między nimi Brando, oparty z nonszalancją

pantery o wielki, pękaty motocykl, stojąca nad kratką wentylacyjną nowojorskiego metra Marilyn Monroe, której biała sukienka powiewała wokół ud niby płatki wspaniałej, okazałej orchidei, i sama Marlena Dietrich – a śnieżnobiałe, przypominające maskę ziarno jej nieskazitelnej twarzy było niemal nie do odróżnienia od ziarna fotografii. Na kanapie przy drzwiach piętrzyły się stosy dzieł sztuki egzemplarzy pisma „Cahiers du Cinéma”.

Nad łóżkiem wisiał niewielki owalny portret: był to fotos przedstawiający Gene Tierney w filmie „Laura”. Ponieważ został oprawiony przez zawodowego ramiarza, jego ranga musiała być daleko wyższa niż innych fotografii.

Choć Matthew niecierpliwie czekał, kiedy wreszcie pozna sypialnię przyjaciela, jego muszlę, święte sanktuarium, o którym tylekroć marzył, odczuwał jednak niepokój, który nie tylko nie został utemperowany, ale przeciwnie, narastał. Z pewnością jednak przesłaniało ów niepokój dziwne uczucie *déjà vu* i mgliste przekonanie, że był tu już przedtem, a co więcej, że w tym pokoju zaszło coś, co było dla niego istotne. Odkrycie źródła tego niepokoju zajęło mu zaledwie kilka chwil. Czym było owo nieposłanne łóżko, stosy „Cahiers du Cinéma”, fotografie aktorów i owalny portret, jeśli nie przeniesionym w tajemniczy sposób do Paryża nieposłanym łóżkiem, stosem gier planszowych, breloczkiem futbolowym i zdjęciami twarzy pięknych chłopców, leżącymi na dywanie w sypialni najlepszego przyjaciela Matthew w San Diego?

Minęła północ. Guillaume żywił najwyraźniej nadzieję, że pogadają o kinie. Z przyjemnością ostrzył sobie zęby na długą nocną rozmowę filmową, którą zamierzał prowadzić, polegając nie dbale na łóżku, drapiąc za uchem kota i – być może – paląc skręta z haszyszem.

Matthew jednak wolał być gdzie indziej: sam, we własnym łóżku, gdzie mógłby swobodnie odtworzyć w zwolnionym tempie film z wydarzeń dzisiejszego dnia. Dlatego na pytania Guillaume’a odpowiadał półgębkiem. Będąc naiwnym aktorem, ziewał w jawnie wystudiowany sposób w przekonaniu, że przyjaciel zrozumie aluzję.

W końcu Guillaume poddał się niechętnie i odprowadził Matthew do gościnnego, acz surowego pokoju – surowego w tym sensie, że urządzono go z elegancką wstrzemięźliwością: nie było w nim nic poza wypolerowanym parkietem, trzema krzesłami o prostych opar-



ciach i wąską, mnisią pryczą, nad którą, dokładnie w miejscu, gdzie w sypialni Guillaume'a wisiał portret Laury, widniała oprawiona reprodukcja „Wolności wiodącej lud na barykady” pędzla Delacroix.

Kiedy już został sam, Matthew rozebrał się leniwie i na projektorze wyobraźni zaczął przeglądać niezmontowany jeszcze materiał filmowy, który zamierzał wyświetlić sobie tej nocy. Niektóre szczegóły wyróżniały się już jak pojedyncze klatki filmu, przeglądane przez montażystę, który podnosi do światła celuloidową taśmę – tekturowe znamię Danielle, opadające na stół z cichym plaśnięciem, „Gilles” autorstwa Watteau w Luwrze, pocałunki, które wymienili przed muzeum, i bitewny zgiełk na esplanadzie. Matthew zawzięcie usiłował jednak usunąć te obrazy sprzed oczu swojej duszy. Nie zadowolił się selekcją najciekawszych momentów minionego dnia. Wszystko musi się rozwijać we właściwym porządku i z odpowiednią prędkością.

Choć było to absurdalne, przeżegnał się przed „Wolnością” Delacroix, zmówił obowiązkowy pacierz i w samych slipach wślizgnął się do łóżka. W półmroku dobiegł go cichy jak szept trzepot zasłon okiennych po drugiej stronie pokoju. Zamknął oczy i patrzył, jak rozsuwa się kurtyna. Rozpoczął się film.

Później, głuchą nocą, kiedy filmowa kronika wydarzeń dobiegła końca, Matthew zbudził się. Przez chwilę nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Kiedy wreszcie przypomniał sobie, gdzie jest, skonsternowany stwierdził, że wybił się ze snu, ponieważ musi skorzystać z toalety, a Guillaume zapomniał mu pokazać, gdzie ona jest.

Szybko narzucił ubranie. Korytarz, na który wychodził jego pokój, był długim, ciemnym tunelem, przypominającym pełen ołowianych rur kanał, w którym ktoś pogrzebał Matthew żywcem.

Stracił orientację. Nie znając topografii mieszkania, będącego dosłownie zbudowanym z maleńkich komórek ułem, wędrował po omacku korytarzem, od którego pod kątem prostym odchodził inny korytarz. Pierwsze drzwi na lewo były otwarte. Matthew ukradkiem pchnął je szerzej i zajrzał do środka. Wanna, umywalka, wieszaki na ręczniki. Zapalił światło, wszedł do środka i zamknął się od wewnątrz.

Była to jednak tylko łazienka, bez ubikacji. Ponieważ jednak długie miesiące życia w podle wyposażonym hotelu na Lewym

Brzegu nauczyły Matthew niemal instynktownego korzystania z umywalki, odkręcił kran z zimną wodą, wspiął się na czubki palców i oddał moczu do zlewu.

Znalazłszy się z powrotem na korytarzu, wracał tą samą drogą, którą przyszedł. W domu panowała grobowa cisza i spokój. Zobaczył przed sobą drzwi, których zarys podkreślało włókno światła nad podłogą. Matthew zbliżył się do nich bezszelestnie, obejrzał się ostatni raz na korytarz i nacisnął klamkę.

Nie był to jego pokój, lecz sypialnia Guillaume'a. Błękitnym światłem paliła się nocna lampka, rzucająca na łóżko blade blask. Co zobaczył Matthew? Guillaume'a i Danielle.

Danielle wyglądała niczym dzieło Balthusa. Spała rozciągnięta na łóżku, tylko częściowo przykryta, ziewając jak gdyby całym ciałem, zwinięta w pozie frenetycznego znużenia. Śliczna, zmierzwiona główka Danielle spoczywała na poduszce, lok włosów muskał jej wargi, a w zagłębieniu krocza dziewczyny ukrył się lubieżny czarny kot, jak gdyby zakleszczyła go pomiędzy udami. Miała na sobie gładki, biały podkoszulek i białe majteczki. Wyglądała na nie więcej niż czternaście lat.

Obok niej leżał zupełnie nagi Guillaume. On także spał z jedną nogą pod kołdrą; drugą wysunął na wierzch. Wyglądał niczym arlekin w dwubarwnych pantalonach – prawą nogę miał ciemną, lewą jasną. Jego stopa zwisała swobodnie poza krawędzią łóżka. Spał na wznak, z dłońmi splecionymi pod głową, wyglądał więc jak ktoś, kto wyciągnął się leniwie na polu. W otwartych wklęsłościach jego pach widać było dwa skulone cienie. Trzeci cień, ten, który na ciele człowieka wygląda jak wierzchołek odwróconego trójkąta, krył się pod kołdrą w miejscu, gdzie wystawało spod niej udo chłopaka.

Tworzyli widok tak absolutnie niezwykle dlatego, że kończyny brata wydawały się należeć do jego siostry – i odwrotnie.

Matthew przez dłuższy czas tkwił w całkowitym bezruchu na progu pokoju, urzeczony nie tylko widokiem ich ciał, splecionych niczym w wypadku samochodowym, lecz także tajemnicą Androgyne.

W końcu cichuteńko zamknął drzwi i odszedł na palcach spod sypialni Guillaume'a.

CZĘŚĆ DRUGA

*PARYŻ – NORMANDIA*

*Marzec, kwiecień 1968*



**G**dy następnego ranka Matthew otworzył oczy po niespokojnej nocy, zobaczył najpierw sprężoną do skoku Danielle, która klęczała na łóżku, wpatrując się uważnie w jego twarz. Narzuciła na ramiona staromodny wełniany szlafrok w brzydkim ciemnokasztanowym odcieniu, zdobiony na rękawach i wyłogach sznurowymi galonami, skręconymi równie ciasno jak węzły wijące się na mundurach operetkowych huzarów. Jedynie błysk pastelowo-białego uda wskazywał, że pod szlafrokiem ma wciąż gładki biały podkoszulek i figi, w których spała.

Matthew cierpiał rankami na łagodną odmianę podwójnego widzenia. Jeżeli udało mu się powstrzymać naturalny odruch zdumienia na widok twarzy Danielle tak blisko jego twarzy, to dlatego, że zamglonym, zapatrzonym w nią oczom chłopaka jawiła się wciąż jeszcze postacią ze snu. Nie miał pojęcia, jak długo tak klęczała przy nim. Nie dała mu też czasu, by mógł ją o to zapytać, bo natychmiast podniosła do ust palec wskazujący i głosem władczym niczym głos hipnotyzera szepnęła:

– Nie ruszaj się. Nic nie mów. To jest rozkaz.

Wysuwając język, Danielle, której nie zadrzała dłoń, na poły jak niesforna uczennica, na poły jak chirurg wprowadziła palec w delikatne wgłębienie w kąciku lewego oka Matthew i z wolna, chciwie i ostrożnie, wydobyla umiejscowiony tam maleńki, kruchy stalaktycik snu. Przyjrawszy mu się dokładnie, strzepnęła go z czubka palca, po czym zajęła się podobnie strupieszającą, żółtawą okruszyną w prawym oku chłopaka. Obie nocne inkrustacje wyglądały na jej palcu całkiem mikroskopijnie, ale z punktu widzenia Matthew przypominały kości do gry, które dziewczyna wyciągnęła z jego oczu.

Kiedy operacja dobiegła końca, Danielle usiadła z wdziękiem na łóżku i powitała go:

– Dzień dobry!

Matthew dzwignął się i wsparł na poduszce. Zastaniał się kołdrą, bo wciąż miał na sobie tylko slipy.

– Danielle, co ty wyprawiasz, na miłość boską?

– No cóż, mój mały Matthew – odparła z ożywieniem. – Wyjmowałam z twoich oczu sen, to chyba oczywiste! Wiesz, masz piękne oczy. Guillaume co rano pozwala mi czyścić swoje, ale skoro w domu pojawiły się wczoraj takie wielkie, piwne gały jak twoje, nie potrafiłam sobie odmówić małego deseru.

– Ależ... ależ to zdumiewające, że mogłabyś chcieć zrobić coś takiego.

– Tak sądzisz? – zapytała Danielle, zeskakując na podłogę. – Nie było ci przyjemnie?

– Czy miałem odczuwać przyjemność?

– Jakżeby inaczej? – odpowiedziała pytaniem.

Po chwili dodała:

– Wstawaj już, leniuchu. Dom ożył i pozostaje do usług szanownego pana.

Manewrując trenem szlafroka niczym dama w wieczorowej sukni, wchodząca na schody w operze, Danielle ociągała się jednak z wyjściem z pokoju – tu poprawiła przekrzywiony obraz, tam odcyfrowała inskrypcję na srebrnym kubku chrzcielnym, podnosząc na chybił trafił rozmaite przedmioty i ważąc je w dłoniach, jak gdyby w magiczny sposób odkrywała na nowo niewidziane od dawna duchy dzieciństwa.

Matthew ani drgnął. Zauroczony, przyglądał się jej spod kołdry.

Wreszcie dziewczyna spojrzała mu prosto w twarz.

– No, na co czekasz? Czy nie kazałam ci... To jest, czy nie prosiłam cię w wyjątkowo uprzejmych słowach, żebyś zechciał wstać?

– Przestań, Danielle. Jestem nieubrany.

Uśmiechnęła się, unosząc brwi, jak gdyby chciała powiedzieć: „No i co z tego?”, i szymbowała dalej po pokoju. Po pewnym czasie, niemal niezauważalnie, przyrodzony rytm i swobodna, naturalna elegancja jej ruchów rozkwitła w gestach poddanych jakby nakazom choreografii, nieomal baletowych. Pomykała zwiewnie od łóżka do krzesła, od krzesła do masywnej biedermaierowskiej

komódki, i od komódki do „Wolności” Delacroix, muskając leciutko koniuszkami palców każdy przedmiot bądź gładząc go miłośnie otwartymi dłońmi.

Niespodziewanie, w kulminacyjnym momencie owego galowego przedstawienia, wypaliła:

– Kto to i w jakim filmie?

Matthew odpowiedział bez chwili wahania:

– Garbo w „Królowej Krystynie”. To scena jej pożegnania z pokojem, w którym kochała się kiedyś z Johnem Gilbertem.

– *W przyszłości, we wspomnieniach, będę często mieszkać w tym pokoju* – zakrakała Danielle, z niesamowitą wiernością naśladowując głos szwedzkiej aktorki. Potem, podnosząc wysoko w tył obnażoną nogę, która wychynęła spod ciągnącego się po podłodze szlafroka, otworzyła drzwi sypialni, odwróciła się do Matthew i zawołała:

– Łazienka jest na końcu korytarza. Pierwsze drzwi na lewo. Tak się składa, że całe skrzydło jest do naszej prywatnej dyspozycji. Jeżeli dokładnie za pięć minut nie znajdziesz się w pokoju Guillaume’a, będziesz miał z nami do czynienia.

Trzasnęły drzwi.

Matthew wstawał, nie w pełni zdając sobie sprawę ze złego samopoczucia, którego źródła nie pozwoliła mu zidentyfikować nieproszona wizyta Danielle, dlatego teraz dopiero zdołał je ustalić. Dziewczyna wspomniała przed chwilą, że ona i Guillaume mają do prywatnej dyspozycji „całe skrzydło”. Czy chodziło jej o skrzydło mieszkania? Czy to dlatego brat i siostra mogli bezkarnie sypiać razem, niczym urodzeni pod nieszczęśliwą gwiazdą Romeo i Julia, nie należeli bowiem do dwóch skłóconych rodów, lecz do jednej rodziny? Ale z drugiej strony, czy Danielle w ramionach brata nie szukała po prostu ukojenia w obliczu samotności albo bezsenności? Czy nie było możliwe, że mylnie odczytał jej ekstazyzną pozę, ciało rozciągnięte niedbale w poprzek łóżka, dłonie i stopy, powabne, rozłożyste skrajności, połączone bezładnie mlecznobiałymi członkami niczym gwiazdy konstelacji na wykresie astrologicznym?

Podobne pytania dzwoniły mu w głowie jak brzęczyk telefonu. Pozwolił im dzwonić, bo na żadne z nich nie umiał odpowiedzieć. Zaczął się ubierać.

W łazience zastał Guillaume'a i Danielle. Oboje byli w bieliźnie; Guillaume golił się maszynką elektryczną, a jego siostra siedziała na brzegu wanny, obcinając sobie paznokcie u nóg.

Nie odwracając głowy, Guillaume pozdrowił odbicie Matthew w lusterku do golenia. Podał mu tubkę pasty i zapytał, czy nie będzie miał nic przeciwko temu, by umyć zęby palcem. Zarówno on, jak i Danielle nie lubili pożyczać obcym swoich szczoteczek do zębów.

Czystość idzie w parze z boskością, ponieważ basen można wybudować obok kościoła, czystość i boskość nie są jednak tożsame. Choć było to niewinne powiedzonko, wypełniło nozdrza Matthew wieloznacznymi zapachami pływalni, na której niegdyś był.

Kiedyś często chodził na basen i w końcu stał się dobrym, szybkim i silnym pływakiem, czego ani on, ani nikt inny nie mógłby przewidzieć, biorąc pod uwagę jego wątłą budowę.

Prawdę mówiąc, sam basen go nie pociągał, choć Matthew lubił przyglądać się młodzieńczym pływakom płci męskiej, przypominającym czarujące posążki, które zarabiają na chleb jako atlasy lub fontanny. Skakali do wody z ciężką gracją torped, po czym zaczynali ciąć ją wściekle na pasy, co wyglądało, jak gdyby w basenie pracowało równocześnie kilka par nożyczek.

Jego ledwie wówczas rozbudzone zmysły pobudzało jednak raczej to, co działo się za kulisami pływalni. Tam bowiem, przy akompaniamencie uderzenia mdłości, odkrył fosforescencję, opalizację, nieodpartą mieszankę czystości i brudu, oszałamiający koktajl z potu, mydła i spermy, w którym skąpani gibcy młodzi mężczyźni, milionerzy piękna, dandysi nagości, złoci medaliści animuszu, kuszących póz i pewności siebie, przechadzali się pośród plugawych kabin, wystawiając na pokaz swoje ciała niby manekiny. Zresztą przybierali pozy manekinów, Wenus Botticellego albo panny O'Murphy z obrazu Bouchera – w taki sposób, że różowym policzkom ich siedzeń aż chciało się wymierzyć siarczystego klapsa.

Co więcej, na wpół przelotnym spojrzeniem nierzadko można było zaskoczyć nastoletniego Narcyza, siedzącego w jakiejś złowróźbnej alkwie, którego niedbale udrapowany ręcznik odślaniał tylko mały świetlik ciała, *in flagrante delicto* z samym sobą –



a poza i mina młodzieńca nade wszystko przywodziły na myśl samuraja w kulminacyjnym momencie harakiri.

– Masz. Ogot się tym.

Guillaume wciskał mu w rękę elektryczną golarzkę. Matthew przez chwilę nie wiedział, jak zareagować; wahając się, choć bardzo krótko, stracił okazję, by ukryć swoje uczucia. Guillaume natychmiast przyjrzał się uważnie jego bladej, bojaźliwej twarzy stęsknionego za domem maminsynka, czyniąc to równie badawczo, jak jego ojciec ostatniego wieczoru.

– Co, nie używasz maszynki?

Danielle ześliznęła się z brzegu wanny i również podeszła bliżej.

Dwa białe podkoszulki, dwie pary białych majtek, jedno szczerze opinające sugestywne wybrzuszenie, drugie podkreślone cieniem ciemnego konturu trójkątnego wzgórek – nic nie mogłoby go bardziej podniecić i poruszyć do szpiku kości, a zarazem zatrwożyć.

Cofnął się tylko po to, by dać się przygwoździć do drzwi, na których wisiał szeroki asortyment podomek i szlafroków kąpielowych.

– Ty się nie golisz! – powiedział Guillaume z drwiącym niedowierzaniem.

– Och, sprawdźmy to koniecznie – pisnęła Danielle, ale kiedy wyciągnęła rękę, żeby pogłaskać Matthew po policzku, chłopak odepchnął ją na długość ramienia.

– Przestańcie. Dajcie mi spokój.

Brat i siostra wycofali się. Przywykli, że Matthew z pokorą przyjmuje ich żarty i drwiny. Sądzi, że już dawno się na nie uodpornił, jak oni uodpornili się na burzliwą wymianę szyderstw między sobą. Przestraszyli się, że muszą w zamkniętym pomieszczeniu zmierzyć się z jego ogromnymi, urażonymi oczami, które zdawały się pożerać twarz Matthew oraz maleńką, ciasną łazienkę, wysuwając się ku ścianom, sufitowi, niewidocznym nadprożom i gzymsom niczym nadnaturalnie wielkie jabłka pędzla Magritte'a.

– No, dobrze. Nie golę się jeszcze – powiedział nadąsany. – Co z tego?

– Nic, nic – zamruczała Danielle, uśmiechając się z wymuszoną skruchą.

– Z moim ojcem było dokładnie tak samo – ciągnął chłopak. – Nie musiał się golić, dopóki nie skończył dwudziestu paru lat. Nie ma w tym nic szczególnie wyjątkowego.

– Oczywiście, oczywiście, że nie. Tylko że...

– Co? – Oczy Matthew zwęziły się w szparki.

– W przypadku Włocha to jednak z pewnością niezwykle – powiedziała Danielle, udając, że tłumi chichot. – Powiedziałabym, że coś takiego zdarza się częściej w Meksyku.

– W Meksyku?

– Mam na myśli meksykańskiego bezwłosego psa.

– Niech cię szlag trafi, Danielle!

– Ale wiesz, ciekawa rzecz – trajkotała dalej dziewczyna. – Bo meksykańskie bezwłose wcale nie są bezwłose, a w każdym razie nie całkiem. Mówiąc delikatnie, są porośnięte w tych samych miejscach, co ludzie. Powstaje zatem pytanie, czy ty masz tam włosy, Matthew?

– Co takiego?

– Masz włosy... tam?

Dziewczyna bez krztyny zakłopotania wskazała właściwe miejsce na swoim własnym ciele. Jej gest był tak otwarty i szczery, że nie można było mieć wątpliwości co do jego znaczenia.

Miłość jest ślepa, ale nie głucha.

Matthew poczuł, że drży mu dolna warga. Znał siebie zbyt dobrze, by nie wiedzieć, że za chwilę się rozplynie w plamę pozbawionej nerwów, kleistej galaretki z czerwonych porzeczek. W ustach miał wciąż resztki pasty i wody. Poczuł nagle ich smak.

Gdy maszerował korytarzem z powrotem do pokoju, usłyszał stłumioną kłótnię, jaka wybuchła między Guillaume'em a Danielle. Trzasnęły drzwi od łazienki. Po chwili dogonił go Guillaume, zdyszany, wciąż w bieliźnie, pocierając podbródek ręcznikiem zdobionym wzdłuż brzegów jakimś greckim motywem.

– Nie traktuj tego tak poważnie, *mon vieux* – powiedział, otaczając przyjaciela ramieniem. – Wiesz, że Danielle lubi cię drażnić, ale to nic nie znaczy. Drażni się z tobą, bo cię lubi.

– Za późno. Już mnie tu nie ma.

– Co, chcesz już iść? Bzdura. Nie jadłeś jeszcze śniadania. Poza tym i tak zamierzaliśmy cię zaprosić, żebyś został u nas dłużej. Nasi rodzice jutro wyjeżdżają, mają domek w Var, więc pomyśle-

liśmy, że może zechciałbyś przewieźć tu swoje rzeczy. Nie musisz przecież chyba wracać do tego swojego upiornego pokoju? Nie zapłaciłeś z góry ani nic takiego? No, to zgódź się. Danielle będzie strasznie zawiedziona, jeżeli się nie zgodzisz. Obgadaliśmy to wszystko w nocy.

To było przejęzyczenie. Ponieważ wieczorem Danielle wstała od stołu i zniknęła pierwsza, z punktu widzenia prawa i przyzwoitości Guillaume nie mógł rozmawiać z nią aż do rana.

Teraz jednak umysł Matthew zaczął rozpatrywać tezy mniej trywialne, lecz bardziej przekonujące.

Zaferowano mu uprzywilejowany dostęp do tajemnego świata, z którego był do tej chwili wykluczony, wstęp na planetę boleśnie odległą od układu słonecznego przeciętnych, prawych obywateli, na podobieństwo średniowiecznych astronomów skłonnych uważać nasz układ słoneczny za Wszechświat. Był to świat, o którym dwadzieścia cztery godziny wcześniej nie wiedział praktycznie nic. Obcował z jego mieszkańcami jedynie powierzchownie i tylko wtedy, gdy wpadło im do głowy, by niczym kalifowie albo aniołowie wędrować *incognito* po zwyczajnej ziemi, upstrzonej dokumentami tożsamości, zeznaniami podatkowymi i wyciągami z kont bankowych, a zamieszkaną przez owych przeciętnych, prawych obywateli.

Świat, planeta, kosmos: to pojęcia fizyków i marzycieli spod znaku Jules'a Verne'a. Tymczasem planeta wirująca, jako żywo, wokół placu de l'Odéon, istniała dla Matthew w daleko bardziej konkretnych i przyziemnych kategoriach. Chlubiła się już splątanymi nogami, nieposłanymi łózkami, wspólną, ciepłą i wilgotną łazienką o okiennych szybach, pokrytych rosą, pachnącą podejrzanie wieloma nieodśloniętymi dotąd tajemnicami, w które jednak Matthew zapewne uzyska w końcu wgląd.

Zamieszkać u Guillaume'a i Danielle, choćby tymczasowo, byłoby pomyłką: miał wszelkie powody po temu, by zdawać sobie z tego sprawę. Nie zamieszkać u nich byłoby jednak w nie mniejszym stopniu błędem. Chodziło zatem o to, aby popełnić właściwy, nie niewłaściwy błąd.

Kiedy pojawiła się Danielle, by z pozorną szczerością przeprosić go za swoją gruboskórność i zaszczycić czoło chłopaka afektowanym, siostrzanym pocałunkiem, Matthew powiedział „tak”. Po-

stanowili przetransportować jego rzeczy z hotelu później tego samego dnia.

Okazało się, że mieszkanie posiada jednak coś w rodzaju skrzydła, zamieszkanego wyłącznie przez rodzeństwo. Skrzydło miało nawet nazwę: *le quartier des enfants*. W drodze do kuchni Matthew zorientował się, jak daleko od centrum leżą ich sypialnie.

Rankiem poety nigdzie nie było widać. Jego małżonka, pochylona nad kuchennym stołem, na którym leżała rozpostarta płachta „Le Figaro”, wymamrotała słowa powitania skierowane do swoich przybranych dzieci i ich gościa, po czym apatycznie zgarnęła gazetę i wyszła pod byle pretekstem. Była ubogą krewną we własnym domu.

Siedzieli z łokciami na stole, popijając kawę z pucharków, które trzymali obiema rękami i w których zanurzali grube *tartines*, smarowane masłem przez Guillaume’a.

Matthew, chłopak o zbyt wątłej konstytucji fizycznej, by można go było w dzieciństwie wysłać na wakacje na obóz wędrowny, nie miał dotąd okazji, by jeść śniadanie z kimś spoza kręgu swojej własnej rodziny. Postanowił więc zachować ten pierwszy poranek w pamięci, tak jak przechowuje się negatyw filmu – nieskalany i niepomarszczony wskutek projekcji. Rezultat owego postanowienia był jednak taki, że Matthew każdy bez wyjątku własny gest oblekał w niczym nieusprawiedliwione namaszczenie. Podobny Grecie Garbo w roli królowej Krystyny poczuł, że tego pucharka do kawy, tej łyżeczki i tej cukiernicy dotyka raczej po raz ostatni niż pierwszy.

Przez cały dzień padało, troje przyjaciół nie wychodziło więc z domu. Zdawało się, że – jak poprzednio – zawarli cichą umowę, by nie wspominać Kinoteki ani Langlois. Poeta, wycofawszy się wcześniej do gabinetu, by pielęgnować natchnienie, nie wykazywał dalszego zainteresowania osobą Matthew.

Guillaume i Matthew spędzili większość dnia, wylegując się w salonie w gibkich i elastycznych pozach, jakie przybierają koty, które ocierały się grzbietami o ich nogi. Gawędzili, wymyślali zagadki filmowe, by wzajemnie sprawdzić swoją pamięć, i uaktualniali notatniki Guillaume’a.

Danielle ze swej strony nie chciała mieć nic wspólnego z ich infantylnymi rozrywkami. Czytała powieść, łapczywie odwraca-

jąc kartki, jak gdyby każda zapowiadała jakiś uderzający zwrot akcji albo rewelację, która wyjaśni się dopiero na następnej stronie. Od czasu do czasu rozplątywała swoje smukłe kończyny, nakręcała patefon i opuszczała igłę na powierzchnię płyty, odtwarzając za każdym razem tę samą, trzeszczącą piosenkę, „Que reste-t-il de nos amours?” Charles’a Treneta, której słuchała niejako nałogowo.

Kiedy piosenka zabrzmiała po raz ósmy lub dziewiąty, słowa wryły się na dobre w pamięć Matthew:

*Ce soir le vent qui frappe à ma porte  
Me parle des amours mortes  
Devant le feu qui s'éteint.  
Ce soir c'est une chanson d'automne  
Devant la maison qui frissonne  
Et je pense aux jours lointains.*

*Que reste-t-il de nos amours?  
Que reste-t-il de ces bons jours?  
Une photo, vieille photo  
De ma jeunesse.*

*Que reste-t-il des billets-doux,  
Des mois d'avril, des rendez-vous?  
Un souvenir qui me poursuit  
Sans cesse.*

*Bonheurs fanés, cheveux aux vents,  
Baisers volés, le rêves mouvants,  
Que reste-t-il de tout cela?  
Dîtes-le-moi.*

*Un p'tit village, un vieux clocher,  
Un paysage si bien caché,  
Et dans un nuage le cher visage  
De mon passé.*

Kiedy Danielle wstała, żeby nastawić piosenkę po raz dziesiąty, brat podniósł na nią pełen gniewu wzrok.

– Jeżeli jeszcze raz włączysz tę pierdoloną płytę, to przysięgam, że rozwałę ci ją na głowie.

– Coo? – zapytała Danielle, otwierając szeroko oczy ze zdumienia. – Myślałam, że lubisz Treneta.

– Ale nie piętnaście razy z rzędu.

– Kiedy znajduję coś, co lubię, chcę się tym sycić do cna – oświadczyła z nabożeństwem dziewczyna.

– Już się nasyciliśmy. Basta.

– Słyszałeś, Matthew? Mówi takie rzeczy, a sam oglądał „Laure” osiemnaście razy... Osiemnaście razy, wyobrażasz sobie? A mnie każe przestać słuchać jakiejś płytki. Guzik, nie przestanę.

Danielle podeszła do patefonu i zaczęła go nakręcać, pogwizdując niczym bohaterka komedii, usiłująca udawać nonszalanczką niezłomność, po czym opuściła igłę na powierzchnię płyty.

Tradycyjnie rozległ się trzeszczący syk, jak gdyby śpiewak chrząkał, po czym zabrzmiał głos Treneta:

*Ce soir le vent qui frappe à ma porte  
Me parle des amours mortes  
Devant le feu qui s'éteint...*

Kiedy Guillaume podźwignął swoje wysokie, leniwe ciało i zbliżył się do arabesek jak z sukni Loïe Fuller, Danielle ustawiła się przed patefonem, żeby osłonić go przed zagrażającym mu wandalom. Wydawało się, że starcie jest nieuniknione. Ale:

*Que reste-t-il des billets-doux,  
Des mois d'avril, des rendez-vous?  
Un souvenir qui me poursuit...  
Un souvenir qui me poursuit...  
Un souvenir qui me poursuit...*

Igła zacięła się, co nie tylko nie uśmierzyło wściekłości Guillaume'a, lecz przeciwnie, jeszcze ją podsycało. Danielle, usiłując odepchnąć go pięściami, zaprotestowała piskliwym, wysokim głosem:

– Nie, nie! Przestań, nie rób tego! Zaczekaj! Matthew! Matthew, powiedz mi... Jaki to film?

– Jak to jaki to film?

Danielle, opędzając się wciąż od Guillaume'a, powtórzyła:

– Jaki film... Nie, wymień tytuł filmu, w którym... zaczyna się płyta. Szybko! Jeżeli nie odpowiesz, dajesz fant.

Ponaglany przez Danielle, Matthew wyteńczył pamięć.

– Szybko, szybko, albo dajesz fant!

– „Panowie w cylindrach”! – otrąbił w końcu triumfalnie Matthew.

– „Panowie w cylindrach”?

– Nie pamiętasz? Fred Astaire stepuje w pokoju hotelowym nad apartamentem Ginger Rogers, i wtedy zaczyna się płyta.

Danielle zastanawiała się przez chwilę, próbując przywołać tę scenę w wyobraźni.

– Jakoś nie mogę sobie tego przypomnieć...

– Matthew ma rację – powiedział Guillaume, który zdążył już zapomnieć, co go zerwało na nogi.

– W takim razie brawo, mój mały Matthew! – zawołała Danielle.

– Zaraz, zaraz, Danielle, a jaki wzięłabyś fant?

– Ach – odpowiedziała zagadkowo – tego nie mogę powiedzieć.

I tak zaczęła się gra.

Danielle, która chciała, by każdy przedmiot nosił jakąś nazwę, w tym nawet rzeczy, które nazw nie mają, ochrzciła zabawę mianem „kina domowego”. Oto na czym polegała: młodzi ludzie mogli spokojnie zajmować się swoimi sprawami, razem lub osobno, czytać, grać przed buzującym w kominku ogniem w szachy albo w „monopol”, nadawać gwiazdki filmom z „Pariscope” (co należało do wyjątkowo monotonna zajęć), gdy nagle jedno z nich, pod wpływem mglistego poczucia *déjà vu*, a zatem spontanicznie i bez premedytacji, obcesowo przerywało daną czynność, odgrywało króciutki urywek jakiejś *mise en scène* na użytek pozostałej dwójki i wołało: „Jaki to film?” albo „Jaka to scena?” – choć można było także zażądać: „Wymieńcie postać, która...”.

Na przykład później tego samego dnia, porządkując gazetowe wycinki, które zbierał bez celu od lat, Guillaume położył na nich szklany przycisk do papierów. We wnętrzu przycisku, gdy się go odwróciło, powstawała miniaturowa zawieja śnieżna. Nieuważnym, szerokim gestem Guillaume strącił przycisk na dywan, a wtedy Matthew i Danielle nie dali mu nawet szansy, by zadał wiadome pytanie, wykrzyknęli bowiem równocześnie: „Obywatel Kane!”.

Zagadka była zbyt łatwa, z czasem jednak gra stawiała się coraz trudniejsza. Innego dnia, w kuchni, dała się słyszeć następująca rozmowa między Matthew a Guillaume'em:

– Guillaume, zastanawiam się...

– Matthew, czy mógłbyś...

Cisza, po czym:

– Mów dal...

– Przepraszam. O co...

Kolejna pauza.

– Chcę tylko...

– Zamierzałem...

I wtedy Matthew rzucił się na Guillaume'a.

– Wymień tytuł filmu!

– Że co?

– Nie wygłupiaj się, Guillaume. Podaj tytuł filmu, choćby jednego, w którym dwie postaci nieustannie wpadają sobie w słowo.

Zabrzmiały okrzyki sprzeciwu w rodzaju: „Śśśś! Nie mów mi, nie mów!”, i jednocześnie „Czas minął! Dajesz fant!” – aż w końcu Guillaume wymienił właściwy tytuł – a może dał przyjacielowi fant.

Fanty, które stały się elementem zabawy wskutek spontanicznej uwagi Danielle, kiedy przyjaciele podjęli grę po raz pierwszy, miały początkowo charakter kapitałowy. Frank, dwa franki albo pięćdziesiąt centymów, w zależności od zasobów ofiary lub kaprysu zwycięzcy.

Szybko jednak znudzili się tak trywialnymi wygranymi, trudno było bowiem określić je mianem zysku, tym bardziej że – prawdę mówiąc – szczupłe fundusze przyjaciół znalazły się wkrótce we wspólnej puli, zwanej przez Danielle „kufrem wspólnoty”, której została samozwańcym skarbnikiem.

Nie chodziło więc o zysk – a hierarchia nowych doświadczeń, prób i wyzwania życiowych miała stopniowo przekształcić grę, która zaczęła się niewinnie, od infantylnych żartów i chichotów, w sakrament i liturgię, toteż z czasem wygrywane w niej fanty nabrały zupełnie nowego znaczenia.

Wróćmy jednak do tamtego pierwszego popołudnia. Deszcz zamienił się w równomierny, rzadki, uporczywy kapuśniaczek, Guillaume i Matthew o piątej wyszli więc z domu. *Mobylette* Guillaume'a, zabezpieczony kłódką i łańcuchem, stał u stóp scho-



dów w obskurnym holu apartamentowca. Guillaume zamierzał zawieźć przyjaciela na tylnym siedelku do Casbah, wysadzić go przed wejściem do hotelu i wrócić do domu, Matthew zaś miał tymczasem spakować bagaże i wrócić do domu taksówką. Guillaume umyślił jednak zboczyć po drodze z trasy, czego nie śmiał wyjawićzawczasu Danielle, chciał bowiem jeszcze skręcić do XVI Dzielnicy, by sprawdzić, czy jakimś szczęśliwym zbiegiem okoliczności Kinoteka nie została otwarta. Obawiając się zmiłowatego języka siostry, Guillaume wymógł na Matthew przysięgę milczenia, której złamanie groziłoby mu bolesnymi torturami.

Jednak gdy ktoś cię zaklina, byś nie ujawnił poufnej informacji, niemal na pewno sam znajdzie jakiś sposób, żeby ją wypłacić, nim zdążysz zrobić to ty. Tak stało się i tym razem – i to tak szybko, że kiedy Matthew znalazł się z powrotem w *quartier des enfants*, Danielle znała już tajemnicę, której z jego ust nie wydarłoby nawet łamanie kołem. Nie trzeba dodawać, że na kratownicy Kinoteki wisiał wciąż napis: *Fermé*.

Również Matthew miał swoją tajemnicę. Był wtorek, dzień, w którym zazwyczaj chodził do spowiedzi, więc pożegnawszy Guillaume'a, wyszedł z hotelu, którego nazwa rysowała się pionowo neonowymi literami na tle pejzażu Paryża, wsiadł do metra i pojechał na aleję Hoche.

Tam, w angielskim kościele, wyznał swoje grzechy przysypiającemu księdzu – po stłumionych, acz dźwięcznych odgłosach chrapania, przypominających pochrząkiwanie wieprza, domyślił się, że to leciwy Irlandczyk, ojciec Murphy. W niszy, dokładnie naprzeciwko konfesjonału, stała gipsowa Madonna, ściskająca w dłoniach na tle rzeźbionych fałd swojej szaty kulę ziemską, jak gdyby to była piłka do koszykówki. Błądą głowę Madonna cnotliwie przechylała na bok. Jej aureola, otoczona girlandą gwiazd, przypominała włączony wentylator elektryczny. Szkliste, niewidzące oczy figury były otwarte, wyglądały jednak na zamknięte, jak gdyby na jej powiekach delikatnie zaznaczono kontury fałszywych źrenic. W migotliwym świetle kościelnych świec Madonna niepokojąco upodobniała się do Louise Falconetti, „Joanny d’Arc od Łukowych Świąteł” z filmu Carla Dreyera<sup>5</sup>.

<sup>5</sup> Chodzi o niemy film „Męczeństwo Joanny d’Arc” (1928) Duńczyka Carla Dreyera, z Louise Renée Falconetti w roli głównej, która pierwszy i zarazem ostatni raz zagrała wtedy w filmie (przyp. tłum.).

Matthew ukląkł przed figurą. Z bijącym sercem w milczeniu modlił się o coś, o co zazwyczaj modlić się nie uchodzi – o coś, z czego, gdyby jego prośba została spełniona, musiałby się później spowiadać i co musiałby odpokutować.

Bezskutecznie walczył z sobą, by nie wymówić, nawet bez słów, swoich bluźnierczych błagań. Niestety, problem z ciałem polega nie na tym, że jest słabe, lecz na tym, że jest silne.

Jednak fakt faktem, że Matka Boska wysłuchiwała go. I choć z jej malowanych oczu nie popłynęły łzy, Matthew zaczął płakać – co, w dzisiejszych czasach, jest samo w sobie cudem.

Wyszedł z kościoła chwiejnym krokiem, przemykając ukradkiem wzdłuż jego murów. Po powrocie do hotelu spakował swój skromny dobytek do dwóch skórzanych walizek i czerwonej lotniczej torby podróżnej TWA. Potem zapłacił za pokój i kazał recepcjonistce wezwać telefonicznie taksówkę.

Kiedy taksówka zatrzymała się na światłach w pobliżu skrzyżowania z de l'Odéon, Matthew wyjrzał przez okno. Pod wiatą na przystanku autobusowym stała para młodych ludzi. Oboje trzymali pod pachami wielkie, nakrapiane niebieskozielone teki, jakich używają studenci szkół plastycznych. Chłopak miał zmysłową, nieco egzotyczną karnację, a twarz dziewczyny na podobieństwo kornetu okalały długie, proste, piaskowokasztanowe włosy. Niepomni przechodniów, rojnie schodzących się na stację metra i stojących w kolejce do kina „Publicis”, i niepomni nieuchronnego przyjazdu autobusu, na który, być może, czekali, nie całowali się ani nie obejmowali, lecz stali po prostu, wpatrując się sobie w oczy.

Matthew miał czas, żeby zaobserwować pewien urzekający szczegół. Chłopak, okręciwszy mały palec swojej towarzyszki wokół własnego małego palca, wznosił go na wysokość oczu, jak gdyby chciał jej zademonstrować godny podziwu sygnet.

Odwrócił wzrok. Zapaliło się zielone światło i taksówka ruszyła.

Tego wieczoru zjadł obiad z Guillaume'em i Danielle w jednej z *brasseries*, serwującej owoce morza na placu Bienvenue przy Montparnasse. Zafundował im posiłek, w podzięce za to, że zaprosili go, by z nimi zamieszkał. Zamówili gigantyczny półmisek ostryg, małży, krewetek, langust, krabów i kolczastych homarów,

spoczywających na kruszonym lodzie i źdźbłach wodorostów barwy, faktury i zapachu ceratowego, rybackiego sztormiaka. Posługując się hałaśliwie specjalnymi młoteczkami, pęsetami i szczypcami, przeorali półmisek, jak gdyby jego zawartość stanowiła teren wykopalisk archeologicznych.

Kiedy wrócili do domu, było parę minut po północy. Po zaciemnionych pokojach skradały się koty. Poeta i jego żona udali się już na spoczynek. Do Var zamierzali wyruszyć o pierwszym brzasku.

Nierzadko, a bez wyjątku zawsze, kiedy zaczynał albo kończył którąś ze swoich książek, poeta wymykał się pod pierzaste palmy, rosnące w ożywczym, ciepłym klimacie Var. I chociaż podczas wcześniejszych podróży, kiedy jego dzieci wciąż były jeszcze dziećmi, żona poety pozostawała w Paryżu, tym razem mąż zazyczył sobie jej kojącej obecności na wypadek, gdyby dwadzieścia minut po lub dwadzieścia minut przed nieśmiertelną godziną natchnienia kapryśny anioł stróż jego muzy nie zechciał się objawić na dziewiczej, niezapisanej stronicy.

Żona była środkiem uspokajającym poety, jego valium.

Dzieci, twierdził z uporem poeta, są już godne zaufania, mogą więc zostać same. To inteligentne, dorosłe osoby. Poza tym jest jeszcze siostra jego żony, stara panna po sześćdziesiątce, która czuwa i zaopiekuje się nimi, by wszystko toczyło się tak, jak należy.

Co więcej, wielokrotnie już okazywało się, że poeta miał słuszność. Pewnego wieczoru, na przykład, wrócił z żoną do wypucowanego na glanc mieszkania, zastając swoje potomstwo sumiennie odrabiające w ciszy lekcje, tłumaczące Wergiliusza czy też rozwiązujące jakieś absurdalne zadanie matematyczne, w którym była mowa o rurach, umywalkach i ciekących kranach.

Metamorfoza, jaką przeszło wówczas mieszkanie i jego lokatorzy, była niebywała, wręcz niesłychana. Za każdym razem bowiem, kiedy rodzice wyjeżdżali, oboje młodzi ludzie *pozostawieni byli sami sobie*. I sami sobie czynili wiele różnych i cudownych rzeczy; albowiem zarówno Danielle, jak i Guillaume, przynajmniej od wejścia w okres dojrzenia, w pełni korzystali z fizycznej i duchowej wolności, ofiarowanej im łaskawie hojną ręką ojca. Jak hazardziści, którzy pozbawieni kart albo kości, obstawiają numery rejestracyjne samochodów albo kolejność, w jakiej krople deszczu zsuną się po szybie, w istocie zatem zakładają się

o wszystko, Guillaume i Danielle nie potrzebowali niczego z wyjątkiem wzajemnego bezwarunkowego partnerstwa, by zstąpić w mroczne cienie swojej intymności.

Ruszając w szeroki świat, wyłączała światła, podobnie jak kierowca, który gasi długie światła żółtych reflektorów swojego samochodu, kiedy na zamglonej, nocnej autostradzie napotyka nadjeżdżający z przeciwka pojazd; później jednak, kiedy drzwi na świat zamykały się za nimi, światła rodzeństwa rozjarzały się blaskiem, który oślepił oczy.

To, co miało nastąpić, nie było więc dla Guillaume'a i Danielle niczym nowym; a jeśli tym razem ich lekkomyślność sięgała nieporównanie wyższych szczytów niż zwykle, to być może dlatego, że w Matthew znaleźli wreszcie odpowiednie dziecko, które mogli złożyć w swej kazirodczej kołysce.

Tymczasem jednak przez kilka dni ich wspólne życie przebiegało w zasadzie zupełnie bezbarwnie. Każdego ranka jedli razem w kuchni śniadanie, złożone z müsli i zimnego mleka, niezniechęceni twardymi okruchami zeschniętych płatków kukurydzianych, które wkrótce pokryły skorupą wnętrza niemytych miseczek. Potem Danielle wsiadała z bratem na jego *mobylette* i jechali razem do swojego *lycée*, Matthew natomiast podróżował metrem do położonej na peryferiach miasta szkoły filmowej. A po powrocie, wieczorami, rozrzucali na wszystkie strony w korytarzu płaszcze, kurtki i szaliki, po czym biegli do *quartier des enfants*, gdzie oddawali się coraz bardziej nałogowym sesjom pytań i odpowiedzi gry w „kino domowe”, której wyniki zaczęli zapisywać.

Były to błogie dni dla Matthew, który czasami, wracając ze szkoły, nie jechał metrem dalej niż do Vavin albo Denfert-Rochereau, aby następnie sprężystym krokiem pokonać resztę drogi do mieszkania pieszo, emocjonując się perspektywą spędzenia kolejnego wieczoru w towarzystwie swych ukochanych mentorów i dręczycieli.

Taki stan rzeczy nie mógł jednak trwać wiecznie. W ten bowiem sposób działa każdy narkotyk, niewoląc ofiarę z finezją oszusta karcianego, który pozwala przyszłemu nałogowcowi wygrać kilka rozdań, zanim zada mu decydujący cios.

A Guillaume i Danielle byli nałogowcami, których niezgłębiony głód zaspokajało kino i oni sami nawzajem, oni i kino byli bo-

wiem jedynymi opiatami, jakich kiedykolwiek kosztowali. Matthew natomiast – który, gdyby nie wyjechał z San Diego, niewątpliwie poślubiłby w końcu jedną z sympatii z dzieciństwa, jakąś seksowną, pociągającą flirciarę, cierpliwą, wdzięczną i wiecznie uśmiechniętą – raz na zawsze zdał się na łaskę i niełaskę niepewnych fortun swoich przyjaciół, czego pragnął i obawiał się zarazem.

Dlatego pierwsza faza „kina domowego”, którą można uważać za jej prehistorię, trwała stosunkowo niedługo.

Wkrótce Danielle, rozdrażniona czekaniem na sposobność, by zadać losowi mniej lub bardziej żywiołowy cios, postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce.

Pewnego popołudnia ubrała się w białe ogrodniczki, owinęła głowę zaimprovizowanym białym turbanem i nałożyła okulary przeciwsłoneczne w białych oprawkach. Przypominała hollywoodzką aktorkę z lat trzydziestych, którą sfotografowano w swobodnej pozie na werandzie posiadłości w Bel Air. Niby przypadkiem zajrzała do sypialni Guillaume’a, gdzie on i Matthew odczytywali na głos artykuły ze starych numerów „Cahiers du Cinéma”. Przypominające paciorki oczy Danielle natychmiast zarejestrowały pnący się bezładnie w górę stos książek, czasopism, bielizny, resztek kanapek i łupin po orzeszkach ziemnych. Uśmiechając się do siebie chytrze, sięgnęła po przeciętego już na trzy części papierosa – zanim jednak wsunęła go do lufki, zaczęła nim postukiwać o pudełko w szybkim, gwałtownym rytmie staccato. Potem, ostentacyjnie wypuszczając dym i nie wciągając powietrza do płuc między kolejnymi haustami, zaczęła przeżuwać słowa w kąciku ust niczym balonową gumę do żucia, którą w końcu wypluła:

– Ale nora!

Guillaume, nie podnosząc wzroku znad pisma, które czytał, odpowiedział machinalnie:

– Elizabeth Taylor w „Kto się boi Virginii Woolf”.

Twarz Danielle rozpromieniła się zwycięsko.

– Nieprawda!

– A gównu! – zawołał Guillaume. – W pierwszej scenie Elizabeth Taylor... – Urwał, nagle zdając sobie sprawę z pomyłki. – Och, Boże, nie, rzeczywiście. Ona parodiuje chyba Bette Davis, co? W...

– No, w jakim filmie, mój kochany braciszku?

Guillaume zaczął błagać, żeby Danielle podsunęła mu jakiś trop, choćby najlżejszą aluzję do aluzji, nazwisko reżysera, licz-

bę słów w tytule albo pierwszą literę jego pierwszego wyrazu – cokolwiek, co pomogłoby mu odblokować tytuł, który przecież miał na końcu języka.

Danielle, oczywiście, odparła ten atak. Kazała Matthew przysiąc, że będzie milczał. Czy Sfinks podpowiadał Edypowi, gdy zadał mu zagadkę?

W końcu Guillaume musiał uznać swoją porażkę.

– Chodziło o „Beyond the Forest” – powiedziała Danielle. – Film wyreżyserował King Vidor, mniej więcej w 1950 roku.

A po chwili dodała:

– Dajesz fant.

– Ile?

– Tym razem nie chodzi o pieniądze – odpowiedziała w taki sposób, jak gdyby wciąż parodiowała Bette Davis. – Tym razem chcę fant w naturze.

– Co to ma znaczyć? Jak to w naturze?

Danielle zsunęła okulary na czubek nosa, popatrując na brata znad oprawek, a potem z zimną krwią wyraziła swoje życzenie.

– Wzywam cię, żebyś zrobił to, co robisz, patrząc na *nią*, a czego byłam świadkiem bez twojej wiedzy. – Danielle zdjęła okulary i zamasyżując wskazała nimi owalny portret Gene Tierney.

Odpowiedzią na tę tajemniczą prośbę – tajemniczą, ma się rozumieć, dla Matthew, który wyczuwał jednak ulotne, dziwne, nieznanome cienie tańczące po pokoju, samogenerujące się i nieposiadające jeszcze prawdziwej substancjalności – była cisza tak głęboka i absolutna, że rozbrzmiewała głośniejsz od wielu zewnętrznych, przyziemnych dźwięków ulicznych. Na próżno usiłował zakłócić ją głos Treneta:

*Ce soir c'est une chanson d'automne  
Devant la maison qui frissonne  
Et je pense aux jours lointains.*

*Que reste-t-il de nos amours?  
Que reste-t-il de ces bons jours?  
Une photo, vieille photo  
Da ma jeunesse.*

*Que reste-t-il des billets-doux,  
Des mois d'avril, des rendez-vous?*

Rzuciwszy spojrzenie Matthew, Guillaume zwrócił się do siostry. W ustach czuł twardą kulę przygnębienia.

– Zupełnie nie rozumiem, co masz na myśli, Danielle.

– A ja jestem pewna, że rozumiesz, pieseczku – ciągnęła słodko jego siostra. – Tyle tylko, że, *voilà*, nie wiedziałeś, że ja o tym wiem. Po południu, kiedy wracasz ze szkoły, ryglujesz drzwi, a potem sprężyny łóżka zaczynają trzeszczeć i skrzypieć... Na litość boską, myślisz, że jestem za głupia, żeby się nie domyślić, co tam robisz? Poza tym przez dziurkę od klucza w drzwiach twojej sypialni dokładnie widać łóżko, nie można więc życzyć sobie bardziej właściwej oprawy dla plugastwa, któremu się oddajesz.

*Bonheurs fanes, cheveux aux vents,  
Baisers voles, rêves mouvants,  
Que reste-t-il de tout cela?  
Dites-le-moi.*

*Un p'tit village, un vieux clocher...*

– Dajesz fant – powtórzyła spokojnie Danielle.

– Nie zrobię tego.

– Nie zrobisz? Boisz się?

– Ty byś czegoś takiego nie zrobiła.

Danielle uśmiechnęła się szeroko i patrząc na Gene Tierney, zauważyła:

– Nie, nie zrobiłabym. Ale, z drugiej strony, ona nie jest w moim typie. Bo w innym wypadku...

– Straszna z ciebie suka. Suka i sadystka.

– Ach, wiesz przecież, że zawsze chciałam mieszkać na ulicy de Sade. Na ulicy de Sade pod numerem 120. Czy taki adres nie wyglądałby rozkosznie na papierze firmowym? – Ziewnęła. – Jednakże, Guillaume, pytanie brzmi, czy dasz mi fant, czy stchórzysz? A rozumiesz chyba, że jeśli się wycofasz, to będzie koniec gry.

Guillaume przez kilka chwil siedział w zamyśleniu, obrzucając kolejno spojrzeniem wszystkich obecnych w pokoju: Danielle, Matthew i owalny portret. Potem znów przeniósł wzrok na siostrę.

– Dobrze, Danielle, zgoda. Gra musi toczyć się dalej.

Powiedział to głosem aktora, występującego w gustownej komedii mieszczańskiej, któremu doręczono niepomysłny telegram na moment przed podniesieniem kurtyny, rozpoczynającym spektakl.

Matthew nigdy dotąd nie był tak bliski nienawiści do Danielle, jak właśnie w tamtej chwili. Nienawidził jej za to, że wyegzekwowała od jego przyjaciela Guillaume'a poniżające zobowiązanie, którego charakteru jeszcze dokładnie nie znał, ale które już budziło w nim niespokojne wspomnienia chłopięcych upokorzeń, jakie zadawali sobie uczniowie na boisku albo łypiący złośliwie i pożądliwie skauci w namiotach, zazwyczaj rozbijanych na odludnych polankach.

Bywamy jednak najbardziej bezlitośni, gdy odkrywamy własną niegodziwość, własną łajdacką obłudę, odbitą w niegodziwości i obłudzie drugiego człowieka; a przerażenie, które zaczęło ogarniać teraz Matthew, obejmujące nie tylko Guillaume'a, lecz także jego własną przyszłość na tej wyspie, na tej planecie i w tym mieszkaniu na pierwszym piętrze przy placu de l'Odéon, zlało się w jedno z nieokiełznanym niemal podnieceniem.

Guillaume wstał. Odwracając się do Matthew bokiem, zaczął ściągać sweter przez głowę.

– Ach, nie – powiedziała jego siostra, idąc na całość. – Bądź tak uprzejmy i nie zapominaj, że Matthew jest także częścią mojej wygranej.

Tym razem Guillaume wzruszył tylko ramionami. Wyzywająco stanął twarzą do Matthew i Danielle. Szybko rozpiął koszulę i zdjął ją, odsłaniając łopatki. Nie miał włosów na piersiach – widać było tylko pojedynczy ciemny kosmyk, wytryskujący spod jego pępka niczym górski strumień, który zapadał się z powrotem pod ziemię za paskiem od spodni. Guillaume rozpiął pasek i pozwolił, by sztruksowe dzinsy opadły na podłogę wokół jego stóp. Potem, pochylając się naprzód, podniósł najpierw jedną nogę, później drugą, i ściągnął wreszcie spodnie.

Wtedy, ku zdumieniu Matthew, Danielle zakryła sobie oczy rękami i wrzasnęła:

– Nie, nie! Tylko nie to, wszystko, tylko nie to!

Czyżby się rozmyśliła? Czy zdała sobie sprawę, że Guillaume ją przechytrył, zmuszając, by przyznała się do blefu?



Nic z tych rzeczy – dziewczyna bowiem, zerkając na niego ostrożnie zza splecionych palców niczym przez listwy żaluzji, za-trzęsa się z oburzenia.

– Ile razy ci mówiłam, żebyś nigdy, ale to *nigdy*, nie zdejmował spodni przed skarpetkami! Spójrz tylko na siebie, półgłówku, masz skarpety w kolorze marynarskiego błękitu. Kiedy jesteś na-go, wyglądasz upiornie, jak gdyby ktoś ci odpiłował stopy. Na-tychmiast zdejmij skarpetki!

Obrzucając siostrę niewiarygodnie groźnym spojrzeniem, Guillaume pozbył się gorszących ją skarpetek. Potem, po niemal niedostrzegalnej przerwie, zdjął białe slipy, rolując je raczej niż ściągając z genitaliów, niczym kobieta, która zwija nylonową poń-czochę, zanim wsunie w nią stopę, by z wdziękiem wygładzić póź-niej tkaninę otwartą dłonią. Kiedy Guillaume zsunął majtki do kostek, opadły na podłogę pomięte i bez życia, niby skóra ścią-gnięta z martwego zwierzęcia.

Stał przed nimi, zaciskając kolana i dygocąc z lekka niby świę-ty Sebastian, w którego ciele nie utkwiała jeszcze żadna strzała.

Wyłoniwszy się z obmierzłej poczwarki ubrania, Guillaume przeszedł całkowitą i zaskakującą metamorfozę, jaką przechodzą obszarpani ulicznicy z Fezu lub Tangeru, kiedy na plaży zrzucają skórę, odsłaniając przepiękną strojność swych ciał w naturalnym stanie.

Zawsze pozostaje jednak jeszcze ósma zasłona, która skrywa du-szę. Danielle pragnęła gorąco, aby Guillaume odrzucił tę zasłonę, i jeśli była sadystką, to jej sadyzm brał początek w tym miejscu.

Guillaume stał przez kilka sekund w milczeniu, kontemplując swój członek. Był niemal wzwiedziony – choć raczej należałoby powiedzieć, że nie był ani wzwiedziony, ani obwisły, znajdował się bowiem w stanie na wpół obrzmiałym, jak gdyby miał za chwilę lewitować na podobieństwo liny indyjskiego fakira. Jądra chłopa były ciężkie jak dynie.

Ukląkł na łóżku, pod owalnym portretem. W jego oczach było widać już zauroczenie nieprzeniknioną maską zabalsamowanego powabu, z jakim aktorka odwzajemniała ich spojrzenie, i zaczął masować swój członek, nadając mu odpowiedni kształt, niby ogromnej, różowej, woskowej zatyczce do uszu. Dłoń Guillaume'a pracowała stopniowo coraz szybciej, instynktownie odkrywa-

jąc na nowo znajomy, odwieczny puls, który wkrótce przyspieszył, wyprzedził go pędem i wykręcił się okrężnym ruchem spod władzy jego ręki, gnany rytmicznym szczękiem sprężyn łożka, przetańczającym się po pokoju jak odgłos tłoków ekspresowego pociągu, unoszącego go coraz bliżej miejsca przeznaczenia. Zdawało się, że wzwiedziony już teraz i siny penis kontroluje ruchy dłoni, a nie odwrotnie. Wyglądało na to, że Guillaume nie może rozluźnić uścisku, wbrew swej woli, jak ktoś, kto przez jedną przerażającą sekundę odnosi wrażenie, że jego palce przywarły na dobre do rozpalonej rączki patelni, którą bezmyślnie chwycił. A kiedy nadszedł moment przesilenia, perłowobiała sperma, którą wyrzucił z siebie Guillaume, sperma, jak wydawało się oczom Matthew, pełna świetlistych iskierek, trysnęła strugą w górę, po łuku, ku owalnemu portretowi. Parła ku przodowi, jak gdyby dążąc do wytkniętego celu, przed którym na ułamek sekundy zdawała się unosić w powietrzu, zawieszona, zatrzymana w locie, niczym niespodziewanie zamrożona fontanna w kształcie maleńkiej, lśniącej lodowej wieżyczki, z której pstryknięcie palców wydobywa wysoką, czystą, srebrną nutę.

Wrażenie to trwało nie dłużej niż ułamek sekundy, było wręcz podświadome albo podprogowe – bo chwilę później wszystko przeistoczyło się w wilgotną, zlepiającą chłopcu włosy na udzie kleistość i w słaby, słodkawy zapach pasty rybnej.

Guillaume leżał na łożku, dysząc ciężko, zmęczony, na boku, z rękami opuszczonymi wzdłuż pleców i bioder, w pozycji palacza opium. W gnieździe jego krocza ptasia matka wysiadывała znów spokojnie dwa jajka.

Stojąca na tle okna Danielle zdradzała poruszenie niejako mimo woli. Jej podglądactwo miało subtelną naturę. Lubiła podglądać podglądaczy. Kiedy Guillaume się onanizował, oczy dziewczyny, skryte za przeciwsłonecznymi okularami, nerwowo przeskakiwały z jej brata na Matthew i z powrotem.

Teraz, kiedy pokaz dobiegł końca, szyfru spojrzenia Danielle nie można było odczytać. Zza szkieł widać było tylko delikatne trzepotanie rzęs, przypominających latające nocą ćmy.

Matthew natomiast, który obejrzał tę scenę bez słowa, nie mógł już dłużej okłamywać się co do swoich uczuć, podobnie jak jego ciało. Miał rozpalone policzki, trzęsły mu się ręce i czuł, że jego

genitalia zamieniają się w zaciśniętą pięść. Zastanawiał się, jak będzie mógł kiedykolwiek znowu spojrzeć Guillaume'owi w twarz.

Jednak zupełnie niespodziewanie po owym nagłym podniesieniu stawek nastąpił rozejm, zawieszenie broni, które pomogło im przetrwać następne dwa dni. Drwiące, krzykliwe wezwania w rodzaju: „Jaki to film?” albo „Podaj tytuł filmu” na pewien czas przestały rozbrzmiewać w mieszkaniu, nie wiadomo, czy dlatego, że bez względu na to, jak się starali, nie byli w stanie wyczarować żadnej stosownej sceny z klasycznego filmu, czy – co było o wiele bardziej prawdopodobne – dlatego, że zarówno Matthew, jak i Danielle nie wyobrażali sobie, by mogli z jednej strony przystąpić do ofensywy, z drugiej zaś – wycofać się.

Danielle poszła za swoją własną radą i zajęła się najróżniejszymi przyziemnymi sprawami. Matthew wiedział jednak, że sprawa nie może się skończyć i nie skończy się na tym. To prawda, Guillaume ubrał się bez ceregieli, a potem udawał, że nie zaszło nic, co mogłoby spowodować najmniejszą zmianę w ich wzajemnych stosunkach. Ale dlatego właśnie, że dla Matthew coś – a może i wszystko – zmieniło się na zawsze, niemal nadnaturalne opanowanie przyjaciela wydawało mu się podejrzane. Czuł, że wpadł w sieć przerażającego cienia, rzucanego przez szybujące pod sufitem niespokojne chmury. W tej nowej atmosferze oczekiwania i czujności *quartier des enfants* zdawał się kołysać leniwie, mdląco, jak zawieszony w klatce.

A mimo to, jak poprzednio, o tej samej godzinie, tej nocy i następnej, Matthew wyszedł z sypialni i poszedł na palcach do pokoju Guillaume'a. Zastał jakby celowo otwarte drzwi i zapaloną lampę, chłonał więc w milczeniu widok brata i siostry, leżących półnago, ze splątanymi członkami. Przyglądał się leżącej na kołdrze nodze i ledwie widocznemu zarysowi drugiej, tuż pod nią, jak łabędziowi i jego odbiciu na powierzchni jeziora.

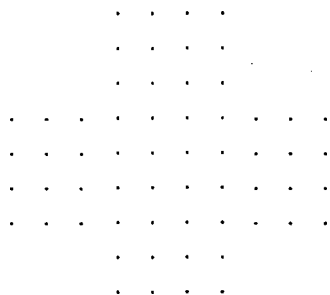
Oko, podobnie jak kamera filmowa, ogląda najpierw szeroką panoramę, a potem koncentruje się na pojedynczych szczegółach. Tej samej nocy Matthew dostrzegł coś, co umknęło przedtem jego uwagi: oto na dywanie po obu stronach łóżka leżały jak garść porozrzucanych liści kartki ze szkolnego zeszytu w kratkę, na których przecinały się poziome, pionowe i poprzeczne linie,

tworząc splątany, przypominający gwiazdę, wieloznaczny diagram nieznanego przeznaczenia.

Następnego ranka, kiedy Danielle zeskrobywała w kuchni tłuszcz z patelni należąca do jej macochy diamentową broszą, Matthew zapytał ją o owe rysunki, nie zdradzając jednak, w jakich okolicznościach je zobaczył.

W ten sposób wtajemniczyli go w *La Petite Croix*.

Tak nazywała się zagmatwana łamigłówka, z rodzaju zwanego przez Francuzów *casse-tête*, a wymyślona przez Guillaume'a i Danielle. Najpierw na kartce papieru w kratkę trzeba było wyznaczyć czteroramienny krzyż:



Zasady zabawy polegały na tym, by połączyć cztery punkty pierwotnego rysunku, poziomo, pionowo albo ukośnie, a potem dodać piąty w tej samej linii prostej. Figura zaczynała się rozrastać, stawała się coraz bardziej skomplikowana, rozgałęziała się we wszystkie możliwe strony, wykraczając czasem poza kartkę, aż wreszcie, niemal zawsze niespodziewanie, gracz musiał się zatrzymać, nie mając więcej do dyspozycji nowych dopływów, wzdłuż których mógłby podążać i które mógłby badać.

Rekord wszech czasów Guillaume'a wynosił sto trzydzieści dwie przecinające się linie, rekord Danielle mieścił się, jak to określiła, „w górnych granicach trzeciej dziesiątki powyżej stu”; natomiast kartki, które zobaczył Matthew na podłodze sypialni, były świadectwem zaniechanych wysiłków rodzeństwa, odpadkami, wyrzuconymi w wywołującym zgrzytanie zębami zniechęceniu, albo nieczystościami, przywodzącymi na myśl popielniczki, obrzydliwie pełne niedopałków.

Pierwsze przymiarki Matthew do nowej zabawy okazały się nerwowe i nieprzekonywające. Bardzo szybko nauczył się jednak wywą-

chiwać impasy, złudne korzyści i nierozważne gambity; z drugiej zaś strony, z zadowoleniem, które zdawało się nie licować z celem, o jaki szła gra, dostrzegał pierwsze oznaki kiełkującej sieci kolejnych przekątnych i pod koniec dnia uzyskał pierwszych sto punktów.

Choć jednak i *La Petite Croix* okazał się czymś w rodzaju narkotyku, można było sądzić, że nie istnieje większe niebezpieczeństwo, iż wejdzie on graczom w krew. Matthew w porę odkrył fiamigłówkę, Danielle z entuzjazmem wcieliła się w rolę jego instruktorki, Guillaume bacznie nadzorował postępy przyjaciela, a wszystko to służyło przede wszystkim obniżeniu temperatury w mieszkaniu i chwilowemu załagodzeniu napięć, powstających w wymuszonej, sztucznej ciszy, w której każde mniej abstrakcyjne i nieskomplikowane zajęcie mogło zachęcić ich do powrotu do gry w „kino domowe”.

Mimo to Matthew i Danielle zdawali sobie sprawę, że bawią się na marginesie daleko ważniejszej gry – podobnie figury szachowe, kiedy usunie się je z szachownicy, mogą zostać wyrwane z bezczynności, gdy wykorzystać je do paru przyjacielskich partyjek faraona. Wiedzieli, że wytchnienie będzie krótkie: że prędzej czy później wypowiedane niskim, ostrzegawczym głosem słowa Guillaume’a – *doskonale, Danielle, doskonale* – powrócą rykoszetem i w końcu uderzą ich w twarze. Żadne z nich nie mogło jednak przewidzieć, kiedy i w jaki sposób podejmą na nowo grę.

Nastąpiło to drugiego popołudnia, licząc od dnia, kiedy Guillaume wypłacił im fant w naturze. Rozlokowali się, jak zwykle, w *quartier des enfants* – Guillaume leżał na płask na dywanie z rękami pod głową, przyglądając się Matthew, który kreślił nowy krzyż, a Danielle piła chciwie wodę wprost z ogromnej karafki.

Nagle Guillaume wyrwał kartkę pokratkowanego papieru z rąk Matthew. Potem, dźgając palcem dopiero co narysowany krzyż, popatrzył na siostrę ze złośliwie zagadkowym uśmiechem i zapytał:

– Jaki to film?

Danielle czekała niemal całe dwa dni, aż sytuacja się odwróci i Guillaume zdobędzie nad nią przewagę, a mimo to pytanie ją zaskoczyło. Zdobyła się tylko na prośbę, by powtórzył zagadkę, choć prośba zabrzmiała głupio.

– Podaj tytuł filmu, w którym miejsce morderstwa zaznaczono krzyżykiem.

– Mówisz poważnie?

- A dlaczego nie?
- Bo takich filmów musi być kilkadziesiąt.
- Więc nie powinno sprawić ci trudności wymienienie choć jednego. Tobie też, Matthew.
- Mnie?
- Czy jest jakaś zasada, która nie pozwala mi zadać wam obojgu zagadkę jednocześnie?
- Ale co ja ci zrobiłem, Guillaume?
- Nic – odparł szyderczo Guillaume. – Bawimy się w „kino domowe”. *N'est-ce pas, Danielle?*
- Ależ, Guillaume – ciągnął Matthew, a jego dolna warga znów zadrzała. – Nie sądzisz chyba, że miałem cokolwiek wspólnego z... z tym, co się stało?
- Wymień tytuł filmu – brzmiała odpowiedź Guillaume'a. – Albo dawaj fant.

Zemsta, jak powiada francuskie przysłowie, jest daniem, które najlepiej smakuje na zimno, było jednak jasne, że Guillaume woli dostać swój posiłek prosto z pieca. *A chacun son goût*, jak również mawiają Francuzi.

Myśli Matthew wirowały bezustannie, ale bezskutecznie, niczym koło roweru, z którego zdjęto łańcuch. Jeśli na wybawienie go od konsekwencji wyzwania, jakie rzucił mu Guillaume, pozostała jeszcze jakaś nadzieja (a o tych konsekwencjach nie śmiał nawet myśleć), to widział ją jedynie w odpowiedzi, zawierającej żądany tytuł filmu. Niewątpliwie Danielle miała rację: są dziesiątki filmów, w których krzyżyk lub krzyż oznacza miejsce zbrodni; jeśli zaś nie dziesiątki, to choćby kilkanaście, sześć, trzy albo cztery – tyle jest ich *na pewno*.

Ponieważ znalazł się jednak całkowicie w jarzmie strachu i ogarnął go jawny popłoch w obliczu wyobrażenia, co prędzej czy później spotka go jeszcze w tym przeklętym domu, nie potrafił na dłużej zebrać myśli. Prawdę rzekłszy, gdyby Guillaume poprosił go, by wymienił tytuł dowolnego filmu, zapewne i w takim wypadku nie zdołałby wypełnić pustki w głowie.

Tymczasem Danielle odzyskała zimną krew. Nie odpowiedziała na zadane pytanie. Nie prosiła też, jak przedtem Guillaume, o żadną wskazówkę czy trop. To ona nadała grze nowy wymiar, a znała zarówno brata, jak i siebie zbyt dobrze, by łączyć się, że

któreś z nich może powrócić do trywialnych, dziecinnych stawek, które sprawiały im dawniej satysfakcję. Wyglądało na to, że uzbroiła się po prostu w cierpliwość, postąpiła więc najmądrzej, jak można, stając twarzą w twarz z tym, co nieuchronne.

– Czas minął – odezwał się rzeczowym tonem Guillaume. – Należy mi się fant.

– A tytuł filmu? – spytała Danielle. Była to czysta formalność, należało ją jednak uszanować.

– Tytuł? „Scarface”. Howard Hawks. Około 1932 roku... Choć nie, ściśle biorąc, film nakręcono dokładnie w tysiąc dwieście trzydziestym drugim.

– A fant?

– No cóż – oświadczył Guillaume, prostując plecy. – Jak wiesz, ja nie jestem sadystą, Danielle. Chciałbym po prostu, żeby wszyscy byli szczęśliwi i żeby nikt z nas nie czuł się opuszczony. Dlatego życzę sobie, żebyś ty i Matthew, dwoje moich najdroższych towarzyszy, poszli ze sobą do łóżka. Czy można wyobrazić sobie coś sympatyczniejszego? Ale nie tutaj – ciągnął Guillaume. – I tak mam już w łóżku cholerny burdel, więc nie chcę spać w pościeli poplamionej na dodatek wstrętną, cudzą spermą.

Matthew stał skamieniały, sztywno, nie mogąc się poruszyć, a Danielle paliła beznamiętnie papierosa, zadając proste, praktyczne pytania, dotyczące modalnych szczegółów żądania Guillaume’a, jak gdyby bała się, że źle go zrozumie i popełni błąd: były to bowiem pytania, które aktorka mogłaby zadawać reżyserowi na próbie.

– Więc gdzie?

– W pokoju Matthew. Przed reprodukcją obrazu Delacroix. Kto wie, może jedna reprodukcja doprowadzi do drugiej? – zastanawiał się Guillaume.

– Przypuszczam, że nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeżeli rozbiorę się tutaj?

– Absolutnie nie. Rób, co chcesz.

Danielle odgasiła papierosa w mosiężnej popielniczce, którą łatwo było pomylić z lampą Aladyna, i odłożyła pustą lufkę na jeden z czterech uchwyków. Potem podeszła do patefonu i włączyła znów płytę Charles’a Treneta. Nie zamierzała robić im striptizu, ale ta melodia stała się motywem muzycznym gry i było nie do pomyślenia, że można zapłacić fant bez jej słodko-gorzkiego akompaniamentu.

Rozebrała się, unikając niewczesnego pośpiechu, jak do snu. Nie wpatrywała się ostentacyjnie w Matthew i w Guillaume'a ani nie odwracała skromnie wzroku od ich twarzy. Jediną oznaką rozmyślnej perwersji w jej zachowaniu, szczególnie, choć rzutującym na całość jej postawy, było to, że przez cały czas miała na nosie ciemne okulary – zdjęła je dopiero na końcu, odsłaniając oczy, należałoby rzec, w pełnej krasie.

Dziewczyna, która nosiła niemodną garderobę babci równie przekonująco, jak rajski ptak eksponuje swoje nieprawdopodobne upierzenie, wydawała się teraz uwolniona od powłoki cieleśnej, niby odcięta od własnego ciała, które odsłoniła z dumą, acz obojętnie, jak gdyby w sali aukcyjnej wystawiała na sprzedaż swój naturalnej wielkości akt.

Miała piękną, szczupłą, kobiecą sylwetkę, pozbawioną nawet cała zniekształcającego ją tłuszczu, choć uroda Danielle nie była pozbawiona pewnej niepokojącej dwuznaczności; albowiem można było uznać, że jest to ciało młodzieńca *en travesti*, imitujące płęć męską aż po skórę i strukturę kości. Rozmazaną plamę, słabość, zmiękczenie ostrych kątów widać było jedynie w biegnących wzdłuż brzucha fałdach, zmarszczkach, wgłębieniach, dołkach i cienistych wcięciach, w ścieżkach przecinających się w magicznej studni głębi ciemnego, bajkowego lasu wzgórzka łonowego i w odwróconych łukach rumianych wklęsłości, prowokujących palce do wścibskich penetracji w górnej części pośladków, za kolanami oraz na całej długości kościstej grani ramion.

Tak więc Danielle stała w kałuży ubrania, czekając, aż rozbierze się Matthew.

Nadeszła w końcu chwila, której lękał się od dawna – oto miał zostać wepchnięty do wagonika kolejki górskiej w lunaparku.

Gorączkowy pociąg, jaki odczuwał zarówno do Guillaume'a, jak i do Danielle, pociąg, który wydawał mu się bólem, zimnicą, wytworną malarią, walczył w nim bez skutku ze wspomnieniami eksplodującymi w głowie Matthew z mocą bomb głębinowych – były to dziecinne *tableaux*, przedstawiające wrzeszczących wniebogłosy uczniów, wleczonych przemocą za toalety przy placu zabaw, gdzie ściągano im spodnie, smarowano genitalia pastą do butów i golono owłosienie łonowe starą, zardzewiałą, znaną w trawie brzytwą.



Choć przyjaciele z pewnością poczytaliby jego zachowanie za głupie i idiotyczne, pozostawała tylko jedna możliwość: ucieczka.

Skoczył bokiem ku drzwiom, ale Guillaume, który do tej pory leżał rozleniwiony jak odaliski Matisse'a, zerwał się na nogi i odciął mu drogę. Osaczony, Matthew cofnął się.

Czar przysł. Guillaume i Danielle poczuli się swobodniej. Zaśmiali się, a ich śmiech brzmiał o wiele bardziej złowieszczo niż poprzedzająca go cisza. Powoli zaczęli się do niego zbliżać.

– No, no, mój mały Matthew – zagruchała Danielle. – Nie zachowujesz się zbyt szarmancko, wiesz? Czy perspektywa seksu ze mną jest ci tak niemiła?

– Widziałem was! – zawołał Matthew. – Podglądałem. Widziałem was razem. W łóżku. To... Ale dlaczego ja miałbym dać się w to wciągnąć?

– Oho – powiedział Guillaume. – Nasz gość nas szpiegował. Nieładnie z jego strony.

– Boisz się? – szdyziła Danielle. – O co ci chodzi? A może nie masz z tyłu przedziałka? Zawsze myślałam, że ktoś tak miły, porządny i czysty jak ty nie ma przedziałka w pupie, tylko gładkie, różowe, niemowlęce ciało, okrągłe jak księżyc w pełni. Czy o to ci chodzi, Matthew? Nie chcesz, żebyśmy zobaczyli twoją pupę?

– Nie, nie, nie, proszę, Danielle, proszę cię...

– Ach, daj spokój, Matthew. No, chodź do mamusi...

Rzucili się na niego. Byli wyżsi i lepiej umięśnieni, więc szybko powalili go na dywan. Ściągnęli mu trampki, białe skarpetki i zieloną bluzę z logo uniwersytetu Columbia. Próbował wyrwać się szaleńczo z ich uścisku. Do oczu napłynęły mu ciepłe łzy. Machnął bezradnie ręką, ocierając się dłonią o piersi Danielle. Mimo to, cierpliwie, jak gdyby obierali karczoch z listków, i metodycznie, jak gdyby zadawali mu chińską torturę tysiąca cięć, pracowali niczym kaci, obnażając jego bezwłosą, z lekka wklęsłą pierś, pokryte meszkiem ramiona i smukłe, opalone nogi.

Przestał stawiać jakikolwiek opór. Danielle siedziała okrakiem na nogach Matthew, a Guillaume przygwoździł mu ręce do dywanu, chłopak leżał więc, szlochając, jak szlochają bardzo małe dzieci, z twarzą usmarowaną mieszaniną łez i smarków. Był nagi, jeśli nie liczyć jasnoniebieskich spodenek – choć należałoby raczej powiedzieć, że nie był jeszcze nagi, ponieważ nagość ko-

jarzy się na ogół z odsłonięciem tej tylko części ciała, wobec której reszta jest ledwie ubocznym dodatkiem.

Jednym szarpnięciem dłoni Danielle ściągnęła mu spodenki do kostek, po czym rzuciła je, zgniecione w kulkę, na podłogę.

Pierwszą niespodziankę sprawiła im biel jego krocza. W porównaniu z ramionami, nogami i piersią, wiecznie brązową piersią amerykańskiego młodzieńca, dla którego słońce jest tak prostym, znajomym i pożywnym źródłem energii, jak szklanka zimnego mleka, nagie podbrzusze Matthew kojarzyło im się z bladym płatem tynku na ścianie, gdzie wisiał kiedyś obraz.

Włosy łonowe miał ciemne, jedwabiste i proste, jak mieszkańiec Orientu, a jego jądra przypominały duże, szare owoce agrestu. Obrzezany członek Matthew okazał się niewielki – właściwie, choć niezupełnie, anormalnie mały – a przy tym pulchny i krągły, toteż wyglądał niczym trzecie jądro. W rzeczy samej, był tak przeuroczy, że na jego widok chciało się natychmiast utulić czule ten penis w złożonych dłoniach, niczym rozdygotanego wróbelka.

I zanim Matthew zdążył o cokolwiek ją poprosić, Danielle zaczęła modelować jego członek delikatnymi, wprawnymi jak ręce garnkarza dłońmi, kształtować go, rzeźbić, emaliować, wygładzać na nim zmarszczki – delikatnie, ciągle delikatnie.

Dotyk obcej dłoni na jego narządach płciowych sprawił, że Matthew poczuł, iż odkrywa niezbadaną dotąd część własnego ciała. Odetchnął głęboko. Drgały mu powieki. Coś twardego i sztywnego w jego ciele, coś, z czym musiał żyć, jak mu się wydawało, od wieków, coś, przez co jego dusza czuła się jakby ukrzyżowana w ciele – to coś zostało nagle i cudownie wypuszczone na wolność.

Czy Guillaume zauważył tę metamorfozę? Czy spostrzegł, że Matthew nieoczekiwanie zrzuca skórę? Trzeba przyznać, że Guillaume równie nagle rozluźnił chwyt na jego ramionach, które jak gdyby instynktownie owinęły się zaraz wokół nagiego karku Danielle. Dziewczyna przyłgnęła do Matthew, rozluźniona, wciskając się w jego członek, teraz wzwiedziony w pełni i śmiesznie wygięty w kształt poręczy empirowej kanapy, a chłopak znowu wziął głęboki oddech.

Najpierw zbliżyły się do siebie ich usta, potem podbrzusza.

Pozostało im jeszcze do pokonania niejaki zakłopotanie, głupie i dziecinne. W pewnym sensie Danielle była dziewicą, Mat-

thew zaś prawiczkciem – on nigdy nie kochał się z nikim oprócz siebie, a ona kochała się tylko z własnym bratem.

W końcu jednak ich usta i podbrzusza zetknęły się jednocześnie, niczym dwa sąsiednie guziki, które spinają wykrochmaloną koszulę.

Gdyby ktoś z nich wyteżył wtedy słuch, usłyszałby na zewnątrz, tuż pod oknem sypialni, tajemniczy tupot i fanfary policyjnych radiowozów, ale w tej chwili Matthew i Danielle z zachwycającą niezdarnością miłości oddali się temu, co André Breton nazwał kiedyś celnie „wspaniałą ceremonią, odprawianą pod ziemią”.

Krótko mówiąc, na oczach Guillaume’a, mętnych i poszarzałych, albowiem kryła się w nich jego samoświadomość, Matthew i Danielle zapłacili mu fant.

Tego wieczoru nikt nie przemykał po cichu korytarzem w *quartier des enfants*. Gdyby ktoś to jednak uczynił i gdyby drzwi do sypialni Guillaume’a były otwarte, a niebieska lampka nocna zapalona, oto co ukazałoby się oczom intruza:

Guillaume, Danielle i Matthew spali razem, nierozzerwalnie splełtani. Nawet w tej chwili ekstatycznego samowyrzeczenia wydawało się pozornie niemożliwe, by mogli wyzbyć się wrodzonej elegancji – i, można by rzec, wrodzonego szyku. Nagi Guillaume leżał na wznak u wezglowia, z rękami splecionymi na karku, tworząc literę „Y”; Danielle spoczywała w środku, między bratem i kochankiem, a jej nagie, zakleszczone ciało wygięte było w węzłowe, sinusoidalne S; Matthew natomiast, zwinięty ciasno w embrionalny kłębek, leżał z głową złożoną na brzuchu dziewczyny, tworząc literę L: razem przypominali do złudzenia monogram, będący znakiem firmowym Yves’a Saint-Laurenta.

Choć owa pierwsza wspólna noc w łóżku Guillaume’a stanowiła punkt zwrotny chwiejnej równowagi, jaką udało im się ustanowić w mieszkaniu, nie oznaczała wcale końca gry. Przeciwnie, rozpoczęła jej zupełnie nową erę.

Odtąd mieli grać w „kino domowe” intensywnie, obsesyjnie i monotennie. Grali w tę grę jak rozbitek na bezludnej wyspie gra w kółko i krzyżyk na piasku za pomocą kija albo jak skazaniec, który opracowuje szachowe końcówki, wykorzystując cienie i okru-

chy chleba. Tyle tylko, że – choć o tym nie wiedzieli – nie byli podmiotami gry, lecz zwyczajnymi pionkami, przesuwanymi nieubłaganie z pola na pole przez prawdziwego gracza, mającego monopolnie nad szachownicą niczym Fantomas nad dachami Paryża.

Przez mniej więcej dwa następne tygodnie niebo lało się na ziemię płatami piekącego deszczu, drobnego i ostrego jak ostrze gilotyny, zatem trójka przyjaciół zmuszona była przebywać w domu niemal całymi dniami.

Początkowo Guillaume kontynuował codzienne wycieczki do XVI Dzielnicy. Okrężał Palais de Chaillot, nie zsiadając z *mobylette*, i wracał do domu z bagietką albo kartonem mleka, po które rzekomo wychodził. Nie minęło jednak wiele czasu, zanim owe podejmowane bez entuzjazmu wyprawy ustały, a *mobylette* zaczął rdzewieć w wilgotnym korytarzu.

Zegary stawały i nikt nie nakręcał ich na nowo. Nikt nie słał łóżek, nie zmywał naczyń i nie zaciągał zasłon. Z czasem znacznie wyciekło z godzin, dni, a w końcu nawet miesiąca. Weekendy przychodziły i mijały niezauważone. Soboty i niedziele, stanowiące w uładowym życiu przeciętnych, prawych obywateli lśniąca awersy kart talii społecznego kalendarza, stały się coraz trudniejsze do odróżnienia od bezimiennych kart dni roboczych – aż wreszcie jedynym przejawem mijającego czasu stały się dla przyjaciół sporadyczne odwiedziny w pobliskim luksusowym supermarkecie.

Owe łupieżcze najazdy – tym bowiem w istocie były owe wyprawy – wprawiały Matthew w panikę, jak wtedy, gdy musiał ściagać się z przyjaciółmi w Luwrze. Kiedy on zapełniał wózek artykułami pierwszej potrzeby, jego towarzysze z animuszem wpychali do przepastnych kieszeni i pod podszewki płaszczy homary, trufle, kawior, pasztety z gęsich wątróbek, mango i brzoskwinie, a pewnego pamiętnego razu ukradli także wielką butlę szampana, którą Guillaume wcisnął sobie za pasek sztruksowych dzinsów. Obsceniczna wypukłość nadawała mu wygląd człowieka wyposażonego w sztuczny odbyt, a przy wyjściu z supermarketu Matthew denerwował się jak w sali odpraw celnych na lotnisku.

Tymczasem czeki, które poeta zostawił swoim dzieciom, spoczywały niezrealizowane na gzymsie kominka.

Troje młodych ludzi, osamotnionych na wyspie oddalonej mniej niż dwieście jardów od kościoła Saint-Sulpice i teatru de

l'Odéon, zachowywało się dokładnie tak, jak rozbitkowie na bezludnej wyspie. W pierwszym stadium penetrowali gorączkowo horyzont w poszukiwaniu śladów cywilizacji, opatrywali przypisami „Pariscope”, wyprawiali się do Palais de Chaillot, a nawet raczyli pójść na kilka lekcji, podczas których bazgrali na marginesach gwiazdy, profile postaci ludzkich i geometryczne gryzmoły, w zasadzie nie słuchając wykładów nauczycieli – potem zaś pogodził się z losem, pojęli bowiem, że niesie im dłuższą samotność.

Gdy brakło zwędzonych z supermarketu delikatesów, gotowali i jedli resztki zapasów z lodówki. Te ekscentryczne dekokty, niewybredne mieszaniny składników słodkich, kwaśnych, zimnych i gorących oraz mięsa i ryb, Danielle podawała z dumą na stół na patelniach, na których je przyrządzała. A jeśli mężczy domownicy wzdragali się przed letnim fondue, któremu towarzyszył lodowaty kompot z brokułów i suszonych śliwek, albo przed lasagne, nie wiedzieć czemu obficie przyprawioną musztardą, dziewczyna oświadczała z szerokim gestem:

– No, dalej! Wyobraźcie sobie, że to narodowa potrawa jakiegoś dotąd nieznanego kraju.

Danielle bronila się przed światem zewnętrznym najzarliwiej. To ona regularnie telefonowała do rodziców w Var i to ona mistrzowsko sfałszowała charakter pisma matki w liście adresowanym do dyrektora szkoły, do której chodzili z Guillaume'em, powiadamiając go, że dzieci zapadły na wirusowe zapalenie wątroby. To także ona zgodziła się przeprowadzić rozmowę ze wspomnianą ciotką, oddelegowywaną przez rodziców do opieki nad dziećmi zawsze wtedy, kiedy muza poety wymagała dłuższej rekonwalescencji w nieco bardziej umiarkowanym niż paryski klimacie.

Owa znamienita dama (pełniąca funkcję przyzwoitki i anioła opiekuńczego sumiennie, acz nie gorliwie) zaskoczyła rodzinę przed blisko dwudziestu laty, wymieniając skrzypce na klub nocny. Dokładniej mówiąc, sprzedała stradivariusza odziedziczonego po dziadku, sławnym polskim wirtuozie, by nabyć połowę udziałów w „Le Nègre Bleu”, zadymionym kabareczku przy Champs-Élysées, odwiedzanym przez pstrokatą, mieszaną klientelę, złożoną z gości płci obojga, jak i z osób bezpłciowych. Przytłoczona rachunkami, przepisami i normami wydziału zdrowia oraz nieustannymi kłótniami wśród personelu, czyli rozhisteryzowanych młodych mężczyzn, ciotka z wyjątkową przyjemnością przyjęła do

wiadomości w rozmowie z siostrzenicą, że ona i jej brat zdrowo się odżywiają, dobrze się uczą i chodzą spać najpóźniej o jedenastej.

I tak, krok po kroku, Matthew zyskiwał dostęp do najbardziej intymnych sekretów swoich przyjaciół.

Zobaczył, na przykład, wyrwane z czasopisma i zachomikowane przez Danielle w powieści „Mój przyjaciel Meaulnes” pozółkłe zdjęcie, przedstawiające z profilu jednego z synów Kennedy’ego, czternastoletniego chłopca, sfotografowanego chwilę po tym, jak byk przebił mu rogiem szyję w Pampelunie, chłopca, którego, jej zdaniem, Bóg pobłogosławił „najprzystojniejszą twarzą na świecie”, choć była zakrwawiona „i w ogóle”.

– Ukrywamy krew, chociaż powinniśmy się nią pysznić – powiedziała Danielle. – Bo krew jest piękna, piękna jak kamień szlachetny.

Guillaume z kolei pozwolił mu obejrzeć stronę wyrwaną z pewnego rękopisu, którą jako dziecko podprowadził z ojcowskiego biurka, a którą zupełnie serio zamierzał sprzedać kiedyś na aukcji za małą fortunę. Z około dwustu słów, zapisanych na kartce ręką poety, tylko to nie zostało wykreślone – co więcej, słowu temu przeznaczone było stać się kamieniem węgielnym jednego z najczęściej antologizowanych wierszy ojca Guillaume’a. Odkrywszy brak rzeczonyj strony w rękopisie, poeta zrobił straszną awanturę – choć było to bowiem tylko jedno słowo, doszedł do niego na drodze pewnych leksykalnych i syntaktycznych kalkulacji, równie skomplikowanych, jak obliczenia Einsteina, których wynikiem było słynne równanie teorii względności. Ostatecznie nieszczęsny ojciec musiał w podłym nastroju na nowo koncyptować zaginione słowo przez cały dziesięć dni.

Potem Danielle pokazała Matthew fiolkę tabletek nasennych, które przez kilka miesięcy zbierała pod pretekstem udawanej bezsenności. Zamierzała je wykorzystać do popełnienia samobójstwa – gdyby kiedykolwiek miała się na nie zdecydować.

– To mój bilet powrotny – powiedziała, błagając, żeby nie patrzył, kiedy troskliwie umieszczała pigułki i z powrotem w schowku.

I dodała:

– Są urodzeni samobójcy i urodzeni nie-samobójcy. Ci pierwsi nie zawsze odbierają sobie życie, a ci drudzy robią to czasami. Ja należę do pierwszej kategorii, ty do drugiej.

– Nigdy się nie zabiję – odpowiedział bez ogródek Matthew. – Wierzę, *naprawdę* wierzę, że jeśli człowiek odbiera sobie życie, idzie do piekła.

Matthew także zdradził im swój najgłębszy sekret, sekret ulicy Hoche.

– Człowiek odbiera sobie życie, bo rodzi się w piekle.

– To błyskotliwa uwaga, ale Jezus był bardziej błyskotliwy. Pozwól, że ujmę rzecz w ten sposób: nigdy się nie zabiję, bo cię kocham.

– Dzisiaj tak mówisz, ale być może nie zawsze będziesz mnie kochał.

– Będę cię kochał zawsze.

– Ciekawe. Gdyby słowo *amour* nie rymowało się z *toujours*, być może nigdy nie odczuwalibyśmy potrzeby utożsamiania miłości z wiecznością.

Często rozmawiali o kazirodztwie, fizycznej miłości między bratem a siostrą.

– Co byś zrobiła, gdyby dowiedzieli się o tym wasi rodzice? – zapytał Matthew pewnego dnia.

– To się nie może zdarzyć.

– Tak, ale co będzie, jeżeli przypadkiem się zdarzy?

– To się nie może zdarzyć.

– No dobrze. Ale powiedzmy, że wasi rodzice odkrywają przypadkiem prawdę. Co byś wtedy zrobiła?

Danielle zastanawiała się przez chwilę.

– To się nie może zdarzyć.

– A poza tym, czy kiedy matka i ojciec śpią ze sobą, nie uprawiają w pewnym sensie kazirodztwa? – zapytała w zamyśleniu Danielle.

Langlois dawno pogрузił się w ich niepamięci razem z Kinoteką. Mieli teraz własną kinotekę, z krwi i kości, co oznaczało, że nie grali już po prostu wtedy, kiedy przychodziła im ochota. W ciągu dnia czytali, bawili się w *La Petite Croix* albo obdarzali się nawzajem pieścotkami – Guillaume pieścił Danielle, Danielle Matthew, on zaś z kolei Guillaume’a. Co wieczór, gdy rozpoczynało się „kino domowe”, podnosiła się jednak kurtyna, o osiemnastej trzy-

dzieści, dwudziestej trzydzieści i dziesiątej trzydzieści. Seanse przedpołudniowe nie odbywały się, z wyjątkiem niedziel.

Nie było już mowy o tym, by któreś z nich polowało na innych, czekając na sposobność, analogię, epifanię albo chwilę łaski. Nie zadowalało ich nawet prowokowanie takich zaskakujących sytuacji. Od szóstej trzydzieści wieczorem kino było wszystkim, a wszystko było kinem.

*Quartier des enfants*, do której zostało zredukowane mieszkanie, jeżeli nie liczyć okazjonalnych wycieczek do kuchni, stało się aluzyjną, rezonującą komorą pogłosową, po której niczym pierścienie dymu snuły się cytaty, znane wszystkim kinomanom świata.

– Garance! Garance!

★

– Chyba umiesz gwizdać?

★

– Chodzę, Calvero, ja chodzę!

★

– To Piękna zabiła Bestię.

★

– *Vous avez épousé une grue.*

★

– Słyszeliśmy, że nie żyjesz...

★

– Marcello! Marcello!

★

– Trzeba było więcej niż jednego człowieka, by zmienić moje nazwisko na Shanghai Lil.

★

– *Tu n'as rien vu à Hiroshima.*

★

– *Bizarre? Moi, j'ai dit bizarre? Comme c'est bizarre!*

★

– *Ich kann nichts dafür! Ich kann nichts dafür!*

★

– Przymknijcie tych samych podejrzanych, co zwykle!

★



– Heej hoo! Panie Powell!

★

– Cóż, nikt nie jest doskonały.

★

– *Pauvre Gaspard!*

★

– *Où finit le théâtre? Où commence la vie?*

★

– Różyczka...

★

A także:

– Kocham cię...

★

– *Je t'aime...*

★

– *Ti voglio bene...*

★

– *Ich liebe dich...*

★

– *Te quiero...*

Kostiumy były zaimprovizowane, gesty wystudiowane, a sceny, które nie wypaliły za pierwszym razem, dostawały drugą szansę albo usuwano je z programu. Nie stosowano cenzury – ani Kodeksu Haysa.

Pewnego wieczoru, penetrując szafę, Matthew odkrył stary futrzany płaszcz, który poeta nosił za okupacji niemieckiej przez długie tygodnie podczas surowej zimy. Wyżarte przez mole, podejrzane futro wyglądało jak splecione z włosów łonowych młodego filipińskiego posługacza.

Matthew narzucił płaszcz na ramiona. Następnie uzupełnił kostium jednym z kartonowych pudeł, w których Guillaume przechowywał kolekcję „Cahiers du Cinéma”, koślawo wyrysował na tekturze niewątpliwie szympansie oblicze, wyciął otwory na oczy i rozpoczął sensacyjny występ, stając w drzwiach sypialni w przebraniu monstrialnej małpy.

– Jaki to film?

Guillaume i Danielle zaczęli się przekrzykiwać: „King Kong”! „Phantom of the Rue Morgue”!<sup>6</sup> „Godzilla”! Ale Matthew przecząco pokręcił małą głową. Kołysząc biodrami, wygiąwszy plecy w łuk i nisko zwiesiwszy ramiona, podszedł, zataczając się, do patefonu, po czym przy akompaniamencie Charles’a Treneta zaczął tańczyć sprośne shimmy pod osłoną futrzanego przebrania i kartonowej maski.

W końcu zdjął pudło. Twarz miał zaróżowioną, rzęsy zlepione proszkiem antymonowym, a włosy posypane mąką. Powoli zsunął z ramion futrzany płaszcz, który, jak się okazało, włożył na gołe ciało. Tańczył dalej, nago.

Dopiero wtedy Guillaume zawołał, chichocząc:

– Marlena Dietrich w „Blond Wenus”!

Nie minęła minuta, kiedy nadeszła kolej Danielle, by spytać:

– Jaki to film?

Zaskoczeni chłopcy spojrzeli bez wyrazu na nią, potem na siebie, i przecząco pokręcili głowami.

– „Noc w operze” – odparła, a kiedy Matthew i Guillaume nadal spoglądali na nią bezmyślnie, wskazała obrzezany, nabrzmiały członek Matthew:

– Patrzcie... Oto cygaro Groucha w kapeluszu Chica, porośnięte włosami Harpa!

Aż ich skręciło ze śmiechu.

Innym razem Guillaume znalazł pejcz, ukryty z jakichś tajemniczych powodów w maleńkiej rupieciarni pod stosem raket tenisowych i dziełami wszystkimi hrabiny de Ségur, przewiązanymi skórzanym paskiem niczym szkolne podręczniki dziewiętnastowiecznego ucznia. Otuliwszy nagie ciało białym prześcieradłem, Guillaume zamknął okno i odkręcił na cały regulator kran z gorącą wodą, żeby napełnić łazienkę puchnącymi obłokami pary i stworzyć atmosferę, przywodzącą na myśl turecki hammam. Z pejczem w dłoni i w kanarkowej barwy stetsonie na głowie, poczuł się jak bohater „Osium i pół”. Dążąc do dalszych analogii z dziełem Felliniego, odszukał wśród zbiorów płyt ojca trzeszczące nagranie „Cwałowania Walkirii” pod batutą Stokowskiego, co

<sup>6</sup> Film w reżyserii Roya Del Ruth z 1954 roku, remake „Murders in the Rue Morgue” (reż. R. Florey, 1932), oparty na opowiadaniu E.A. Poe (przyp. tłum.).

pozwoili im przyjemnie odetchnąć od odtwarzanego nieustannie Treneta.

Tak więc, synchronizując uderzenia z łoskotem Wagnerowskiego finału, Guillaume wywijał pejcem nad głową, a Danielle i Matthew, piszcząc jak dzieci, niewidoczni w oparach mgły, wskakiwali i wyskakiwali z wanny z parząco gorącą wodą, aby uniknąć razów w kostki, łokcie i pośladki.

Z raczonym wdziękiem brygadierów sceny, którzy bezdźwięcznie przedstawiają dekoracje w ludzkich snach, jeden film przechodził płynnie w drugi. Przepelniona wanna stała się następnie wanną Kleopatry z filmu Cecila B. De Mille'a. Z braku oślego mleka wykorzystali dwie butelki pasteryzowanego mleka krowiego. Matthew lał je do wanny, między rozwarte szeroko niczym nożyce nogi Danielle, która, jak w reklamie czekolady Cadbury, przyjmowała ów dar, złożony z dwóch zlewających się strug opalowej cieczy.

Łazienka, niebędąca już tylko antyszambrem sypialni i przelotną przystanią dla chwilowych uciekinierów z pola gry, zaczęła im służyć jako poboczny plan filmowy, alternatywny teatr działań. Wanna była dość przestronna, by pomieścić całą trójkę naraz, pod warunkiem, że Matthew siedział pośrodku, pozwalając z jednej strony Danielle, a z drugiej Guillaume'owi otoczyć się w pasie długimi, niemal identycznymi nogami. W ten sposób palce stóp siostry sięgały pach brata, a palce stóp brata sięgały pach siostry. Właśnie wtedy, gdy ich różowe jak róże, pomarszczone od wody dłonie błędziły leniwie po mokrych, lśniących ciałach, wymyślili fabułę swojego „filmu kukiełkowego” niczym zespół hollywoodzkich scenarzystów.

Jak opisać ten film?

Ponieważ jego akcja w całości rozgrywa się w wannie, Danielle natychmiast postanawia nazwać go „Operą mydlaną”, a jeśli przyjaciele mówią o nim jako o filmie kukiełkowym, to dlatego, że jego motorem są dwa ludzkie palce, wskazujący i środkowy, którymi można imitować chód.

Guillaume leży wyciągnięty w wannie wypełnionej do połowy gorącą, pianistą wodą. Jego brzuch wystaje nad powierzchnię niczym bezludna wyspa na Pacyfiku, a ciemny, podwinięty członek przypomina majaczący na horyzoncie wulkan – który może jest wygasły, a może nie.

Słońce zastępuje fiołkoworóżowa, secesyjna lampa o kloszu w kształcie dzwonu, wisząca nad lustrem w łazience.

Z oceanu w wannie wyłania się Mężczyzna, rozbitek, niewątpliwie jedyny pozostały przy życiu uczestnik katastrofy morskiej. (Tę „postać” „gra” wskazujący i środkowy palec prawej ręki Matthew, który przykuca za wanną i, jak prawdziwy aktor kukielkowy, pozostaje niewidoczny). Mężczyzna z trudem wydostaje się na brzeg (tu palce Matthew boleśnie zginają się w stawach), a otrząsnąwszy się z wody, po kilku chwilach zaczyna penetrować wyspę, na którą rzuciły go fale. Przekonany, że został całkiem sam i nie ma wokół siebie żadnej bratniej duszy, popada w rozpacz, rozpacz, z której wydobywa go, jak Robinsona Crusoe, odkrycie śladu ludzkiej stopy na piasku (czyli pępka Guillaume’a).

Dopiero wtedy pojawia się postać, która pozostawiła ów ślad – Kobieta (reprezentowana przez dwa palce prawej ręki Danielle o paznokciach pomalowanych na jasny, cynobrowy kolor).

Mężczyzna spotyka Kobietę. Zakochują się w sobie, tańczą (i wtedy palce splatają się intymnie), skaczą po całej wyspie „w zwolnionym tempie” (wówczas palce szybują w zachwycie w powietrzu) i w końcu kochają się na plaży, jak Burt Lancaster i Deborah Kerr w „Stąd do wieczności”. Następnie stawiają mężnie czoła niebezpieczeństwom tropikalnej ulewy (której źródłem jest prysznic, trzymany w górze przez Matthew), a potem niespodziewanej erupcji wulkanu (Danielle energicznie masturbuje brata, aż wreszcie całą wyspę przebiega drżenie, a kochanków spowija ciepła niczym mleko lawa).

Niestety, kiedy Kobieta lekkomyślnie odpływa daleko od brzegu, pożera ją rekin (wynurzająca się z głębin wanny prawa ręka Guillaume’a). Mężczyzna zostaje znów sam i tęskni całym sercem. Jak Joan Crawford w kulminacyjnym punkcie „Humoresque”, wchodzi do morza, które zamyka się nad jego głową.

Nasz dramat posiada jednak radośniejszy epilog. Bo oto, trzepocząc skrzydłami, z oceanu unosi się dusza Mężczyzny (dłoń Matthew, która przypomina gołębicę), rozszczepia promienie słońca i łączy się z duszą Kobiety. Kochankowie, ponownie zespoleni na wieczność, wstępują do Nieba jako jedna istota.

Matthew wyłącza łazienkową lampę. Film dobiega końca.

Jednak arcydzieło gry i apoteozę tego jej okresu stanowił prawdopodobnie pewien spektakularny numer, odwołujący się do przedstawień Busby'ego Berkeleya, a wymyślony przez chłopców.

Guillaume miał zawsze słabość do eksplodujących gwiazd, wirujących lilii wodnych i wykwintnie zdobionych girlandami kół, na których Berkeley, ów Wielki Inkwizytor, ten Torquemada choreografów, połamał niejednego skąpo odzianego motyla. Ogłosił więc, że będzie to najambitniejsze, jak do tej pory, i najwystawniejsze przedstawienie, prawdziwy *morceau de bravoure*.

Śmiejąc się z absurdalności tego wszystkiego, a chwilami dywagując, jakie wrażenie zrobiliby na nieznanym, nieproszonym widzu, gdyby przypadkiem wtargnął w ich prywatny świat, Guillaume i Matthew przydźwigali ciężkie lustro w złożonych ramach, wiszące nad kominkiem w salonie, a potem drugie, z łazienki rodziców. Ustawili je pionowo, pod przeciwległymi ścianami sypialni Guillaume'a, tak by po obu stronach prowizorycznej sceny widać było zachodzące na siebie odbicia ich postaci, które oddalały się w zawrotną nieskończoność.

Tym razem wyjątkowo zabronili Danielle uczestnictwa w owych przygotowaniach, a kiedy skończyli próby i wszystko było gotowe, zamiast pozwolić jej oglądać przedstawienie, zwiniętej w kłębek w łóżku, przyciągnęli specjalnie dla niej krzesło, jak gdyby była kochającą matką, która przychodzi na przygotowany przez własne dzieci koncert.

Przedstawienie składało się z dwóch scen.

W pierwszej Guillaume i Matthew stanęli przed Danielle jako Dick Powell i Ruby Keeler. Guillaume ubrany był w spłowiały mundur koloru khaki i stożkową czapkę kadeta, o kilka numerów za małą, Matthew zaś miał na sobie żółtą suknię z tafty i kapelusik, należące niegdyś do babci Danielle. Przypominali w tych strojach papierowe figurki, którym dziewczynki sprawiają kompletną garderobę z papierowych kostiumów, składanych wzdłuż zaznaczonych kreskami linii.

Stojąc ramię w ramię, Guillaume z prawej, Matthew z lewej strony, i nucąc unisono „Lullaby of Broadway”, zaczęli podwójny striptiz. Guillaume dał pierwszy sygnał, rozwiązując wstążkę sukni Matthew, po czym skwapliwie zanurkował za plecy przyjaciela i pojawił się znów z jego lewej strony, aby z kolei Matthew mógł rozpiąć Guillaume'owi pas; następnie Matthew obiegnął Guillau-

me'a, tym razem z przodu, i w ten sposób obaj pozbyli się najpierw dodatków, a później ubrań, przechodząc do bielizny z taką zwinnością i chyżością, że Danielle miała wrażenie, jak gdyby na całej szerokości sceny stał szereg wijących się wokół siebie chórzystów, którzy zdejmują z sąsiada (lub sąsiadki) pojedyncze sztuki garderoby, aż wreszcie osoba stojąca na samym końcu zostaje rozebrana do naga.

Wtedy zaintonowali „By a Waterfall”. Odbijani przez lustra w nieskończoność, leżeli na wznak na podłodze sypialni z szeroko rozchylonymi nogami, dotykając się palcami stóp, i śpiewali piosenkę najlepiej, jak umieli, choć jednocześnie chichotali bezradnie, a większość słów ulatywała im z pamięci. Następnie zaczęli się onanizować, w tym samym tempie. Ich prącia stopniowo sztywniały i nabrzmiwały, aż wreszcie, gdyby ktoś obserwujący ich na wpeł przymknął oczy, mógłby pomyśleć, że i one za chwilę zetkną się ze sobą na środku pokoju. W końcu, kiedy dotarli do refrenu i jego drobnych, falsetowych treli, wytrysnęli obaj w tym samym momencie, a ich energia została tak intensywnie i bezapelacyjnie wtłoczona w narządy płciowe, że w szalonej, spazmatycznej furii chwili proporcje rzeczywistości uległy surrealistycznemu odwróceniu i poczuli, iż leżąc nago na podłodze, przekształcili się w kolosalne fallusy, na których pulsujących żyłach stał wyprężony jak struna purpurowy homunkulus, charczący plwociną spermy z zaciśniętych, pozbawionych warg ust.

Danielle siedziała na krześle, oklaskując ich entuzjastycznie.

– Bis! Bis! – krzyczała, ale tej prośby nie był w stanie spełnić żaden z do cna wyczerpanych aktorów.

W ten sposób mijały im kolejne dni, pełne radości i zachwytu, nieubłagane, przedzielone nocami, następującymi po dniach jak klatki filmu, które dzieli czarny pasek kliszy.

Danielle w imieniu matki wysłała do dyrektora szkoły drugi list, wyrażając żal, że jej i brata rekonwalescencja potrwa najprawdopodobniej nieco dłużej, po czym na zmianę z Guillaume'em zaczęła telefonować do przebywających w Var rodziców. Okazało się, że poeta zapadł na diabelnie ostrą gripę, którą zapewne zaraził się od własnego chorowitego natchnienia. W związku z tym ich powrót do Paryża opóźni się niemal na pewno.

Matthew także rozstrzygał pajęczynę kłamstw, śląc jeden list za drugim do swoich zaniepokojonych rodziców. Listy te nie zawierały takiego ładunku informacji, jak wcześniej, ale chłopak z przyjemnością donosił, że udało mu się wyprowadzić z hotelu i zamieszkać u sławnego francuskiego pisarza, którego dzieci, szczęśliwym zrządzeniem losu, są w tym samym wieku, co on, i dzielą jego zainteresowania.

Taki nieprzewidywany obrót spraw wzruszył rodziców Matthew, ucieszonych, że ich boleśnie bojaźliwy syn wychodzi wreszcie ze swojego kokonu i obraca się w odpowiednim towarzystwie.

Czeki na kominku dawno zniknęły pod nieustannie rosnącym stosem książek, czasopism i komiksów, aż w końcu popadły w zupełne zapomnienie. Matthew miał debet na rachunku bankowym, zasilanym czekiem z San Diego tylko co drugi miesiąc, toteż najazdy na supermarket przestały być luksusem, a stały się koniecznością. Niestety, regularne inwazje *à trois* skończyły się, ponieważ personel sklepu zaczął ich rozpoznawać. Kiedy zwrócono uwagę sklepowemu detektywowi na trio złożone z Guillaume'a, Danielle i Matthew, młodzi ludzie niezwłocznie przystąpili do kontrataku, przeprowadzając akcje dywersyjne i zastawiając rozmaite zasadzki. Pewnego razu hałaśliwie splądrowali sklep, zatrzymując jednak towary, za które zamierzali zapłacić. Sprowokowali tym sposobem interwencję ochrony, aby po chwili, po bezowocnej rewizji, dowodzić z oburzeniem swojej niewinności. Mimo to musieli wkrótce uznać, że szczęśliwa i beztroska epoka homara i kawioru dobiega końca.

Kuchenny zlew stał się samochodowym cementarzyskiem brudnych naczyń. Koszule, pulowery i dżinsy zdobiła niezwykle, chępliwa mozaika plam. Majtki, które ich właściciele przed kilkoma dniami odrzucili z obrzydzeniem, uznając je bezdyskusyjnie za niegodne zbawczego użytku, podnoszono teraz z dywanu albo wyciągano spod kanap i foteli, po czym traktowano jako najmniejsze zło wśród innych części bielizny i zmuszano do pełnienia dalszej służby. Jeśli zaś chodzi o *La Petite Croix*, grę, w której najwybredniejsze z wybrednych gusta przyjaciół zaspokajały dawniej tylko szlachetne, niepokalane kartki, to trzeba powiedzieć, że teraz, kiedy owe wysmakowane subtelności odeszły w mroczną, z dawną nieposiężną przeszłość, wystarczał im każdy znajdujący się pod ręką skrawek papieru.

Ponieważ prześcieradło Guillaume'a postrzępiło się, obluzowało i wplątywało w palce ich bosych stóp, a jedno z nich musiało ze złością zrywać się codziennie wczesnym rankiem, by wcisnąć pościel z powrotem pod materac, młodzi ludzie postanowili więc w końcu przenieść się do pokoju Danielle.

Jeżeli jej sypialnia nie stała się dotąd teatrem rozwiązłości, to częściowo przez czyste przeoczenie, częściowo zaś z uwagi na tęskny, milczący szacunek Danielle dla drobnomieszczańskiego ideału ładu, którego symbolem może być szarlotka. Niczym częściowo zdemencjała gospodyni domowa, która pucuje i szoruje salony aż do uzyskania halucynacyjnego połysku, by nikt nie ośmielił się postawić w nich nogi, Danielle uparła się, że nie powinni wkraczać na teren jej sypialni, „na wypadek gdyby ktoś ich odwiedził”. Poza tym gdy między nią a bratem dochodziło do kolejnej zażartej kłótni, mogła po prostu wypaść jak pocisk z pokoju Guillaume'a, wbiec do siebie, zamknąć drzwi na zasuwę i wgrzając się żarłocznie w jabłko niczym w udo brata, pogрузić się w jednej z powieści kryminalnych swego uwielbianego Johna Dicksona Carra, rozgrywających się, nomen omen, w zamkniętym pokoju, gdzie popełniono zbrodnię.

Albowiem, podobnie jak księżyc, i nasza planeta ma swoją ciemną stronę.

Nieszczęście polega czasem na tym, że nie udaje nam się osiągnąć tej formy szczęścia, której pragniemy dla siebie.

Dziecinne zamiłowanie Guillaume'a do zemsty, któremu on i siostra hołdowali, niemal odkąd nauczyli się raczkować, zbliżyło do siebie Matthew i Danielle. W konsekwencji, z czasem, krok po kroku, niczym tępy, dający do myślenia ból zęba, Guillaume naraził się na działanie zazdrości: uczucia, które – czym się pysznił – dotąd go nie kalało. Na razie nie był jeszcze całkiem nieszczęśliwy, tymczasem bowiem zazdrość kłuła go jeszcze zbyt słabo i sporadycznie; chodziło tylko o to, że szczęście, które go spotkało, musiał pogodzić ze szczęściem, którego by pragnął, gdyby cieszył się całkowitą swobodą.

Czy stał się zazdrosny o Matthew? Być może był raczej zazdrosny, w innym znaczeniu tego słowa, o wyłączność na kontrolę, jaką sprawował dawniej nad ciałem i duszą siostry. Niekiedy ogarniała go niemal nostalgia za czystością pogwałconego przez nich



wspólnie tabu. Fakt, że owa czystość została znów zbezczeszczo-  
na, kiedy wtargnął między nich ktoś trzeci, bez względu na to, jak  
bardzo Guillaume lubił Matthew, stał się dla niego źródłem nie-  
określonego niesmaku. Ponadto był pewien aspekt wspólnych  
ekscesów, który mimo woli kojarzył mu się z południowoamery-  
kańskimi transwestytami, krążącymi w nocy po Łasku Buloń-  
skim, albo z szacownymi ulicami wokół Łuku Triumfalnego, gdzie  
na chodnikach, rzędem, niby parkometry, stoją w równych odstęp-  
kach prostytutki, albo z organizowanymi przez błyskotliwych,  
młodych biznesmenów orgiami z udziałem luksusowo wyposażo-  
nych barków i weneckich luster.

Guillaume'owi nie pomagał też fakt, że Matthew, choć zrzucił  
już skórę, nosił wciąż serce na wierzchu, przyszyte do rękawa ni-  
by gwiazda Dawida. Pożerał Guillaume'a i jego siostrę oczami,  
wargami, rękami i przyrodzeniem. Kochał ich, i to tym bardziej,  
że wreszcie otrzymał dobrowolne uprawnienie, by kochać.

*Kocham cię.* Jakże trudno jest nadać tym słowom świeżość  
i szczerłość – trudniej niż nadać świeżość i szczerłość *być albo nie  
być*, jeśli jest się aktorem. A jednak słowa te były dla Matthew  
naturalne niby oddychanie. Powtarzał je niestrudzenie. Powta-  
rzał je po sto razy dziennie.

*Kocham cię* kierowane pod swoim adresem Guillaume przy-  
mował niemal jak normę czy regułę, a w każdym razie coś, co jest  
zrozumiałe samo przez się; ale wyznania miłości przeznaczonego  
dla Danielle nie potrafił słuchać bez bólu oburzenia.

W pewnym sensie Guillaume był równie delikatny, jak Mat-  
thew. Zapewne pragnął mieć niezliczone rzesze przyjaciół, któ-  
rych jedynym przyjacielem byłby on sam.

Pewnego dnia doszedł do wniosku, że nadszedł już najwyższy  
czas na zmiany.

Zaproponował, by spędzili razem kilka dni w La Folletière. Był  
to szesnastowieczny zamek w Normandii, leżący o godzinę jazdy  
samochodem od Paryża, otoczony naturalną fosą, uformowaną  
przez rzekę Eure, która wiła się wokół jego murów. Zamek nale-  
żał do ich babci po kądzieli, tej samej, której garderobę przy-  
właszczyła sobie Danielle. Staruszka mieszkała sama, jeśli nie li-  
czyć bretońskiej gospodyni, Madeleine, i jej psa Rekxa, którego

imię było skrótem od „Oedipus Rex”. Wzięło się stąd, że Rex jeszcze jako szczeniak przetrzącił kark ojcu podczas jakiejś awantury, a następnie zapłodnił własną matkę i cały miot trzeba było utopić w rzece.

Wnuczęta uwielbiały starszą panią, która przekroczyła już osiemdziesiątkę. Z zapałem obdarzały ją miłością i szacunkiem, odmawianym rodzicom, choć raz wyrzekając się nonszalanckiej, bezmyślnej bigoterii, właściwej młodym ludziom, którzy zdają się zwykle zapominać, że i oni będą kiedyś starzy. Przywozili jej prezenty, na przykład kandyzowane figi z Fauchon albo najnowsze powieści François Sagan, i wysłuchiwali bełkotliwych, niespójnych babcinych anegdot, udając, że nie chcą uronić ani jednej sylaby. Jednym słowem, rozpieszczali ją.

Początkowo propozycja wyjazdu nie spotkała się z większym entuzjazmem, Guillaume jednak nalegał. Zauważył, że lodówka została ogołocona dosłownie ze wszystkiego, ubrania absolutnie nie nadają się już do użytku, a koty głodują. Tymczasem w La Folletière spożywaliby smaczną, zdrową wiejską żywność, jak mięso, ser i śmietana, praniem natomiast zajmie się Madeleine. Będą żyli jak w puchu.

Danielle i Matthew stopniowo dali się przekonać. Danielle wmaiała sobie, że odmiana wyjdzie wszystkim na dobre. Ostatecznie zaczęła im doskwierać ciasnota *quartier des enfants*, niepozwalająca rozwinąć młodych skrzydeł, a ona w żadnym wypadku nie chciała widzieć swojej sypialni w stanie, w jakim znajdowała się sypialnia Guillaume’a, przypominająca chlew. Pokryte pajęczyną podesty i klatki schodowe zamku La Folletière, jego tarcze herbowe, szafkowe zegary i impregnowane oliwkowym lakierem portrety rodzinne otwierały przed przyjaciółmi nowe możliwości.

To również Danielle podsunęła pomysł, by skorzystali z pomocy jej dobrego przyjaciela imieniem Rollo, który zawiezie ich do zamku kupionym z drugiej ręki włoskim sportowym wozem, a jeśli na początku zбочą nieco z trasy i zahaczą o Champs-Élysées, będą mogli podrzucić koty ciotce.

Rollo był owym Argentyńczykiem, który zamiast *nie* mówił *nnniiee*. Zajmował dwa przestronne, wysokie pokoje w mieszkaniu na Prawym Brzegu, które należało do zamożnego kubańskiego dyplomaty, znajomego jego ojca, nazwiskiem Guevara. Dłate-

go jeśli Rollo zapraszał kogoś do siebie, radośnie informował, by gość nacisnął dzwonek „chez Guevara”. Choć mieszkał w Paryżu od dziewięciu miesięcy, nie znudził mu się jeszcze ten kalambur.

Jego ambicją było zostać reżyserem filmowym. Mówiąc, miał zwyczaj kadrować świat w klatce otwartych dłoni, spoczywających jedna na drugiej i rozdzielonych uniesionymi w górę kciukami. Poza tym lubił czule gładzić swoją kozią bródkę, jak gdyby była małym czarnym kociątkiem.

Dobiegał już trzydziestki. Znacznie starszy od Guillaume'a i Danielle, jowialnie poklepywał ich po plecach, wykrzykując głośno: *Ah, mon grand ami Guillaume!* albo *Et voilà cette très chère Danielle!*, nie zdając sobie sprawy, że tego rodzaju krzepkie oznaki przyjaźni sprawiają większą przyjemność osobie ich dawcy niż odbiorcy.

Z pochodzenia Żyd, nie żywił ciepłych uczuć wobec Niemców i drwił z nich z rozkoszą. Pewnego razu w Bayreuth, oglądając pomnik Wagnera, wykrzyknął specjalnie głośno, by usłyszeli go dumni miejscowi mieszczanie:

– Ach, Mozart... Król walca!

A innym razem, wymyśliwszy grę w „piekło”, zamieszkaną, przykładowo, przez angielskich kucharzy, hiszpańskich mechaników, amerykańskich polityków, i tak dalej, Rollo spuentował żart z homeryckim śmiechem:

– I na dobitkę... przez Niemców!

Prawdę rzekłszy, bywał czasami nieco zbyt homerycki, by wlewać otuchę w serca swoich przyjaciół, lecz gdy osiągał wysoką formę, jego towarzystwu nie sposób było się oprzeć.

Nigdy przedtem nie zapraszali go do zamku i może dlatego Rollo zgodził się wziąć udział w wyprawie ze skwapliwością, która zdumiała rodzeństwo. Argentynczykowi nie przyszło nawet do głowy, by skrzywić się na widok plastikowego worka, wypełnionego po brzegi brudnymi ubraniami, skołtunionych włosów rodzeństwa czy trzeciego pasażera, którym był Matthew, wszystkie te oznaki dezorganizacji składały się bowiem dla Rolla na „poezję”, „elegancję” i „legendę” jego przyjaciół. Uważał, że po dzieciach poety trudno jest spodziewać się czegoś innego.

Podwijając mankiety koszuli, rozsadził ich w maleńkim, czteromiejscowym kabriolecie.

Podróż okazała się czarowną przygodą.

Nisko zawieszony, niedbale kierowany sportowy samochódzik produkcji włoskiej opuścił Paryż drogą na Wersal. Dach był złożony, więc nagle podmuchy wiatru rozwiewały włosy pasażerów jak w filmach biblijnych, gdzie takie powiewy zapowiadają zwykle cudowne wydarzenia.

Zanim wjechali na terytorium Normandii, podróżowali dokładnie wzdłuż linii prostej. Potem musieli zjechać z autostrady i poruszali się dalej w obiegu krętych dróg bocznych, na których bażanty i przepiórki zdawały się wyczekiwać do ostatniej chwili, aż w końcu, nerwowo trzepocząc skrzydłami, uciekały, naśladując jakby „ucieczkę tchórzy” z „Buntownika bez powodu”.

Potem, za ledwie po godzinie od wyjazdu z Paryża, Guillaume otworzył z rozmachem wysokie, kute w żelazie bramy zamku La Folletière i samochód wjechał gładko na podjazd.

Posiadłość przypominała odległe zamek Moulinsart, w którym mieszkają Tintin i kapitan Haddock<sup>7</sup>. Do La Folletière włamywano się tak często i z takim zjawstwem, że w zamku pozostały już jedynie najbardziej wątpliwej proveniencji meble oraz obrazy posiadające wyłącznie wartość sentymentalną – jak dziewiętnastowieczne portrety wybitnych admirałów, uwiecznionych w ceremonialnych pozach na tle eterycznych pejzaży morskich, pasujących bardziej do nimf Poussina niż oficerów floty Bonapartego albo portrety admirałskich małżonek o bujnych kształtach. Między pulchnymi palcami damy trzymały czarne wachlarze mantylek, spoczywających na ich okrytych kwiecistymi sukniemi kolanach. Płótna przypominały, prawem kontrastu, jak wielkim mistrzem był Ingres.

Regularne włamania do zamku nie były dziełem przypadku. Odbierając telefony od obcych, niemal zupełnie głucha babcia wrzeszczała naiwnie w słuchawkę:

– Nie, mojej córki – (powiedzmy) – nie ma w domu! Nie ma tu nikogo, mieszkam sama! Jestem staruszką, która mieszka sama w wielkim zamku!

<sup>7</sup> Główne postaci jednego z najpopularniejszych w świecie komiksów autorstwa Belga Georges’a Remi, tworzącego pod pseudonimem Hergé (1907–1983). W Polsce ukazał się dotąd tylko jeden zeszyt „Przygód Tintina”, wychodzących od 1930 do 1986 roku (przyp. tłum.).

Mijał zatem ledwie dzień lub dwa, a na parterze ktoś otwierał bezszelestnie okno, po czym z zamku jak duchy znikwały akwaforty Fragonarda albo pierwsze wydanie „Niebezpiecznych związków” z autografem autora.

Na podobieństwo członków pewnego żyjącego w zapadłej głuszy plemienia, które, jak wieść niesie, nie dostrzegło dotąd zależności między miłością fizyczną a reprodukcją, starsza pani ani trochę nie domyślała się, że owa niewczesna szczerłość może stanowić przyczynę będących jej skutkiem kradzieży. Gdy odkrywano straty, babcia utrzymywała, że jest nimi równie zaskoczona, jak wnuki.

Ponadto w La Folletière roiło się od os, szerszeni, pszczoł i monstrualnych czarnych pająków. Te ostatnie były tak długie i szerokie, że widząc tkwiącego nieruchomo na ścianie owada, można było go wziąć za złowieszczy emblemat jakiegoś tajemnego stowarzyszenia. Nocami, w poszukiwaniu ciepła, pająki opuszczały się ze swoich sieci cicho i niepostrzeżenie, niczym bajkowe księżniczki z wież zamkowych, po czym siadały na twarzach uspionych gości.

Gdy przyjechali na miejsce, po rzece pływały cztery gęsi niewiadomej płci, prezent od babci na piętnaste urodziny Guillaume’a, który zdecydował się nazwać je Hector, Suzanne, Hippolyte i Barbara la Grise. Kiedy Guillaume wysiadł, ptaki, kołysząc się, wyszły kolejno na brzeg, witając chłopca ogłuszającym skrzeczeniem. Praktykowany od dawna rytuał nakazywał, by Guillaume położył się następnie na płask na zwirowanej ścieżce, wtedy zaś Hector i Barbara, dwa niewątpliwie najbardziej oswojone ptaki, miłośnie skubały mu włosy, przy czym Hector stał z lewej, Barbara zaś z prawej strony, jak gdyby parodiując słynną fotografię Konrada Lorenza.

W tym czasie Hippolyte i Suzanne troskliwie wygładzały swoje upierzenie. Po ukończeniu toalety kolejne warstwy piór były już starannie porozdzielane i układały się zgrabnie, jak mapa drogowa.

Guillaume i Danielle ucałowali babcie na powitanie. Tkwiła w wózku inwalidzkim na trawniku przed domem, mrużąc oczy nad „Le Figaro”. Praktycznie biorąc, musiała niemal przekreślać gazetę na bok, żeby czytać. Wrzeszcząc jej do ucha, Danielle przedstawiła staruszce obu nowych gości.

Zbliżała się pora lunchu. Popołudnie było ciepłe i pogodne, można więc było zjeść posiłek na dworze. Madeleine zamierzała

podać lunch na trawniku, na wysokości prowadzących nad rzekę schodków. Niemal w ogóle nie odzywała się do Danielle i Guillaume'a, których znała jeszcze jako oseski, pomrukiwała natomiast sama do siebie niczym ktoś, kto czyta, ruszając ustami. Ciągle krążyła między kuchnią a stołem, roznosząc talerze, kieliszki i sztucce, na końcu zaś przydźwigała duży emaliowany dzban z wodą. Stół trzeba było przesuwac, dopóki nie znalazł się w miejscu, które odpowiadało jej pani, bo nawet pod gołym niebem musiał stać dokładnie tam, gdzie należy, „pośrodku pokoju”, jak to ujmowała staruszka. A potrafiła być w takich sprawach równie drobiazgową, jak ktoś, kto usiłuje wyprostować przekrzywiony obraz.

Ostatecznie jednak wszystko zostało ustawione właściwie. Wózek babci stanął u szczytu stołu, po czym Madeleine obdzieliła każdego skąpą porcją kurczaka duszonego w wodnistej *ratatouille*, którą to potrawę uparła się nazywać swoją *spécialité*.

Danielle zrobiła kwaśną minę.

– Co ci jest, moja mała Danielle? – zapytała babcia, przeżuując tak włóknisty strzęp białego mięsa, że grymasy, jakie przy tym robiła, niewiele ustępowały popisom człowieka-gumy. – Nie smakują ci te wspaniałości, które przygotowała dla nas Madeleine?

– Moim zdaniem, jeść *ratatouille* to jak wymiotować na wspak! – rzuciła z obrzydzeniem Danielle.

Ta uwaga wywołała tak niepohamowany rechot starszej pani, że aż zaklekotała jej sztuczna szczęka.

– Och, Danielle, ty zawsze potrafiłaś mnie rozśmieszyć!

Siedzący naprzeciwko osiemdziesięcioparoletniej gospodyni, zaskoczeni na poły dziecinnym, na poły upiornym paroksyzmem wesołości, który na chwilę odmienił jej pergaminowe rysy, Rollo i Matthew z zakłopotaniem skubali *ratatouille*, tracącą z każdą chwilą nikłą atrakcyjność, o ile potrawa w ogóle ją posiadała.

Ocierając zaropiałe oczy mocno nieświeżą białą chusteczką, którą wyjęła z rękawa bluzki, babcia ciągnęła dalej:

– Tylko mi tu nie zwymiotuj naprawdę!

Zachwycona Danielle klasnęła w dłonie, a Madeleine posłała jej nachmurzone spojrzenie spod bezkształtnego pseudobretońskiego czepka.

– Ależ babciu! – zawołała Danielle. – Coś mi się wydaje, że wpadliśmy na pomysł *perpetuum mobile*! Mając do dyspozycji michę *ratatouille*, nikt nie będzie już nigdy musiał gotować!

Śmiech obu kobiet, choć dzieliła je otchłań siedemdziesięciu lat różnicy wieku, zdawał się zlewać z sobą tak niedostrzegalnie i tak cudownie współbrzmieć, że trudno było określić, gdzie kończy się śmiech Danielle, a gdzie zaczyna śmiech jej babci.

Niestety, podczas dalszej rozmowy przy stole otchłań raz jeszcze rozwarła się szeroko.

Dowiedziawszy się, że Rollo pochodzi z Argentyny, gospodyni ze sztucznym uśmiechem zaczęła wypytwać go o swego „bardzo bliskiego przyjaciela”, byłego prezydenta tego kraju. W wymianie uprzejmości, która wywiązała się następnie na ten temat, Rollo, zjadły antyperonista, musiał się zadowolić jedynie najuprzejmiejzymi obiekcjami, na jakie było go stać w tej sytuacji. „Tak, z pewnością, droga pani, *były* powody, aby zastosować drastyczniejsze środki, ale...”, albo: „To oczywiście prawda, że lud uwielbiał Evitę. Jednakże...”.

Potem, zwracając się do Matthew, staruszka raczyła wspomnieć Shriverów i Vanderbiltów. Guillaume i Danielle trzymali się za boki ze śmiechu, a kiedy Matthew przyznał pod przymusem, że nie zna przedstawicieli ani tych, ani innych czterystu najbogatszych rodów Ameryki, skonsternowana babcia uznała za stosowne przyjrzeć mu się badawczo znad złotych oprawek okularów o soczewkach w kształcie półksiężyców.

Później, kiedy podano kawę, wręczyła każdemu z gości niemal nieczytelnie podpisany drżącą ręką cienki egzemplarz swoich wspomnień podróży, które opublikowała własnym sumptem. Książka nosiła tytuł „Podróż do krainy zachodzącego słońca”, opowiadała zaś o jej pierwszej i jedynej podróży do Stanów Zjednoczonych w towarzystwie nieżyjącego już męża, magnata cukrowego.

Ta mała *plaque*te odznaczała się swoistym urokiem. Choć wspomniana podróż odbyła się we wczesnych latach pięćdziesiątych, gdy trasy liniowców na północnym Atlantyku trudno było uważać za leżące z dala od utartych szlaków żeglugowych, narratorka opowiadała o niej niby o wyprawie w nieznaną, naśladowując manierę Roberta Louisa Stevensona – jak gdyby żaden Europejczyk tej epoki nie słyszał o drapaczach chmur czy kolorowych odbiornikach telewizyjnych.

Było po czwartej, kiedy Madeleine posprzątała ze stołu.

Po drugiej stronie Eure leżała wyspa, będąca w istocie wielką wrzecionowatą łąką, na której pasło się stado krów. Drzewa sprawiały wrażenie symetrycznie równych i płaskich, jak gdyby przyciał je ogrodnik, bo bydło poobgryzało najniższe gałęzie. Po południu krowy leniwym kłusem zaczęły zbliżać się do brzegu, aż wreszcie stanęły w szeregu dokładnie naprzeciwko biesiadników spożywających lunch.

– Przychodzą w to miejsce codziennie o tej samej godzinie – poinformowała Matthew starsza pani. – Czy nie wydaje ci się, że poszukują świeżości popołudnia?

Odkąd Guillaume i Danielle sięgali pamięcią, babcia mówiła dokładnie to samo każdego dnia o tej samej godzinie, sądzili więc, że krowy schodzą nad rzekę zarówno w poszukiwaniu świeżości, jak i chcąc usłyszeć powyższą uwagę babci.

Za późno zrozumieli, że obecność Rolla uniemożliwi im kontynuowanie gry. Było w nim coś z aranzera cyrkowego albo Mandrake’a Magika<sup>8</sup>, którego brzuchatym i pulchnym dublerem mógł być Argentyńczyk.

W tej sytuacji postanowili zaszyć się w jednym z od dawna niezamieszkałych pokoi, których na najwyższej, olbrzymiej i wilgotnej kondygnacji La Folletière było mnóstwo. Pokój nosił nazwę Tintinerii. Przed laty dzieci zapełniły jego zakurzone kufry i pudła modniarskie kompletną edycją komiksowych albumów z przygodami Tintina, które spoczywały wciąż na swoim miejscu wraz z komiksami Spirou, rocznikami pisma skautowskiego i dziewiętnastowieczną ilustrowaną edycją powieści Jules’a Verne’a.

Mały mosiężny dzwonek, znany od niepamiętnych czasów jako Tintinołapka, wisiał nadal u drzwi. Przymocowany do drucika biegnącego pod klepkami podłogi wzdłuż podestu schodów ostrzegał zawczasu dzieci, jeśli na górze kręcili się nieproszeni goście.

Potem wyciągnęli skądś starą tabliczkę ouija<sup>9</sup>, którą przywiozła im do Francji niania – pochodząca z Bostonu wyznawczyni

<sup>8</sup> Mandrake the Magician, bohater amerykańskiego komiksu Lee Falka i Phila Davisa, ukazującego się od 1934 roku po lata siedemdziesiąte (przyp. tłum.).

<sup>9</sup> Ruchoma tabliczka służąca do komunikacji z duchami podczas seansów spirytystycznych (przyp. tłum.).



chrześcijańskiego scjentyzmu. Plansza została zapewne zakupiona u Woolwortha albo w jakimś innym hipermarkecie, dlatego Danielle, przekonana, że żadne szanujące się ciało astralne nie raczy odpowiedzieć na wezwanie tak taniego i masowego produktu, z niesmakiem odniosła się do pomysłu Guillaume'a, żeby urządzić seans spirytystyczny tu i teraz, na miejscu, w Tintinerii.

Tym razem jednak wszyscy pozostali głusi na pogardliwe uwagi dziewczyny. W całkowitej ciszy, jakiej wymagały tego rodzaju eksperymenty, Matthew (który, jako Amerykanin, miał rzekomo znać język ouija) zaczął przyzywać duchy z zaświatów.

Ku zdumieniu zebranych, gdy tylko zażądał, by duchy się objawiły, tabliczka ouija od Woolwortha zaczęła kołysać się, wibrować i szamotać pod ich naprężonymi palcami niczym szarpiący smycz pies. Obity rypsem stolik, na którym leżała, aż zatrzęsł się od jej okultystycznych wysiłków. Niemal bez przerwy, wydajnie jak telegraf, tabliczka rejestrowała jedną wiadomość po drugiej. Były to jednak tylko bezsensowne zbitki liter albo niepojęty, mediumiczny szyfr, którego nie umieli złamać.

Najbardziej zadziwiło ich jednak to, że tabliczka komunikowała się wyłącznie z Matthew. To do niego nieustannie, uparcie powracała bez względu na to, jak bardzo jego zazdrośni towarzysze usiłowali zwrócić uwagę na siebie.

Pierwszego wieczora spośród mnóstwa wiadomości, które Rollo pracowicie notował, tylko jedna poddawała się interpretacji:

TUESTUE

Początkowo ta tajemnicza konfiguracja znaków nie powiedziała im więcej niż wcześniejsze wiadomości, dopóki Danielle nie wpadła na pomysł, żeby rozdzielić litery w następujący sposób:

TU ES TUE

czyli:

JESTES ZABITY

Matthew, który wierzył wyłącznie w Boga, zdawał się tym równie nieporuszony, jak Guillaume i Danielle, którzy nie wierzyli w nic. Przesądny był jednak Rollo, a jego łatwowierność miała charakter bardzo ortodoksyjny. Mniemał, że powinno się zaklinać drabiny, pęknięte lustra, czarne koty i rozsypaną sól, podob-

nie jak liczne i czujne demony. Pisząc list do jednego z producentów filmowych, od których miał promienną nadzieję uzyskać wsparcie finansowe, Rollo delikatnie pocierał klawisze maszyny do pisania palcem wskazującym lewej ręki i jednocześnie przyglądał się bez zmruczenia oka trzymanej w prawej dłoni nad głową spreparowanej łapce króliczej. Ponadto bezdyskusyjnie akceptował pewien przesąd, znany zapewne tylko w Argentynie: głosił on mianowicie, że myśleć o słoniu, idąc przez most, oznacza sprowadzić nieszczęście. Już samo istnienie tak absurdalnego zabobonu świadczyło o tym, że Rollo i jego rodacy, znalazłszy się na moście, niewątpliwie myślą wyłącznie o słońiach.

Przypadek zrządził, że przechodzili przez mostek, kiedy Matthew zbył Rolla wzruszeniem ramion, Argentyńczyk bowiem przestrzegał go, by przekazaną przez tabliczkę ouija wiadomość wziął sobie bardziej do serca. Szli po wąskiej kamiennej kładce, prowadzącej z zamkowej rezydencji do nieużywanej, wybebeszonej, pełnej nietoperzy starej stajni, mieszczącej stół pingpongowy.

Danielle zamierzała właśnie zadrwić z Rolla i przypomnieć mu dziwny przesąd, w który naiwnie wierzył, kiedy wysoko nad ich głowami zaczął śpiewać niewidoczny słowik, siedzący na jednym z urokliwych buków, porastających skraj ścieżki, wiodącej do stajni.

Są słowiki i słowiki. Ten był prawdziwą divą, Marią Callas, toteż niejeden meloman chętnie wyłożyłby niewielką fortunę, by móc go usłyszeć w sali koncertowej. Niewymowna słodycz i ton jego głosu przywodziły na myśl pannę Trilby<sup>10</sup>, a każda z wariacji w repertuarze, jaką oferował im tego wieczoru ptak, była nie tylko czysta i doskonała niczym płatek śniegu, ale różniła się od poprzednich i następnych, jak jeden płatek śniegu różni się od innych.

Przez przeszło godzinę stali na wąskim mostku, milczący i urzeczeni, słuchając tego słowika pod soczystym, głębokim nocnym niebem, zawieszonym tak nisko na firmamencie, że wydawało się, iż będą musieli iść dalej na czworakach, żeby przeczłochać się pod ciemnobłękitnym, aksamitnym horyzontem, usianym cękinami gwiazd jak mieniący się błyskotkami kostium łyżwiarza.

<sup>10</sup>Tytułowa bohaterka powieści George'a du Mauriera z 1894 roku (przyp. tłum.).

– Wiem! – zawołała Danielle, kiedy zapadła wreszcie kurtyna, kończąc ten zaczarowany i czarujący występ. – Wiem, tak jak wiem, że mam na imię Danielle, że nie zapomnę tego słowika do dnia mojej śmierci!

Potem, zwracając się do Guillaume’a i Matthew, cichutko, jak gdyby jej słowa były dalekim, ostatnim echem gry, wypowiedziała zbanalizowaną, nadgryzioną zębem czasu kwestię, którą zapamiętała z niezliczonych hollywoodzkich melodramatów:

– To będzie nasza piosenka.

Następnego dnia wybrali się na spacer po posiadłości, a Rex usiłował gryźć ich w pięty. Guillaume i Danielle pozostawali na przyjaznej stopie z rolnikami, którzy dzierżawili farmy babci. Bawili się niegdyś z ich dziećmi na miejscowych łąkach. Dzieci te wyrosły na milkliwych, niekomunikatywnych parobków, którzy siedzieli teraz z zażenowaniem przy łączonych na wręby kuchennych stołach, kroili bochny chleba na kromki przypominające kształtem obierki z cytryny i nie wiedzieli już, jak zwracać się do pięknych, młodych szlachciców z Paryża, którym ich rodzice posyłałi uniżone uśmiechy.

Ale intruzi nie czuli się urażeni. Myślamy byli gdzie indziej. W ich organizmy wsączał się nowy narkotyk: tabliczka ouijsa. Nawet Danielle marzyła tylko o tym, by dotknąć nieznanego, a po ostatniej nocy jej obiekcje co do seansów spirytystycznych przybrały dziwnie mimowolny charakter, jak gdyby wносиła je po prostu *pro forma*.

Tego wieczoru jednak tabliczka ouijsa obraziła się na nich i ani drgnęła. Kategorycznie odmawiała przekazania najprostszej nawet wiadomości. Owa milcząca, obojętna rezerwa rzeczy martwej zdumiała ich tak samo, jak poprzedniej nocy miotająca się po całej tabliczce strzałka. Bez względu na to, ilekroć próbowali ją oszukiwać, poganiać czy mniej lub bardziej ukradkowo trącać końcami palców, tego wieczoru nie udało im się tchnąć w nią choćby iskry pozornego życia.

Następnego dnia rozpełtała się huraganowa burza. Późnym popołudniem chmury zaczęły się kotłować i kłębić, jak gdyby miały za chwilę zwymiotować. Smugi błyskawic rozdarły niebo na dwoje, a grzmoty pobudziły krowy do panicznej ucieczki.

Kilka chwil później w La Folletière zgasło światło, co często zdarzało się w zamku podczas burzy. Wtedy czworo przyjaciół

udało się gęsiego na górę, do Tintinerii, trzymając w dłoniach świecę, a tabliczka ouija, jak gdyby pioruny przywróciły ją do życia, zakołysała się, jeszcze zanim zdążyli zająć miejsca.

Jak człowiek, który nastawia uszu na dźwięk dobrze znanego, acz dziwnego słowa, wypowiedanego w obcym języku, odebrali kilkakrotnie tę samą wiadomość, co poprzednio, choć i tym razem była ona przeznaczona wyłącznie dla Matthew:

## TUESTUE

Ale około pierwszej nad ranem, kiedy zaczynali ziewać, przeciągać się, zerkać na zegarki i kalkulować, czy nie nadeszła pora, by iść spać, wskazówka tabliczki drgnęła nagle i zatrzymała się. Przez kilka sekund trwała w bezruchu, a potem, opóźnwszy nieco swój *pièce de résistance*, swoje aliteracyjne arcydzieło, aby uczynić z niego spektakularną kwestię końcową, zwróciła się znów do Matthew:

## AMOURAMERAMARREAMORT

Tym razem Danielle nie musiała wcielać się w rolę tłumaczki, bo Rollo podzielił wiadomość na pojedyncze słowa, gdy tylko się pojawiła:

## AMOUR AMER A MARRE A MORT

Czyli:

## MIŁOŚĆ GORYCZ ROZPACZ ŚMIERĆ

Zapadła cisza.

Danielle uniosła palce znad tabliczki.

– No, ładnie!

Powiedziała to szczerze i pogardliwie zarazem.

Rollo zbładł, a jego błądność podkreślało słabe światło drżącego płomienia stojącej przed nim świecy.

– „Ładnie”? – wyszeptał. – To ma być twoja odpowiedź na to... to...

– Na co? – spytała Danielle, osadzając papierosa w lufce.

– Nie rozumiesz bijących w oczy faktów? Jako ktoś, kto cytuje Napoleona i twierdzi, że ludzie gotowi są uwierzyć w każdą bzdurę, jeśli tylko nie mówi o niej Biblia, z pewnością zdajesz sobie sprawę, co tu się stało?

– Ta głupia tabliczka nie jest przecież Biblią.

– Kto wie? – odparł Rollo. – Być może Biblia jest wszędzie, jak Bóg. Kto wie, czy każda książka nie może stać się Biblią, kiedy trzeba.

– Rollo, kochanie, co ty wygadujesz? Tabliczka ouija w ogóle nie jest książką, a kupiła ją za marnych pięćdziesiąt centów pewna gruba amerykańska bigotka, której widoku nie mogłam ścierpieć ani ja, ani Guillaume. *N'est-ce pas, Guillaume?* Jeżeli Bóg zmuszony jest przekazywać nam Słowo za pomocą tak tandetnego medium, to muszę powiedzieć, że widać przyszły na Niego ciężkie czasy.

– Ty chyba oszalałaś! Jak możesz mówić coś takiego? – zapytał Rollo, którego twarz przybrała barwę popiołu.

Nie chodziło o to, że był głęboko wierzący – jednak dla kogoś tak ekumenicznie naiwnego, jak on, Bóg bez wątplenia oznaczał najzłośliwszego ze wszystkich czarnych kotów, toteż Rollo nie przeżegnał się jedynie z obawy, że przyjaciele go wyśmieją.

Zwrócił się do Matthew:

– Nie martwisz się? Ani trochę? Tą wiadomością i jej ostatnim słowem?

Jak wielu wiernych, Matthew umiał przyznać, że z innowiercami, bez względu na to, jak próżna albo banalna wydawałaby mu się obca religia w porównaniu z własną, nie łączy go moc ani bojaźń Boga, ale potęga i bojaźń, które wzbudza wiara. Przyznawał więc sam przed sobą, choć niechętnie, że i na nim wiadomość zrobiła wrażenie, nie chciał jednak, by domyślili się tego Guillaume i Danielle.

Był po ich stronie, Rollo zaś w tym wypadku zajmował stanowisko przeciwne. W ten właśnie sposób miłość tnie świat na dwoje.

– Powiedzmy po prostu, że ja zwyczajnie nie wierzę w takie przesady – oświadczył, uśmiechając się nieśmiało, Matthew.

Następnego dnia podczas lunchu, który jedli w zamku przy wielkim magnackim stole, tak długim, że z trudem rozpoznawali nawzajem swoje odległe twarze, ukryte za świecznikami i wazonami, pełnymi więdnących róż, pojawił się przy jakiejś okazji temat wesela, które miało się wkrótce odbyć w sąsiedztwie. Z tego, co mówiła na ten temat babcia, wynikało, że Guillaume i Danielle powinni uczestniczyć w uroczystości oraz że starsza pani od su-

mego początku sądziła, iż jej wnuki zjechały do La Folletière właśnie na ów ślub.

Żenił się zaś niejaki Gonzague de Saint-Cyril, potomek jednej z najstarszych rodzin w Touraine, z cioteczną siostrą Guillaume'a i Danielle, niezgrabną, przypominającą gęś kobietą o długiej szyi, szczyjącą się jednak nazwiskiem Jacquemette de la Tour de Presfontaines. Jacquemette mieszkała z rodzicami (którzy pobrali się, choć byli kuzynami) w trochę mniejszym, aczkolwiek wykwintniej urządzonym zamku, leżącym nieco dalej w dole rzeki. Czasami z wysokiego okna Tintinerii widywali kuzynkę, objeżdżającą swoją posiadłość na zdrobniale małym, dziecinnie niebieskim traktorze.

Jacquemette, która sepleniała, mówiła mało, lecz smacznie. Na przykład: „Tsy psysło ci kiedys do głowy, kusynko Danielle, ze Chincycy codziennie jedzą chińskie dania?” – albo „Gdybym mogła urodzić się ras jesse, chciałabym zostać muzyńskim muzykiem, zeby moje melodie gwizdali na ulicy straganiarze”.

Potem odrzucała głowę do tyłu i zaczynała się śmiać, porykując oślim głosem: „cha, cha”, co uderzająco przypominało śmiech „śmiejącego się policjanta” z piosenki pod tym samym tytułem.

W dzieciństwie cioteczne rodzeństwo poddawało nieszczęsną Jacquemette ostrzałowi ze wszystkich naładowanych pogardą armat, jakie tylko mieli do dyspozycji. Szarpali ją brutalnie, rozwiązywali jej warkocze i smarowali twarz krowimi plackami, które każdej wiosny zmieniały przylegające do obu zamków łąki w gąbczaste pola minowe. Z biegiem lat te zniewagi ustąpiły miejsca obelgom słownym, potem zaś całkowitej obojętności. A jednak to właśnie przekazywane z ust do ust w domach wielkich rodów regionu opowieści o anarchizującej postawie bliźniąt, o ich nieprzystępności, wyglądzie i manierach członków cyganerii artystycznej oraz wyniosłej negacji *vie de château* czyniły potencjalnie Guillaume'a i Danielle główną atrakcją wesela.

Oczywiście, zaczęli protestować, babcia jednak nie ugięła się pod presją tych obiekcji. Jacyś przedstawiciele rodziny muszą się pojawić na weselu, a ona, niestety, jest zbyt zniedołężniała, by mogła wziąć w nim udział. Madeleine wyprała, wyprasowała i poskładała najbardziej reprezentacyjne ubrania, jakie przywieźli do La Folletière, Danielle zaś może sobie wybrać z biżuterii starszej pani, co zechce. Poza tym babcia przyjęła już zaproszenie

w ich imieniu i uzgodniła, że stawią się na przyjęciu razem ze swoimi dwoma młodymi przyjaciółmi.

Jednak Guillaume i Danielle dopiero wtedy zdali sobie sprawę, że przegrali, gdy babcia wspomniała cierpko, iż jeśli odmówią, będzie musiała zatelefonować do Var. Staruszka osaczyła ich i oskrzydliła. Nie pozostała im żadna droga ucieczki, której by nie odcięła, wezmą więc udział w weselu Jacquemette.

Ślub odbył się w prywatnej kaplicy rodziny de la Tour de Presfontaines, przyjęcie weselne urządzone natomiast w angielskim ogrodzie zamkowym.

Pod każdym francuskim ogrodem spoczywa pochowany angielski ogród – są identyczne, tyle że w ogrodzie angielskim rośliny rosną korzeniami do góry.

Nastało hałaśliwe kwietniowe popołudnie weselnego dnia. Kontrastując z wąskimi alejkami wokół zamku i sadzonymi w regularnych odstępach kasztanowcami oraz krzewami, które wydawały się naturalnie rozrastać w kształty orłów albo kogucików, angielski ogród prezentował rewers gobelinu o szorstkiej, ciasno splecionej fakturze, węzłach jak pięści i zlewających się kolorach.

W ogrodzie rozbito duże pasiaste namioty, wśród których kręcili się młodzi mężczyźni w szarych garniturach i koszulach o miękkich kołnierzykach, dystyngowane starsze panie, kościste albo pulchne, w kapeluszach o rondach szerokich niczym parasole i wyjątkowo cienkich jak na tę porę roku sukienkach, a także anemicznie chudzi, szlachetnie urodzeni infanci o oczach przysłoniętych ciężkimi powiekami oraz czerwonych, obwisłych ustach. Blade, melancholijne piękno tych dzieci rodem z płócien Watteau było szczególnie widoczne na tle krzykliwych aksamitnych ubranek, w które rodzice uznali za stosowne ubrać swoje pociechy, a w których przypominały Pierrotów, poprzebieranych w kostiumy Arlekinów.

Gdyby, choć było to mało prawdopodobne, jakiś genialny uczeń wpadł na pomysł, by zamiast ołowianych żołnierzyków kolekcjonować figurki arystokratów, na weselu Jacquemette znalazłby ich cały zbiór.

Byli tam wszyscy: na przykład zgrzybiały, stary markiz, który piastował niegdyś drugorzędne stanowisko w jednym z krótko funkcjonujących rządów Czwartej Republiki i od tej pory cier-

pliwie czekał, aż ojczyzna ponownie wezwie go na służbę; hrabia o woskowej cerze, który wkręcił sobie monokl do oka, jak gdyby sprawdzał szyfrową kombinację sejfu, po czym utkwiał wzrok w delikatnych, obciążniętych białymi pończochami nogach młodzieńskich dziewcząt, zbitych w stadko w kącie i opychających się bezami; *curé* o sarnich oczach, kierujący parafią w sąsiedniej wiosce, któremu zawiedzione nadzieje na osiągnięcie pozycji modnego w kręgach literackich księdza, przewożącego łodzią Charona „do Rzymu” umierających członków Akademii, rekompensowała w jakimś stopniu uprzywilejowana pozycja, jaką cieszył się w tym prowincjonalnym *beau monde*; i wreszcie wiecznie wlokące się w ognie, zubożałe kuzynki rodziny, stare panny w znoszonych sukienkach, powycieranych z przekory i starości, po kryjomu wsuwające sobie do torebek kanapki i ptifurki niczym bohaterki opowiadań Maupassanta.

Stojąc w obliczu tłumu takich potworów, Guillaume pokazał gestem, jak ustawia ich wszystkich pod murem i ścina serią z niewidzialnego karabinu maszynowego.

Danielle mruknęła pod nosem z ponurym uśmiechem:

– *Si misère pouvait, si richesse savait.*

Ale Rollo i Matthew byli zachwyceni. Dla autsajderów, którymi czuli się jako ludzie, niemuszący dźwigać na barkach kolosalnego ciężaru martwych przodków, ten tłum, te monstra, ci przebierańcy, te pozbawione katedry gargulce posiadały bezowocny urok wspańiale misternych figur szachowych, rzeźbionych w kości słoniowej albo stali, którymi nikt nie śmiałby rozegrać żadnej partii.

– Danielle! Danielle! Och, kusynie Guillaume!

Była to Jacquemette, która zbliżała się do nich z daleka. Jej szyja wystawała z białej atlasowej sukni ślubnej i wydawała się długa jak szyja Alicji po zjedzeniu ciastka.

Jacquemette i Danielle natychmiast ucałowały się dwukrotnie w oba policzki, niczym debiutantki w komedii muzycznej. Jacquemette usiłowała przywitać się z Guillaume'em w równie wylewny sposób, chłopak jednak z grubiańskim wdziękiem, który rezerwował na wszelkie tego rodzaju uciążliwe wycieczki w krąg rodzinny, pozwolił jej tylko cmoknąć się w policzek. Rollowi i Matthew, którym została następnie przedstawiona, posłała szkli-



sty uśmiech – wyglądała niczym wydająca koktajl gospodyni, która niespokojnie omiata już pokój oczami w poszukiwaniu jakichś ważniejszych gości, marniejących, być może, samotnie i bez pomocy. Po chwili jednak jej surowe, ogorzałe od wiatru rysy rozpalili dziewiczy rumieniec, porwała więc ze sobą nowo przybyłych, żeby przedstawić ich oblubieńcowi.

Sławny Gonzague w niczym nie przypominał człowieka, jakiego spodziewali się zobaczyć.

Zastali go palącego papierosa w jednym z namiotów z jedzeniem i napojami. Liczne pokolenia kontrolowanego wsobnego chowu nadawały mu oślizgły, cieplarniany blask: miał rozmarzone oczy, ekstrawagancko długie rzęsy, które wydawały się zawiązać do tyłu ponad powiekami niczym szprychy maleńkiego koła, i lśniący czarny wąsik.

Gonzague był afektowanym mężczyzną. Przybierał różne pozy, by po chwili rezygnować z nich i przybierać nowe. Kiedy mówił, koniuszek jego zapalonego papierosa kreślił w powietrzu abstrakcyjne kształty i trudno było powiedzieć, czy wstęga dymu, która chłopaka ustawicznie otaczała, wypływa z papierosa czy raczej z jego gorących, tłących się wnętrzości.

Kiedy podjęli niezobowiązującą pogawędkę, Jacqueline dziewczęcym gestem wsunęła mężowi rękę pod ramię. Skubała zębami banana, którego wyciągnęła z misy stojącej na jednym z długich, bufetowych stołów, biegnących przez całą długość cateringowego namiotu. Obrabiała owoc jak dziecko, więc cztery przypominające płatki plastry skóry wciąż otaczały odsłoniętego banana.

Przerywając jakąś zabawną i cyniczną uwagę męża na temat koszmaru, jakim są śluby kościelne, Jacqueline pisnęła nagle, drżąc z emocji:

– Banany to moje ulubione owotse... Tylko że kiedy jem banana, cuję się jak sympans!

Gonzague obnażył wspaniałe zęby w wymuszonym uśmiechu, a reszta towarzystwa spuściła głowy, wpatrując się w sznurowała swoich butów. Danielle przyrzekła sobie w duchu, że po powrocie wycisnie z babci informacje na temat fortuny rodu Saint-Cyril, nie mogła bowiem pozbyć się podejrzeń, że ich majątek jest w opłakanym stanie.

Dużo później tego popołudnia, wałęsając się samotnie i bez celu po posiadłości de la Tour de Presfontaines, Danielle natknęła się na Gonzague'a raz jeszcze. Rozluźnił węzeł krawata, postawił kielich szampana na parapecie i rozmawiał z jakąś czarującą młodą kobietą pod jednym z okien zamkowych wychodzących na Eure. Opierał się dłońmi o mur wokół jej głowy, skutecznie przygważdżając w ten sposób rozmówczynię do ściany. Kobieta była jednak uległym więźniem. Ssąc kosmyk włosów, który niesforne opadł jej na policzek, słuchała z uwagą tego, co mówił Gonzague. Nie mogła mieć więcej niż siedemnaście lat.

Danielle obserwowała ich ukradkiem przez dłuższy czas. W końcu dziewczyna skinęła potakująco głową. Wydawało się, że Gonzague zapytał, czy podtrzymuje swoje postanowienie. Obejrzał się szybko za siebie, wyciągnął z kieszeni wieczne pióro, zanotował na wykrochmalonym mankiecie coś, co mogło być tylko numerem telefonu, po czym odpiął mankiet i owinał go wokół nadgarstka dziewczyny, jak gdyby obdarowywał ją bransoletą od Cartiera. Po chwili, kiedy dziewczyna przekrzywiła ramię, żeby odczytać, co jest napisane na mankiecie, Gonzague z brutalną nonszalancją wsunął dłoń pod jej krótką, wiotką, niemal przezroczystą spódnicę, wepchnął głęboko palce, aż jego łokieć zniknął z pola widzenia, i gwałtownie, mocno przekręcił rękę w przegubie, jak gdyby wkręcał żarówkę.

Dziewczyna wygięła grzbiet, opierając się o mur, i zajęczała przeciągle. Nie zamieniając z nią już ani słowa, Gonzague odwrócił się na pięcie i ruszył z powrotem, by dołączyć do grona weselników.

Danielle ruszyła w kierunku obozu pasiastych namiotów.

W górze ciemniało niebo. Angielski ogród porastały jeżynowe krzewy i wybujałe poszycie, pasiaste namioty bajkowo oświetlały papierowe, japońskie lampiony, gumowate, wykrzywione grymasami twarze wciskały się niemal w twarz dziewczyny niczym w tafłę szyby, a nad jej głową brzęczały falsetowe śmiechy, toteż Danielle powiedziała sobie, że gdyby w tym otoczeniu pojawił się jeszcze rzewny akordeonista i drzemiący u jego stóp kundel o spłaszczonej mordzie, cała ta sceneria przypominałaby do złudzenia lunatyczne pustkowiec z filmów Felliniego.

Zdarzenie, którego przed chwilą była świadkiem, podnieciło ją i zniesmaczyło zarazem. Tak czy owak miała już dosyć. Chcia-

ła wrócić do domu – nie do La Folletière, lecz do Paryża, do swego mieszkania i do gry. Odszuka towarzyszy i namówi ich, żeby natychmiast wyjechali. Danielle nie przepadała za Fellinim.

Wędrując od namiotu do namiotu, omal nie wpadła na swojego kuzyna, wysokiego, chudego młodzieńca o twarzy przypominającej kształtem i barwą staromodnego, drewnianego dziecięcego bąka. Młodzieniec trzymał w prawej ręce kieliszek szampana, w lewej zaś kotlet jagnięcy.

Powitał ją wylewnie, po pijacku, całując w usta i mocno przyciskając do siebie. Wargi miał umazane smugą sosu, którym ubrudził Danielle. Dziewczyna z obrzydzeniem starła z twarzy sos, jak gdyby to były ekskrementy, i odepchnęła natręta.

Przewrócił się na wznak, rozlewając szampana na spodnie. Przez chwilę siedział po prostu nieruchomo, wpatrując się z głupią miną w płamę alkoholu, potem zaś, gapiąc się z równie niemądrym wyrazem twarzy w jagnięcy kotlecik, który zdążył już ogryźć prawie do kości, zawołał w mroku za odchodzącą krewniczką:

– A właśnie, Danielle, coś sobie przypomniałem. Jak się miewa Rex?

Danielle znalazła Guillaume'a i Matthew nad brzegiem rzeki. Rzucali garściami pod prąd płaskie kamyki, próbując puszczać kaczki. Przystali na jej propozycję, więc razem udali się na poszukiwanie Rolla.

Zastali go w jednym z namiotów, rozpartego przy długim stole, rozbawionego i w towarzyskim nastroju, zachowywał się bowiem swobodnie zarówno wobec siebie, jak i reszty gości. Wystarczyło ledwie kilka chwil, by przyjaciele zorientowali się, że rozmowa w namiocie dotyczy międzynarodowego spisku bankierów i Żydów.

Rollo był uosobieniem uprzejmości i taktu. Poprzedzał każde zdanie formułą typu: *Monsieur le baron...* albo *Madame la comtesse...* Dyskutował z interlokutorami w tym samym duchu, jak wcześniej z babcią swoich paryskich przyjaciół: uroczo i z galanterią. Tyle tylko, że tym razem mówił: „Ależ, *monsieur le baron*, gdybym miał nawet przyjąć, choć proszę zauważyć, że tylko na potrzeby naszej dyskusji, iż «Protokoły mędrców Syjonu» są autentyczne...”, albo „Tak, istotnie, *madame la comtesse*, są na świecie araganczy i zuchwali Żydzi, lecz istnieją także...”. Usiłował przekonać rozmówców do swego punktu widzenia i stawał na głowie, by

argumentować racjonalnie. Nie zachowywał się ani arogancko, ani zuchwale. A gwoli ścisłości, nie zachowywał się także jak Żyd.

Danielle obserwowała go zza zwisającej luźno płachty, pełniącej funkcję zasłony w wejściu do namiotu.

– Nie, no, to już przechodzi ludzkie pojęcie! Spójrzcie tylko na niego. Nasz wspaniały Rollo pokumał się z tymi palantami i z miejsca zapomniał o swoich żydowskich przodkach z Rosji, Polski czy diabli wiedzą skąd, bo tak mu wygodniej. Założę się, że zmusił się nawet do przełknięcia obelg w rodzaju „żydłak” albo „parch”. Straszny z niego bubek!

– No, czy nie miałem racji? – odpowiedział Guillaume. – Mówiłem ci przecież, że Rollo to snob i pozer. Przyjaźni się z nami tylko ze względu na naszego ojca.

– Tak, tak, mówiłeś – warknęła Danielle. – Brawo. Miałeś słuszność.

Matthew ośmielił się zasugerować, że Rollo po prostu usiłuje być grzeczny.

– Grzeczny? Połowa jego rodziny zginęła w piecach gazowych, a on usiłuje być grzeczny wobec kucharki?

– Och, daj spokój, Danielle. Co twoja rodzina może mieć wspólnego z piecami gazowymi?

Ku jego zdumieniu, dłonie Danielle zdrząły, gdy zapalała jednego ze swoich karłowatych papierosów.

– Nie znasz ich, kochanie. To robaki, ropuchy albo węże. *N'est-ce pas*, Guillaume? Ich mózgi są maleńkie jak zrakowaciałe groszki. *N'est-ce pas*, Guillaume? To najgorsze śmieci na świecie, najgorsze ze wszystkich śmieci, jak gówno, które pochlebia sobie, że jest złotem, choć zawsze zdradza je smród. Zgnilizna, mój drogi Matthew, jest interesująca, tylko dopóki nie zerwiesz jej skorupy i nie przyjrzyj się uważnie temu, co tkwi pod spodem. – Zaciągnęła się nerwowo dymem z papierosa. – Zaczekajcie chwilę – zakończyła z ożywieniem. – A potem wypieprzamy stąd w cholerę.

Z tymi słowy pomaszerowała w głąb namiotu wzdłuż dwóch rzędów krzeseł w stylu Ludwika XV, rozstawionych wokół drewnianych stołów na kozłach, do których nie pasowały. Szła pod pręgierzem niewyraźnych, nieczytelnych, podbechtujących głosów, porykujących na nią z lewa i prawa, świadomie ignorując kredowobiałą, zaskoczoną twarz Jacquemette, na której wysokim, zmarszczonym i zdecydowanym czole odczytać można było zapis jakiej-

gość straszliwego manifestu. Nie zatrzymała się, dopóki nie dotarła do miejsca, gdzie siedział Rollo.

Argentyńczyk podniósł na nią nic nierozumiejący wzrok. Ogarnął go strach, choć jeszcze nie wiedział dlaczego. Można było sądzić, że zastanawia się, w jaki sposób powinien ją zagadnąć. Tymczasem wzrok Danielle krążył już po zastawionym stole, by utkwić w końcu w ogromnej misie z rzućniętego szkła, wypełnionej sałatką zwieńczoną maleńkimi różowymi krewetkami, ułożonymi promieniście pośrodku. Danielle bez słowa chwyciła misę w obie ręce, odwróciła ją do góry dnem i wsadziła Rollovi na głowę.

Z początku wydawało się, że ktoś ogłosił w namiocie minutę ciszy. Nawet Rollo, co dziwne, nie zakłócał ogólnego milczenia i wahał się chwilę, nim zdjął misę z głowy. Kiedy to wreszcie w groteskowo wyrafinowany sposób uczynił, okazało się, że wygląda wypisz wymaluj jak pływak, wynurzający się z płytkiego, kamiennego rozlewiska z zagmatwaną płataniną wodorostów i martwych rybek na głowie.

Zanim wybuchło wreszcie zamieszanie, Danielle arogancko dostojnym krokiem opuściła namiot i zniknęła wraz ze swoimi dwoma oszołomionymi towarzyszami.

Powrót do Paryża nie był ani trochę tak rozkoszny, jak podróż do Normandii.

Postanowili wyjechać do domu bezzwłocznie, nie żegnając się z babcią i nie zabierając ubrań z La Folletière. Doskonale zdawali sobie sprawę, że doniesienia na temat okoliczności, w jakich opuścili wesele, dotrą do zamku, że starsza pani odbierze gniewny telefon od rodziców panny młodej i że dojdzie do utarczki z Rollem, zależało im jednak, by stawić czoło tym kłopotom jak najpóźniej.

Bez grosza przy duszy, a teraz także bez środków transportu, postanowili wrócić do Paryża autostopem. Ale pierwszy samochód zatrzymał się i zabrał ich dopiero po dziesiątej wieczorem, kiedy pokonali niemal jedną czwartą drogi piechotą, sunąc boczkiem, jedno za drugim, niebezpiecznie wąskim poboczem autostrady. Po lewej stronie wznosiła się olbrzymia, jasno oświetlona rafineria naftowa, plująca trującymi płomieniami w niebo i urywająca spokojnie do Sekwany.

Samochód należał do młodego małżeństwa z dzieckiem, siedzącym na krzesełku na tylnym siedzeniu. Troje dodatkowych pasa-

żerów musiało więc stłoczyć się z tyłu, obok dzieciaka, który natchmiast obudził się i zaczął płakać. W miniaturowym, błękitnym marynarskim ubranku i białej wełnistej pielusze przypominał Kaczora Donalda.

Wrzeszczał całą drogę do Porte de Saint-Cloud, dokąd podwieźli ich młodzi małżonkowie, przeklinając w duchu swój altruistyczny impuls.

Lało jak z cebra. Guillaume, Danielle i Matthew ruszyli w kierunku Dzielnicy Łacińskiej. Gdy przebiegali nadbrzeżem Sekwany naprzeciwko esplanady Trocadéro, wyprzedził ich pędzący wóz strażacki na sygnale. Wyła syrena, samochód dźwigał na grzbiecie uniesione pod kątem czterdziestu pięciu stopni nieskończenie rozciągliwe drabiny i szare, masywne zwoje węży gaśniczych, zwinięte w specjalnej wnęcie ciasno jak warkocze, a odziani w szkarłatne stroje strażacy w obawie o życie trzymali się kurczowo wozu niczym Gliniarze z Keystone<sup>11</sup>.

Na widok strażaków Matthew nieoczekiwanie przypomniał sobie swoją sypialnię w San Diego, dom rodzinny i schludne podmiejskie posiadłości, krzepiąco podobne do siebie, wszystkie bowiem wyposażone były w trawnikowe zraszacze, a przed otwartymi drzwiami garaży wszędzie stały beżowo-kremowe samochody typu kombi. Nie wiedzieć czemu w wozach strażackich najwyraźniej kryje się jakaś przytulność i ciepło, niespodziewanie sprzyjające nostalgii.

Minęli Kinotekę leżącą po drugiej stronie ogrodu, nie zaszczylicili jej jednak ani jednym spojrzeniem.

Była północ, gdy obszarpani, przemoczeni do suchej nitki i oślepieni paciorkami deszczu, od którego lśniły i piekły ich powieki, otworzyli wreszcie drzwi do pustego mieszkania, po czym zrzucili ubrania na ociekający wilgocią stos, jaki utworzyły poszczególne części ich garderoby na kraciastym linoleum w przedpokoju. Dziesięć minut później wszyscy troje pogrążyli się znów w znajomej, wrzącej kąpieli, wzajemnie wyszukując palcami stóp najbardziej delikatne, obolałe i podatne na łaskotki części swoich ciał, doznając spazmów w napadach niewinnego śmiechu.

<sup>11</sup> Trupa komików, występująca między 1912 a 1920 rokiem w roli patałachowatych policjantów w niemych filmach, realizowanych w wytwórni filmowej Keystone (przyp. tłum.).

*Que reste-t-il de nos amours?  
 Que reste-t-il de ces bons jours?  
 Une photo, vieille photo  
 De ma jeunesse.*

*Que reste-t-il des billets-doux,  
 Des mois d'avril, des rendez-vous?  
 Un souvenir qui me poursuit...  
 ...qui me poursuit...  
 ...qui me poursuit...  
 ...qui me poursuit...*

Niczym nerwowe dziecko, które zacina się na wielosylabowym słowie, recytując wiersz, zdarta wskutek nadmiernej eksploatacji płyta więziła niezmiennie igłę patefonu wciąż w tym samym rowku, sprawiając słuchaczom niewymowny ból. Mimo to po kilku nieśmiałych eksperymentach z innymi piosenkami Treneta i popularnymi utworami muzyki klasycznej, jak „Valse triste” albo „Odgłosy wiosny” Sibeliusa, wszyscy odczuli potrzebę powrotu do piosenki, przy której narodziła się ich gra. I w końcu powtarzający się fragment melodii, który dotąd tak niemiłosiernie torturował ich uszy, wszedł im wszystkim w krew.

Miłość, jak przeziębienie, jest nieuleczalna, ale oba te schorzenia uśmierciły bardzo niewielu ludzi.

Tryb życia trojga przyjaciół, który tak dokuczał Guillaume'owi, że skłonił go do zaproponowania towarzyszom pechowego interludium w La Folletière, zaczął znów przybierać niejako kaleką postać – albowiem po radosnym powrocie zbyt szybko odnaleźli się na dobrowolnym wygnaniu ze świata zewnętrznego, we wspólnej wannie, pełnej po brzegi śmiechu i pary, w płycie Treneta, w splątanych nocach, nienakręcanych zegarach, welonowych zasłonach, drwinach, żartach oraz wilgotnej, zapleśniałej wspaniałości publicznego basenu, w której to oszałamiającej, martwej atmosferze skąpane zostało mieszkanie.

Matthew kochał Danielle i pozostawał nią oczarowany – z siostrą Guillaume'a związała go jednak także wdzięczność za to, że

wyzwoliła go od niego samego, że pozwoliła mu się otworzyć i rozwinąć skrzydła, choć przedtem żył przyziemnie, na mieliźnie, jak impotent, a jego skrzydła były bezużyteczne niby skrzydła mewy uwięzionej w plamie rozlanej ropy. Dusza Matthew czuła się dziwnie zdławiona, stłamszona i skurczona w ciele niczym członek w kielichu jego majtek, samoświadomość chłopaka zaś porażał senny koszmar głębokiego, uporczywego poczucia ścisku i ciasnoty oraz emocjonalnej i cielesnej niewydolności.

Danielle kochała go, lecz była to miłość, której fizyczną namiętność tkliwie łagodził opiekuńczy afekt dla małości w jej dowolnej postaci, dla czegoś w rodzaju tragicznej urody, jak gdyby dziewczynę uwiódł Kupidyn we własnej osobie – chodziło więc o uczucie, które zapewne tkwi instynktownie w każdej istocie ludzkiej. Dla Danielle przyjemność kochania się z Matthew polegała przede wszystkim na tym, że mogła patrzeć, jaką czerpie z niej rozkosz. Nigdy nie mogła się nadziwić, jak odrzuca mocno głowę do tyłu, jego rozszerzone źrenice wpływają odwrócone pod powieki, a pomarszczony, migdałowobrunatny mały członek prostuje się znienacka, osiąga męskość i strzela wściekle białą żywicą – choć tylko mówiła do niego, niby do rośliny doniczkowej. Przypominało to kochanie się z postacią pochodzącą z różowego okresu Picasasa, z jednym z owych wątlých, pogrążonych w zadumie jeźdźców o nagich torsach, niepamiętających, by ktoś ich malował.

Oboje kochali Guillaume'a – ale bez względu na ich miłość Matthew nie mógł opędzić się od myśli, że pozostaje zbędnym elementem tego związku.

Odkąd Matthew wtargnął w życie rodzeństwa niczym ktoś, kto pojawia się w do połowy nakręconym już filmie, przyswajając sobie zasady pracy na planie i ucząc się boleśnie swoich kwestii, Guillaume obserwował, jak chłopak rości sobie prawa do coraz bardziej eksponowanego miejsca w jego domu.

Z początku nie był dla nich niczym więcej niż domowym zwierzęciem, łagodnym cocker-spanielem, który macha ogonem w odpowiedzi na najdrobniejsze oznaki czułości, zabawką albo nowym, interesującym nabytkiem, służącym rozrywce w obliczu dusznej i duszącej intymności rodzeństwa. Teraz zaś, kiedy Matthew zstąpił między nich, Guillaume zaczął sobie wyobrażać, nie wiadomo, czy słusznie, czy też nie, że on sam stał się bardziej kochankiem swojej siostry niż jej bratem bliźniakiem i że odtąd na-



wiedząc go będą niepokoję kochanka, na które brat bliźniak jest szczęśliwie odporny, jak ukłucia zazdrości, urazy albo piekielne męczarnie bezsennych nocy, spędzanych na rozmyślaniach, co miała znaczyć taka czy inna dwuznaczność. Węzeł, który ich łączył, rozluźnił się zgubnie i objął swoją pętlą także Matthew.

Jeżeli, jak fantazjowali kiedyś kapryśnie na swój temat, Guillaume i Danielle byli mitycznymi, archetypowymi kochankami niby Romeo i Julia albo Tristan i Izolda, to kim stawali się teraz? Niedobraną parą – czyli Tristanem i Julią.

Bo teraz to Guillaume wracał na palcach z łazienki, jak niegdyś Matthew, aby przystawać w milczeniu na progu sypialni z potarganymi włosami niczym transwestyta, któremu ktoś przed chwilą zerwał z głowy perukę. Niepokojąco natarczywie, z pełną przerażenia fascynacją wpatrywał się w dwie nagie, splątane postaci i widoczną obok na ciepłym, zmiętym prześcieradle nieregularną wklęsłość, pozostałość po jego własnym ciele, podobnie jak odciśnięcie głowy na poduszce. Czuł się, jak gdyby oglądał swego ducha.

Widok Matthew i Danielle, rozebranych, zwiniętych we wzajemnym uścisku w swoich ramionach, i widok nieruchomo stojącego w drzwiach Guillaume'a, którego niemal przezroczyście nagość wydawała się jaśnieć wskutek padającego z korytarza światła, kiedy opuszczał bezwładnie lewą rękę w okolice krocza, a między kciukiem i palcem wskazującym prawej ścisnął przełącznik światła równie delikatnie i wytwornie, jak panna Gabrielle d'Estrées szczypliwie brodawkę piersi swojej siostry na dziwnym, podwójnym portrecie z École de Fontainebleau – te dwa widoki mogłyby tworzyć zewnętrzne skrzydła tryptyku, którego centralną część stanowiłaby rozdzierająca serce pustka, dzieląca ludzi w świecie ulegającym niewyobrażalnemu zamętowi i nieporozumieniom ze skwapliwą łatwością.

Choć coraz rzadziej, zdarzały im się wciąż konwulsje olśnienia, kiedy raz jedno, raz drugie z nich nieomal podświadomie zdawało sobie sprawę, że nieuchronnie nadchodzi godzina zapłaty i że świat zewnętrzny, który im dotąd pobłażał, wezwie w końcu przyjaciół do zapłacenia rachunków. A jednak, choć było to dziwne (i, prawdę mówiąc, choć niemal nie zwracali uwagi nawet na tak niecodzienne zjawisko), godzina zapłaty z niewiadomych przy-

czyn bezterminowo odsuwała się w czasie. Nadal nie było telefonu z Var, obwieszczającego rychły powrót rodziców, który z kolei oznaczałby bolesne posiedzenie, poświęcone ich zachowaniu na weselu kuzynki Jacquemette. Nie kontaktowała się z nimi także babcia ani ciotka z „Le Nègre Bleu”.

Właściwie telefon w ogóle przestał dzwonić. Pewnego razu, kiedy Guillaume podniósł słuchawkę z na poły powziętym zamiarem zatelefonowania do willi w Var, aby uprzedzić to, co nieuniknione, stwierdził ze zdziwieniem, że telefon jest głuchy – nie było sygnału.

Jego zdumienie trwało tylko tyle czasu, ile było trzeba, by zastanowić się, czy nie powinien powiadomić towarzyszy. Potem, opierając swoje rozumowanie na doskonale racjonalnej przesłance, że odcięto im telefon, ponieważ w wyniku przedłużającej się nieobecności rodziców nie zapłacili rachunku, Guillaume przestał w ogóle zaprzętać sobie głowę tą sprawą.

Tego wieczoru, kiedy wrócili do domu i pozbyli się przemoczonych ubrań, zrzucając je na podłogę w przedpokoju, odkręcili ogrzewanie na cały regulator i odtąd chodzili po mieszkaniu nago.

Nigdy jednak nie rozbierali się zupełnie. Z uwagi na wspólny wszystkim cichy fetyszizm, każde z nich nosiło pojedynczą część garderoby: Guillaume owijał się, na przykład, obrzeżonym bladoniebieską lamówką białym prześcieradłem, które drapował na ramionach jak togę; Danielle wkładała kruczoczarne, sięgające łokci wieczorowe rękawiczki, sprawiające, że wyglądała w ciemności, jakby była bez rąk, niczym Wenus z Milo; Matthew natomiast nosił zamszowy pas amerykańskiego pioniera, zwieszający mu się luźno na biodrach. W ten sposób, polegając nonszalancko w *quartier des enfants*, przyjmując, niczym na fryzie, sto wspaniałych póździennie na tle muślinowych, marmurowozielonych zasłon w sypialni Danielle albo w cieniu empirowej lampy stołowej, zaczęli przypominać półnagie postacie antyczne, bohaterów, wojowników i boginki, które na neoklasycznych płótnach przedstawiali między innymi David i Ingres.

Gra, jeżeli nadal można było „kino domowe” uważać jedynie za grę, została sprowadzona do swojej nagiej istoty. Przede wszystkim utraciła nazwę. Nikt nie odczuwał już potrzeby nazywania jej „kinem domowym” ani ochrzczenia zabawy jakimkol-

wiek innym mianem, albowiem wplotła się w strukturę ich wspólnego życia zbyt głęboko – bez żalu zrezygnowali zatem z filmowych aluzji, od których się zaczęła, a które ostatnia ewolucja gry uczyniła zbędnymi.

Zostały już tylko fanty, surowa krytyka, wyzwania i seksualne potyczki, podczas których Danielle napinała mięśnie pięknych, nagich pleców, by upodobnić się do kobiet w kąpieli, malowanych przez Ingres'a, a obaj młodzieńcy stali obok z wyprężonymi członkami na podobieństwo antycznych posągów, które wyrzeźbiono, przedstawiając penisy modeli w stanie pełnej erekcji.

Miał to być ostatni okres gry.

Wymagała ona jednak od grających czegoś więcej niż tylko prostego nasilenia dotychczasowych ekscesów. Albowiem jeśli stawki gwałtownie rosły, to nade wszystko dlatego, że Guillaume żywił coraz większe pretensje pod adresem Matthew i Danielle, pretensje, które wskutek przyrodzonej paradoksalności ludzkiej natury nauczyły się koegzystować z jego miłością do nich, z pragnieniem coraz głębszej i głębszej penetracji cienistych partii ich ciał, obmacywanych, badanych palcami i sondowanych, jak gdyby stanowiły niepodzielną tkankę, w której epidermiczną płataninę byli przystrojeni.

Filuterne szarpnięcia i uszczypnięcia już im nie wystarczały, podobnie jak rozbrzmiewające chichotami wzajemne przebieranki, jak *touche-pipi* i rozwiązała, a przecież wciąż niewinna atmosfera koźlich, młodzieńczych figłów, płatanych lekkomyślnie w namiocie, w zamkniętej na klucz łazience na piętrze albo na tyłach ustępu przy placu zabaw. Dawne rekwizyty, jak stary portret Gene Tierney, czarne koty czy nawet pejcz Guillaume'a, odegrały swoją rolę i stały się niepotrzebne, więc pozostała im jedynie twarza, jasna dosłowność seksualnego pożądania – skóra, mięso i ciało, przez którego naturalne, nęcące otwory sięgali bardzo, ale to bardzo głęboko, niczym maleńkie, osierocone liski, kryjące się w ziemnych norach.

Przebieg gry zaostrzał także głód, który stopniowo zaczynał im doskwierać, torturując ich pulsujące skronie przerażającymi migrenami. Pozbawieni środków utrzymania, odrzucając pomysły zwrócenia się z prośbą o pomoc do rodziny albo do przyjaciół (jakich przyjaciół?), okrywali na zmianę swoją nagość brudnym, roz-

ciągniętym swetrem i parą poplamionych dżinsów, po czym drepali cicho na dziedziniec, by przeszukiwać komunalne śmietniki, stojące rzędem pod ścianą.

Jednak to, co udawało im się z nich wyciągnąć – a nie było tego wiele – wywoływało u nich gwałtowne zaparcia. Dysząc i parskając obficie, przy akompaniamencie innych, jeszcze bardziej komicznych efektów dźwiękowych, wydalali w końcu z trudem stolce w postaci twardych, zalatujących piżmem grudek, przypominających miniaturowe piłki do rugby, które kazały Danielle zza drzwi łazienki krzyżeć przeraźliwie w męce, że niedługo będzie musiała „srać przez cesarskie cięcie!”.

Trzeba było kolejnej tragikomicznej okoliczności, by całkowicie przekształcić *quartier des enfants* w „caepharnum” Sade’a, czego beztrzesko pragnęła kiedyś Danielle.

Pewnego wieczoru, mniej więcej tydzień po powrocie z Normandii, leniwie przeszukując spiżarnię w poszukiwaniu czegoś nadającego się jeszcze do zjedzenia, jak kruszący się pszenny paluszek, tkwiący wciąż w celofanowym opakowaniu albo tabliczka spleśniałej szwajcarskiej czekolady w rozerwanej cynfolii, Danielle natknęła się na zdobycz, o której wszyscy troje kompletnie zapomnieli. Oto na górnej półce, odsunięte w kąt, by nie dobrały się do nich zwierzęta, stały cztery puszkki kocięj karmy.

Danielle przywołała chłopców. Guillaume znalazł otwieracz do konserw i zaczął odcinać wieka z tak impulsywnym pośpiechem, że rozplątał sobie palec. Jednak już po chwili wygarniali z puszek wilgotne, aromatyczne, obrośnięte galaretką mięso gołymi rękami, pochłaniając jadło bez chwili zastanowienia.

Niestety, przewody trawienne młodych ludzi zareagowały na kocią karmę dokładnie odwrotnie niż na rozmaite resztki, które wydobywali ze śmietników na dziedzińcu. Żołądki zaczęły im niemal natychmiast burczeć, bulgotać i fermentować bąbelkami gazu. Krew odpłynęła im z twarzy. Zaciskając uda i osłaniając dłońmi eksplodujące wulkanicznie usta, by powstrzymać przyływ, wszyscy troje naraz pomknęli do toalety.

Danielle, która zachowała największą przytomność umysłu, skręciła nagle do łazienki rodziców, leżącej poza orbitą *quartier des enfants*, i od razu zamknęła drzwi na zamek, żeby nie wpuścić do środka innych abordażystów.

Guillaume i Matthew, zmuszeni stoczyć między sobą walkę, pościgili dalej korytarzem do ubikacji koło sypialni Guillaume'a.

Na progu doszło do chaotycznego starcia – chaotycznego, ponieważ obaj wciąż usiłowali zapanować nad swoimi ciałami, żeby powstrzymać sensacje, które rozdzierały im wnętrzności. Nawet jeśli to Matthew pierwszy dosięgnął siedzenia w toalecie, Guillaume natychmiast zrzucił go z sedesu. Odepchnięty Matthew poślizgnął się i stracił równowagę. Przeleciał nad wilgotną, pokrytą linoleum podłogą jak balon, z którego wypuszczono powietrze. Jelita paliły go, wirując zawrotnie niczym szprychy koła świętej Katarzyny<sup>12</sup>. Jego piskliwe krzyki zlały się z wrzaskami siedzącego już na tronie Guillaume'a, i nagle, na oczach ich obu, ciało Matthew rozplynęło się wartkim, niepohamowanym nurtem błocka, spermy, wymiocin, żółtek jaj, miękkiego karmelu i srebrzystych nitek smarków.

W chwilę później, kiedy do łazienki weszła Danielle, Matthew leżał jeszcze na podłodze w otoczeniu najrozmaitszych płynów i substancji, jakie wydało jego ciało. Przypominał ślepcę, który potknął się o tacę z własnym śniadaniem i czeka cierpliwie, aż ktoś go podniesie.

Podniosła go Danielle – nieprzywykła do matkowania nikomu Danielle, która unyła kochanka, wsuwając napęczniałą gąbkę we wszystkie sklepienie zagłębienia jego ciała, w spuchnięte rowki i między spadzistości, aby na koniec wycisnąć ciepłą wodę w obolałej szparze, przecinającej pośladki chłopaka.

Potem poniekąd przerażony, poniekąd pogodzony z losem Matthew pozwolił, żeby Danielle czyściła i odkażała go dalej. Zgoliła mu nie tylko porost wokół penisa, lecz także włoski porastające wąski, dymiący jak proch strzelniczy szlak między nogami. Kiedy skończyła, okazało się, że ani ona, ani jej brat nie mogą powstrzymać się od penetracji gładkiej, lśniącej bruzdki, która stała się wrażliwa na dotyk ich palców niby odbytnica noworodka.

Matthew wybuchnął natomiast ekstatycznym śmiechem i śmiał się jak niemowlę, którego nigdy dotąd tak bardzo nie przypomi-

<sup>12</sup> Legendarna dziewica z Aleksandrii (IV w.), torturowana na wyposażonym w szpice kole; mianem „koła św. Katarzyny” określa się także wirujący fajerwerk (przyp. tłum.).

nał. Przejrzał się w lustrze. Podniecony, zaczął ocierać się o swoje odbicie. Pieścił całą swą postać, ale chłopiec w lustrze nie chciał go pocałować w żadną część ciała z wyjątkiem ust. Widmowe ślady pocałunków pozostawały przez chwilę na zamglonej powierzchni szkła, po czym znikwały powoli, jak uśmiech kota z Cheshire.

Wtem, nieoczekiwanie, bez ostrzeżenia, Guillaume podszedł do niego z tyłu i przygwoździł go do lustrzanego odbicia. Tocząc szaleńczym wzrokiem, z wygiętym na bok nosem, zgrzytając zębami o szkło, z lewym policzkiem spłaszczonym na prawym policzku swego sobowtóra, Matthew dyszał ciężko, walcząc o łyk powietrza tak rozpaczliwie i zażarcie, że można było odnieść wrażenie, iż własne odbicie robi mu sztuczne oddychanie, składając na jego ustach pocałunek życia.

Stało się jasne, że Guillaume chce go zgwałcić.

Do tej pory młodzieńcy przestrzegali zawsze pewnej niepisanej granicy przyzwoitości, wiedzieli, kiedy i gdzie powinni się zatrzymać i jak daleko mogą się posunąć, by nie pójść za daleko. Co do Danielle, obaj uważali, że dziewczyna to zupełnie inna sprawa. Ale na samym początku, minionym już na zawsze i bezpowrotnie, ich wzajemne wygłupy ograniczały się do drobnych upokorzeń i samoponizeń, stanowiących zwykle podstawę młodzieńczej erotyki – erotyki kawałów i rytuałów, odprawianych na placu zabaw. Teraz jednak, skoro Guillaume zamierzał dokonać gwałtu, który napełniał go niewytłumaczalnym uniesieniem, choć wiedział, że sponiewiera przyjaciela i sprawi mu ból, obaj przestali się stosować do swoich własnych zasad.

Po chwili niedowierzania, które zaparło mu dech w piersi, Matthew wydał przeraźliwy okrzyk sprzeciwu. I jeśli nawet z początku, wciskając się w jego pośladki, Guillaume sądził, że w ten sposób nie można wejść w Matthew ani w ogóle w żadnego mężczyznę, że sodomia nie jest w rzeczywistości niczym innym, jak tylko monstualną konfabulacją, anatomicznie aberracyjnym wymysłem z marzeń erotomana, jednym z tych aktów, o których, jak o analnej penetracji pięścią, tylko się czyta, lecz w które właściwie się nie wierzy – to mimo wszystko jego twardy, zwiedziony członek wślizgnął się w końcu w wilgotny, ciasny, usiany drobnymi włoskami przesmyk.

Danielle stała obok, milcząco poruszona tym nowym, dziwacznym związkim, natomiast krzyk Matthew, z którego ust ścieka-

ła na lustro strużka ciepłej śliny, zamierał stopniowo, przechodząc w cichy, agonalny jęk, który równie dobrze można było wziąć za jęk rozkoszy, jak i bólu.

Uchylając powiekę pomimo nacisku zimnego, szklistego, gądziego wzroku lustra, zobaczył odpychająco zmiażdżoną twarz, która jednocześnie należała i nie należała do niego – twarz pozornie obcą, choć w rzeczywistości wcale obca nie była.

*Que reste-t-il des billets doux,  
Des mois d'avril, des rendez-vous?  
Un souvenir qui me poursuit...  
...qui me poursuit...  
...qui me poursuit...  
...qui me poursuit...*

Pokornie, z pochyloną głową, zdając się na łaskę tych, których kochał i którzy kochali jego, Matthew bez ograniczeń i bezwarunkowo przyjął wreszcie rolę, w której obsadziło go życie, rolę męczeńskiego anioła, wątłego fizycznie i łagodnego jak jagnię, którego można pieścić, bić, kołysać i opluwać, wzbudzał bowiem w przyjaciółach, których pociągał i do których on odczuwał pociąg, czułe pragnienie opieki, a zarazem chorobliwą, nałogową chęć splugawienia niewinnej, bajkowej subtelności smakołyka natury, jakim był – uwiodła ich bowiem przede wszystkim właśnie jego delikatność i smakowitość.

Wreszcie odnaleźli swoją kryptoedypową tożsamość, której, być może, poszukiwali, począwszy od poranka, kiedy wyjechali ich rodzice.

Jak zwierzęta z filmów rysunkowych, które wybiegły poza skraj przepaści i pędzą jeszcze kilkanaście jardów, zanim zdołają z drzeniem wyhamować, przebierali już nogami w powietrzu, zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy.

Guillaume i Danielle cieszyli się niewypowiedzianą wolnością, równie śmiertelną, jak i nieskończoną, wolnością onanistów, którzy sami sobie wydają pozwolenie czynienia w myślach wszystkiego, czego, z kim i jak często zapragną, co w konsekwencji prowadzi do snucia coraz straszniejszych i coraz bardziej perwersyjnych fantazji. Różnica polegała tylko na tym, że to, co działo się w mieszkaniu, nie było wytworem niczyjej wyobraźni. Matthew,

będący już właściwie wyłącznie uległym produktem gorliwej fantazji obojga rodzeństwa, stał się uzewnętrznionym przedmiotem ich rojeń, fizycznie zaś jego jestestwo sprowadzało się do słodkiego, rozbitego i stłamszonego bólu. Tymczasem nagość, w jaką od tej chwili byli bez przerwy odziani, redukowała ich wszystkich jeszcze bardziej do najprostszych kategorii psychicznych, takich jak Mężczyzna, Kobieta i Dziecko, przypominających postaci wyjęte żywcem z jakiegoś prymitywnego, rustykalnego melodramatu Griffitha czy Murnaua.

Bili go, dręczyli, poniżali i poddawali najwymyślniejszym nowym upokorzeniom, lecz Matthew ani na moment nie przestał być obiektem ich miłości, wszechogarniającego ciepła i nieograniczonej czułości – albowiem upokorzywszy go, dręczyciele niemal natychmiast ze łzami w oczach nakazywali mu przestać lamentować, obejmowali i całowali chłopaka po całym ciele, dosłownie zasypując ofiarę pocałunkami, jak gdyby chcieli ją udusić, błagając o przebaczenie w najpokorniejszych, najbardziej nikczemnych słowach. A potem wszystko zaczynało się znów od początku.

Pod działaniem takiego zmiennego prądu, cienia i światła, na przemian gorącego i zimnego prysznica, Matthew, którego rozkosznie dręczyło przy tym sumienie, odkrywał wciąż na nowo podniecające, upodlające doznania z ulicy Hoche.

Tymczasem świat zewnętrzny, od którego przeciętnych, prawych obywateli Guillaume, Matthew i Danielle stronili z wzajemnością, świat, który zatrzymał się u zaryglowanych drzwi wejściowych do mieszkania, jak gdyby nie śmiał postawić nogi wewnątrz, ten świat również wydawał się przebierać nogami w powietrzu nad przepaścią, rozpadać się, serpentynowym ruchem wymykać spod kontroli, niby wskutek chirurgicznego cięcia odsłaniając poskręcane wnętrza zwojów swoich sprężyn, co widział i słyszał każdy, kto miał oczy do patrzenia i uszy do słuchania. Bo ostatecznie czy można było inaczej niż rozpadem świata wytłumaczyć milczenie telefonu? Nagły i gwałtowny werbel kroków, który rozbrzmiewał echem na chodniku pod oknem sypialni, po czym niespodziewanie przechodził w cichnący tupot? Przecinające całe miasto jęki syren karettek pogotowia, samochodów strażackich i policyjnych radiowozów, krzyżujące się nocą podobnie jak od-



głosy, przypominające ledwo słyszalne eksplozje, rozlegające się jakby w wielkiej odległości albo pod szkłem?

Te przykre pomruki, niepokojące tym bardziej, że w pewnym sensie głuche, znieczulająco stłumione, jak każdy dźwięk, docierający do nas, kiedy zatkamy uszy i po chwili raptownie je odsłoniemy – krótko mówiąc, wszystkie te kroki, syreny, wybuchy i brzęki tłuczonego szkła, składające się na nieubłagany łoskot pandemonium końca świata, posłużyły przyjaciółom za akompaniament w ostatniej fazie gry, gdy spleceni ramionami, obejmując się kurczowo jak na skraju otchłani, Guillaume, Danielle i Matthew zstępowali – a raczej *wstępowali* – do piekieł.

...qui me poursuit...

...qui me poursuit...

...qui me poursuit...

...qui me poursuit...

...qui me poursuit...

Pewnego dnia... nieco później... może po paru tygodniach, dniach albo godzinach... mieszkanie, oglądane przez niewidzialną czwartą ścianę, przez którą podgląda nas Bóg, pogrzyżyło się w milczeniu i znieruchomiało, zamknięte szczelnie niby trumna. W powietrzu czuć było stęchliznę. Przez zasłony w sypialni nie przebijał się nawet pojedynczy promień światła. Danielle leżała w poprzek łóżka, z głową i ramionami zwieszonymi poza jego skraj, tak że długie, proste włosy dziewczyny omiały dywan, a jej widziane w perspektywicznym skrócie stopy wyglądały niczym stopy wisielca. Guillaume, któremu oczy przesłaniał niesforne kosmyk włosów, leżał zwinięty u wezglowia w pozycji embrionalnej. Matthew siedział po turecku na podłodze ze zwieszoną głową. Twarz i piersi pokryte miał jak Indianin kaligraficznymi herbami, składającymi się z krzyży, półksiężyców, pętli i krętych linii, wymalowanych kałem.

Nie przypominali już płataniny eleganckiego monogramu: ogarnął ich raczej przerażający, upiorny bezruch „Tratwy” „Meduzy”<sup>13</sup>.

<sup>13</sup> Słynny metaforyczny obraz Théodore’a Géricaulta (1791–1824), namalowany w 1819 roku (przyp. tłum.).

Nic nie mogło ich już powstrzymać, stali się bowiem podróżnikami przepływającymi się przez Letę, która okazała się równie zanieczyszczona, jak wszystkie inne rzeki.

Bez względu na to, czy umarli, czy może tylko spali, nie podrywały ich brutalne, zewnętrzne niepokoje, tupot kroków, syreny ani detonacje, które mimo wszystko zbliżały się coraz bardziej, ba, podeszły już przerażająco blisko niczym apokalipsa publiczna, niemająca żadnego przełożenia na hermetycznie prywatną apokalipsę, rozgrywającą się w mieszkaniu na pierwszym piętrze przy placu de l'Odéon. Tu bowiem jak sen, zadymka śnieżna albo lawina kokainy, ciężar własny lekkości inercji i dłuższn wieczności okrywał wszystkich domowników niby pled.

Mimo to hałas na ulicy narastał i stawał się coraz głośniejszy, tak głośny, że pośród kroków, wycia syren i eksplozji dały się także słyszeć krzyki, wrzaski, wiwaty, głuche odgłosy jakby rodem z kręgielni, pisk opon, trele gwizdków i słowa pieśni.

I nagle, niby Piotruś Pan, ulica wleciała przez okno. Rzucony gwałtownie z dołu niewielki kamień wpadł z trzaskiem do sypialni, gdzie w leniwym bezruchu leżała trójka przyjaciół. Kawałki szkła z wybitej szyby posypały się na łóżko. Kamień przewrócił patefon. I rozbił płytę Treneta.

Nie byli martwi.

Przez wyszczerbiony, gwiazdzisty otwór w szybie wpada, drżąc i podrygując, zimne, zamglone słońce. Zgiełk, światło i powietrze odменяją pokój – zgiełk jest rozdzierający, światło oślepia, powietrze oszołamia.

Otwierają oczy. Poruszają się. Chwiejnie, bo członki ciążą im jak rtęć, w zwolnionym tempie, niepewnymi ruchami astronautów koziółkujących w hermetycznie zamkniętej komorze, dźwigają się na nogi. Dalej, wciąż w zwolnionym tempie podchodzą do okna, podtrzymując się nawzajem. Idą, pierwszy Guillaume, potem Danielle i Matthew, z wyciągniętymi ramionami, niby alegoryczne postaci ze stalinowskich pomników – jedna stopa wydaje się unosić w powietrzu i szybuje kilka centymetrów nad podłogą, na którą po chwili ciężkim, stłumionym stąpnięciem opada druga noga. Danielle potyka się, więc Matthew ją wyprzedza, przewracając empirową lampę, której żarówka eksploduje cicho na tysiące kawałków.

Dochodzą do okna. Rozsunąwszy zasłony, Guillaume otwiera je szeroko. Świeże powietrze cuci go, podobnie jak uderzenie w twarz wraca przytomność ogarniętej histerią kobiecie.

Wyglądają na ulicę. Oto, co widzą na całej długości wąskiej, krętej alejki:

Po lewej stronie, tam gdzie ulica dochodzi do placu de l'Odéon, wśród rumowiska kamieni, brukowców i połamanych gałęzi powoli, ostrożnie, niczym rzymski legion, kroczy falanga funkcjonariuszy policji CRS z hełmami na głowach. Ich wysokie, czarne skórzane buty miażdżą gruz obcasami. Policjanci trzymają w okrytych czarnymi rękawicami dłoniach pałki, pistolety maszynowe i metalowe tarcze, którymi osłaniają twarze. Tarcze splatają się idealnie, jak w tych układankach dla dzieci, składających się z szesnastu kwadratowych pól, które należy wypełnić piętnastoma kwadratowymi płytkami. Policjanci kunktatorsko maszerują tam i sam, w tę i z powrotem, porządkując i przegrupowując siły wedle jakiegoś tajemniczego, wielkiego planu, a każdą lukę, która powstaje w ich szykach, wypełnia natychmiast kolejny funkcjonariusz i metalowe tarcze sprzęgają się znów w całość.

W połowie długości ulicy, tuż pod oknem, leży przewrócony kołami do góry samochód, wokół którego bucha gęsty dym. Ktoś powyrywał z chodnika żebrowane, podobne do wafli żelazne kratownice, przypominające olbrzymie elementy modelarskie, i pokładał je w stos na samochodzie.

Wtem, z prawej strony, gdzie na horyzonie majaczy kościół Saint-Sulpice, nadciąga rwąca fala, wypełniająca ulicę, jakby ją miała rozerwać – rozlewa się na chodnikach rzeką, prawdziwym sztormem młodocianych przedstawicieli ludzkości, na których czołach lśni pot. Trzymają się pod ramiona i wznoszą do góry pięści, prowadzi ich zaś bardzo młoda kobieta, nastoletnia Pasionaria<sup>14</sup>, Joanna d'Arc w ortalionowym płaszczu, powiewająca ogromną czerwoną flagą, trzepoczącą i tańczącą na wietrze.

Młodzi ludzie śpiewają, maszerując, śpiewają ze wszystkich sił, bezwstydnie grają pod publiczność, licząc na aplauz zaciekawionych, wypłoszonych mieszkańców okolicznych domów, którzy wylegają tłumnie na zalane słońcem balkony, by po chwili zaskocze-

<sup>14</sup> Dosł. „Męczennica” (hiszp.), pseudonim Dolores Ibárruri, działaczki hiszpańskiego i międzynarodowego ruchu robotniczego (przyp. tłum.).

nia i wahania w większości dołączyć do manifestantów, toteż wydaje się, że ulica znalazła nareszcie swój głos i zaczyna śpiewać najpiękniejszą, najbardziej wzruszającą i najpopularniejszą pieśń na świecie:

*DEBOUT LES DAMNÉS DE LA TERRE!  
DEBOUT LES FORÇATS DE LA FAIM!  
LA RAISON TONNE EN SA CRATÈRE  
C'EST L'ÉRUPTION DE LA FIN!*

*DU PASSÉ FAISONS TABLE RASE  
FOULE ESCLAVE, DEBOUT, DEBOUT!  
LE MONDE VA CHANGER DE BASE  
NOUS NE SOMMES RIEN, SOYONS TOUT!*

*C'EST LA LUTTE FINALE  
GROUPONS-NOUS ET DEMAIN  
L'INTERNATIONALE  
SERA LE GENRE HUMAIN!*

# CZEŚĆ TRZECIA

*Paryż. Maj 1968 roku*



**A**patyczna inkubacja dobiegła końca, a dziwaczny spektakl, który przedstawiał się z balkonu oczom Guillaume’a, Danielle i Matthew, wprawił ich w osłupienie. Osłupienie, w jakie popadła Sarah Bernhardt, która, gdy jej stangret wybrał inną niż zwykle trasę z *hôtel particulier* do Comédie-Française, wykrzyknęła podobno na widok kościoła Madeleine, obok którego akurat przejeżdżali: „Na Boga, skąd w centrum Paryża wzięła się grecka świątynia?”.

Czy któreś z nich słyszało ten basowy gwar, kakofoniczne odgłosy wieży Babel, zastępujące płytę Treneta jako akompaniament gry? W żadnym wypadku nie jest to rzecz pewna – a nawet jeśli ktoś z trojga przyjaciół słyszał wspomniane hałasy, to akustyka mieszkania, podobnie jak wewnętrzna akustyka uli, w jakie przekształciły się ich ciała, była tak czuła i potężna sama w sobie, że wszystkie czysto zewnętrzne dźwięki najprawdopodobniej wydawałyby im się równie naturalne i abstrakcyjne jak ścieżka dźwiękowa – bo nikt nie kwestionuje przecież faktu, że muzyka jest oderwana od treści filmu. Dźwiękowe tło pomaga po prostu stworzyć atmosferę.

Jakież było zatem zdziwienie młodych ludzi, kiedy dotarło do nich, że owe lekceważone, niemal podprogowe pogłosy składają się na ścieżkę dźwiękową zupełnie innego dramatu, którego byli zaledwie nieistotnie obecnymi widzami, można więc było uznać, że w ogóle ich tam nie było.

Guillaume pierwszy otrząsnął się z odrętwienia.  
– Schodzę na dół – powiedział po prostu.

Odwrócił się i poszedł do łazienki, by spryskać twarz zimną wodą. Matthew i Danielle ruszyli za nim. Przez chwilę nie odzywali się do siebie ani słowem. Robili toaletę szybko i gorączkowo. Odwrócony plecami do rodzeństwa Matthew zaczął zeskrobywać z twarzy i tułowia okultystyczne znaki. Kał, który zasechł i stwardniał jak błoto, wykruszał się płatkami do umywalki. Wtedy znów doszło do głosu wychowanie w San Diego. Matthew wszedł do wanny, wyciągnął rączkę prysznicową z uchwytu nad wanną i umył się cały. Guillaume ani Danielle nie poszli za jego przykładem.

Jak we śnie podnieśli swoje ubrania, leżące wciąż w stercie na korytarzowym linoleum, włożyli bieliznę, koszule, skarpetki, buty i nadal nic nie mówiąc, zeszli na ulicę.

Przez cały dzień padało. Teraz, kiedy zza chmur wyszło wreszcie słońce, cały Paryż rzucił się suszyć ubrania, ale chodniki, fasady domów i czarne przeciwdeszczowe płaszcze funkcjonariuszy CRS lśniły wciąż wilgocią. Przewrócony samochód okazał się czerwonym Citroënem. Wyrwano mu drzwi, które miały posłużyć jako zaimprovizowana kolczuga. Przednia szyba auta była rozbita, a bagażnik wgnieciony. Wóz leżał do góry nogami. Młodzi demonstranci, którzy maszerowali przedtem ramię w ramię w takt Międzynarodówki, przykucnęli teraz za samochodem. Ubrani byli w dżinsy i kilka warstw swetrów, szyje zaś okręcili szkarłatnymi, fularowymi chustami.

Do tego otoczenia nie pasował *mobyette*, oparty maską o ścianę, jak gdyby właściciel zaparkował go bezmyślnie, a potem udał się gdzieś na chwilę załatwić jakąś banalną, powszednią sprawę.

Demonstrantom, przykucniętym z podniesionymi w napięciu głowami, drżały ręce. Przypominali dzieci, które można zobaczyć w Ogrodzie Luksemburskim, oczekujące na przedstawienie kukielkowego teatryku Grand Guignol. Tu Guignol stanowiły siły CRS, stojące naprzeciwko nich na ulicy, a pałki policjantów zastępowały kij Puncta.

Ponieważ zwykle jednak tak się dzieje, że prawdziwe przedstawienie podczas występów Grand Guignol urządzają właśnie dzieci, uwagę Guillaume'a, Danielle i Matthew przyciągali nie funkcjonariusze CRS, lecz młodzi ludzie, otaczający samochód, przyczajeni, skryci w bramach domów i za słupami ogłoszeniowymi, oklejonymi plakatami z filmów „La Collectionneuse” Erica



Rohmera i „La Sorcellerie à travers les âges” Benjamina Christensena, a nawet siedzący na niższych gałęziach drzew.

Pod pozamykanymi drzwiami kafejek stały spiętrzone w stos krzesła. Niektórzy klienci, trzymający w rękach szklanki jasnego piwa albo filiżanki kawy, wyglądali na zewnątrz przez tafłowe szyby. Inni spokojnie czytali dalej gazety opisujące wydarzenia, które rozgrywały się właśnie na ulicy, lekko zdystansowani, jak melomani w operze, którzy przy świetle kieszonkowej latarki czytają partyturę.

W jednej z kafejek młodzieniec z północnej Afryki, o szczerbatym uśmiechu, dziwnie rozbieganych oczach i z blizną na prawym policzku, obejmował kurczowo automat do gry w bilard elektroniczny, szarpiąc go brutalnie na boki. Inny mężczyzna, rodowity Francuz, przechylił się przez kontuar i osłoniwszy ucho zwiniętą w trąbkę dłonią, gawędził z barmanem, który, ze ścierką w dłoni, zmywał i wycierał jedną pustą szklankę po drugiej zręcznymi, pełnymi wdzięku ruchami nadgarstka. Stojący za nim ekspres do kawy pracował głośniejsz niż bomba zegarowa.

Była to chwila zawieszenia działań w czasie, jaka zdarza się podczas kręcenia scen bitewnych, kiedy cała ekipa, aktorzy, operator i kręcący się bezładnie po planie umundurowani statyści czekają, aż reżyser krzyknie wreszcie: *Action!*

Mimo to podniosła się straszna wrzawa. Nie licząc krzyków, szyderstw, gwizdów i przemawiającego przez megafon oficera CRS, nakazującego demonstrantom rozejść się, słychać było przenikliwy, wysoki jęk klaksonu citroena, który zaklinowano dużym, przypominającym kształtem śmigło płatem żelaznej kratownicy. A jednak ponad albo poza zgiełkiem można było wyczuć cienką, wiotką, niemal niesłyszalną strużkę ciszy napięcia i antycypacji – przerażającej, grzmiącej ciszy cyrkowego werbla, który poprzedza niebezpieczną akrobację.

W tej chwili oczekiwania Guillaume, Danielle i Matthew, zbici w maleńką grupkę w głównym wejściu do swojej kamienicy, widzieli wszystko w stereoskopowych szczegółach: policjantów CRS w przypominających maski pośmiertne maskach przeciwgazowych, ulicę usłaną wyrwanymi z bruku kamieniami, chmury dymu, wydobywające się przez wylupione oko szyby citroena, pełne ludzi kafejki, mieszkańców na balkonach, na których można było gdzieś dostrzec ledwo widoczne główki małych, wy-

straszonych dzieci, wystające spomiędzy prętów balustrad, manifestantów rozciągających swe szyki we wszystkich kierunkach i czerwoną flagę, którą wciąż powiewała nastoletnia Pasionaria.

No i widzieli graffiti. Albowiem na całej długości ulicy pojawiły się ociekające kroplami czerwonej farby wielkie pasma antologii haseł, przypominających surrealistycznym charakterem zaszyfrowane wiadomości, jakie nadawało podczas wojny radio BBC dla francuskiego ruchu oporu. Paryskie ściany miały więc usta, nie uszy:

LES MURS ONT LA PAROLE

\*

SOUS LES PAVÉS LA PLAGE

\*

IL EST INTERDIT D'INTERDIRE

\*

PRENEZ VOS DÉSIRES POUR LA RÉALITÉ

\*

LA SOCIÉTÉ EST UNE FLEUR CARNIVORE

\*

ÉTUDIANTS OUVRIERS MÊME COMBAT

\*

COURS, CAMARADE, LE VIEUX MONDE  
EST DERRIÈRE TOI

\*

LIBÉREZ L'EXPRESSION

\*

L'IMAGINATION AU POUVOIR

Reżyser krzyknął: *Action!*

Policjanci z CRS ruszyli naprzód. Ich uniesione pałki zdawały się giąć, jak gdyby wymachiwali nimi pod wodą. Rzymski legion przestał istnieć i każdy funkcjonariusz działał na własną rękę. Pojedynczo lub parami, w maskach przeciwgazowych, nadających im groźny wyraz jakby marsjańskiej obcości, postępowali naprzód, każdy swym własnym tempem, odbijając tarczami kamienie, gałęzie, błotniki i bomby wodne, którymi obrzucano ich z za Citroëna.

Początkowo demonstrantom udało się, na krótko i chaotycznie, utrzymać pozycje obronne. Kilku śmiazków wzniosło zaciś-

nięte zapalczywie pięści. Usiłovali zaintonować znów refren „Międzynarodówki”, ale ich śpiew wkrótce rozpląnął się w bezładnej wymianie okrzyków i drwin. Potem, kiedy wyczerpali skromny zapas amunicji, niektórzy ruszyli do akcji w ariergardzie, posługując się bronią, jaka wpadała im w ręce, inni natomiast, którzy rzucili się już do ucieczki, potykali się gęsto na wyszczerbionym, zdradziecko nierównym bruku, padając raz po raz i kalecząc się boleśnie w kolana i kostki.

Tymczasem posuwający się stopniowo naprzód policjanci mieli już granaty z gazem łzawiącym, które lądowały na ulicy z głuchym odgłosem, przypominającym dźwięk wpadającej do skrzynki pocztowej paczki. Po chwili niepewności, w której nikt nie wiedział, czy mechanizm wyzwalający zadziała, z granatów zaczęły wydobywać się maleńkie, stożkowate cyklony gryzącego, pomarańczowego dymu, które szybko nabrzmiwały do monstrualnych rozmiarów. Dym wzbijał się zarówno ponad swoich oswobodzicieli, jak i nieprzyjaciół z niepohamowaną energią wypuszczonego z butelki dzina.

Mieszkańcy ruszyli do pośpiesznego odwrotu z balkonów, spuszczać z trzaskiem żaluzje i zamykając drzwi, podczas gdy demonstranci, jeden po drugim, lakonicznymi ruchami błędnych rycerzy, zatraskujących przed bitwą blaszane przyłbice, zaczęli osłaniać usta i nosy fularowymi chustami.

Potem rzucili się do ucieczki, ścigani przez siły porządkowe.

Na progu kafejki dwóch policjantów osaczyło czarnoskórego młodzieńca. Miał zamknięte oczy, mocno zacisnął powieki, a piękne, zwężające się ku paznokciom palce rozcapierzył w obronnym geście na głowie porośniętej krótkimi, kędzierzawymi włosami. Upadł na chodnik pod ciosami zadawanymi metodycznie najpierw z prawej, potem z lewej strony, jak gdyby na miniaturowym parkiecie tanecznym szafy grającej biło go dwóch miniaturowych, bliźniaczych kowali, wymachujących młoteczkami w takt Chóru Cyganów<sup>15</sup> z „Trubadura”.

Kafejka wyposażona była w drzwi z taflowego szkła, ale ich dolną część zasłaniały reklamy papierosów Royale i wermutu Pernod. Dlatego z wewnątrz nie było widać nic oprócz wznoszących się i opadających z mechaniczną regularnością pałek. Roz-

<sup>15</sup> Chór ten wykonuje się do wtóru uderzeń w kowadła (przyp. tłum.).

płaszczając nosy na szybie, goście siedzący najbliżej drzwi spoglądali w dół, bezskutecznie usiłując dostrzec, kogo bije policja.

Kiedy z czoła czarnoskórego młodzieńca pociekła strużka krwi, plamiąc biały kołnierzyk jego koszuli, policjanci zaczęli grzmocić swą ofiarę w krocze.

Różowe plamki, widoczne na paznokciach i ruchliwych palcach Murzyna, dodawały tej scenie pikanterii. Sprawiały, że wyglądał jak człowiek obdarty ze skóry.

Nieco dalej policjanci ścigali przebiegającą przez ulicę młodą kobietę w trenczu, uderzającą podobną do Greta Garbo i bardzo fotogeniczną, o długich, kasztanowych włosach, wciśniętych pod miękką kapelusik z tej samej tkaniny, co płaszcz. Dziewczyna przebiegła obok uchylonego na parterze okna, ale niemal natychmiast zawróciła.

W oknie stało dwoje starszych ludzi. Choć najpierw z biernym zdumieniem przyglądali się, jak dziewczyna głową naprzód przeskakuje parapet, po chwili pomogli jej dostać się do środka.

Natychmiast zamknęli i zaryglowali za nią okno, ale jeden z prześladowców nonszalanckim ruchem roztrzaskał szybę pałką.

Demonstranci z załzawionymi od gazu oczami miotali się tu i tam, ruchem konika szachowego postępując dwa kroki naprzód, jeden w bok, czasami skręcając gwałtownie, by podnieść wyrwany z bruku kamień i cisnąć go w tył nad głowę, oskrzydłali przeszkody, zmieniali taktykę, lawirowali, potykali się w pędzie, z trudem utrzymując równowagę, wynosili rannych poza linię ognia, szydzili z policjantów, prowokowali ich, po czym znów uciekali – gdy tymczasem funkcjonariusze CRS, przeczesując szachownicę niczym spowici w peleryny gońcy, bezlitośnie gnali ich coraz dalej, wzdłuż zakorkowanej ulicy w stronę placu de l'Odéon.

Guillaume, Danielle i Matthew, wciąż jeszcze niewinni świadkowie, którzy z niedowierzaniem obserwowali ów spektakl, nie mając absurdalnie najmniejszego pojęcia, co było *casus belli* zaistniałych zajść, musieli cofać się pod naporem policji wraz z manifestantami.

Dokładnie na rogu ulicy, w miejscu, w którym zbiegała się z placem de l'Odéon, Matthew natknął się na półprzytomnego chłopaka. Jego mrocznie przystojną twarz pokrywały smugi krwi niczym twarz syna Kennedy'ego na fotografii Danielle. Ranny stracił panowanie nad fizjologicznymi funkcjami ciała. Ciemna,

sześciokątna plama wzbierała powoli w kroku jego dżinsów i rozlewała się w dół po szwie nogawki.

Na widok tego opuszczonego śmiecia, który wyrzuciła na plażę ludzka fala, Matthew odczuł tak nieznośne wzruszenie, że jego oczy natychmiast wylały z brzegów. Błysnęło przed nimi wspomnienie czarującego potwora, którego widział przechodzącego przez ulicę przed National Gallery w Londynie. Zarówno wtedy, jak i później, we śnie, tak i teraz uderzyła go niewytłumaczalna szlachetność młodzieńca o spływającej krwią twarzy i zmierzwionych włosach, ukryta także w jego fularowej chuście, rozedrganych spazmatycznymi skurczami oczach, a nawet splamionych dżinsach.

Telefon od Guillaume'a zbudził go przedwcześnie z tamtego snu. Tym razem jednak nie śni. Dokona cudu. Wskrzęsi umarłego.

Tłum rozdzielił go od Guillaume'a i Danielle. Nie próbując nawet ich przywołać, Matthew przykląkł u stóp młodzieńca. Zawstydzony mimowolnym wypróżnieniem chłopak usiłował nieporadnie zakryć plamę ręką, Matthew jednak postępował pragmatycznie jak biznesmen. Oderwał dłoń chłopaka od splamionego krocza, położył ją sobie na ramieniu i wsparł rannego o ścianę, choć leciał mu przez ręce. Za każdym razem, gdy Matthew go podnosił, nogi odmawiały posłuszeństwa młodzieńcowi, który osuwał się z powrotem na chodnik.

– Możesz chodzić – wyszeptał mu Matthew do ucha. – Tylko spróbuj, będziesz mógł iść, jeżeli się na mnie oprzesz.

W końcu udało mu się utrzymać go w pozycji stojącej – chłopak otoczył ramionami jego szyję, powłóczył nogami i potykał się co chwilę, ale Matthew zaczął holować rannego poza zasięg policyjnych pałek.

Rychło natknęli się jednak na mniej więcej czterdziestoletniego mężczyznę. Czarna skórzana kurtka, beżowe bawełniane spodnie, rozpięta pod szyją sportowa koszula i pozbawione oprawek ciemne okulary o fiołkowo połyskujących szklach zdradzały, że jest tajniakiem. Miał przyszczatą cerę alfonsa i chociaż nosił brodę, odnosiło się wrażenie, że jest źle ogolony.

Na szyi dyndał mu miniaturowy aparat fotograficzny, fotografował bowiem „prowodyrów zajęć”.

Tajniak odepchnął Matthew tak gwałtownie, że ranny osunął się na chodnik po ścianie jak postać z filmu rysunkowego rozpląszczona przez walec.

– Co ty, u diabła, wyrabiasz? – plunął tajniak, zwracając się do Matthew. – Ten szczył jedzie do pudła, więc jeżeli nie chcesz mu towarzyszyć, lepiej stąd spadaj.

– Nie widzi pan, że jest ranny? Trzeba go odstawić do szpitala. Wymaga opieki lekarskiej.

– Zaopiekują się nim, nie martw się. Na komisariacie.

Mężczyzna chwycił Matthew za kłapy kurtki.

– Nie jesteś chyba Francuzem? Co to za akcent? – zamruczał, chwytając go za szyję i przyciskając do ściany. – Deutsch? Angielski? *Engleesh*? – zapytał, kładąc nacisk na ten ostatni przymiotnik, żeby Matthew lepiej go zrozumiał, po czym kopnął chłopaka w kostkę. Buty okute miał metalowymi noskami. – A wiesz, człowieczku, że właśnie załatwiłeś sobie deportację?

Matthew wił się bezradnie w uścisku policjanta, którego długie, orzechowobrzazowe paznokcie drapały go w kark. Oddech tajniaka przesycony był zapachem gauloisów.

Wtedy, niby za sprawą czarów, jak spod ziemi wyrósł przed nimi Guillaume. Trzymał w dłoni niewielki kamień. Policjant nie miał więcej czasu niż sekundę lub dwie, by zarejestrować jego obecność, zanim Guillaume mocnym uderzeniem wbił mu kamień w twarz.

Cios zupełnie zaskoczył tajniaka, który z jękiem chwycił się za nos. Z jego nozdrzy natychmiast trysnęła krew. Fiołkowe okulary zwiślały mu z ucha jak bezwładna flaga.

Guillaume odciągnął przyjaciela na bok.

Matthew popatrzył na leżącego na mokrym chodniku chłopaka.

– A on? Czy nie powinniśmy...

– Oszalałeś? Nie rozumiesz, w co się wpakowaliśmy?

Z zaniepokojoną Danielle u boku połączyli się znów z tłumem demonstrantów spychanych na skrzyżowanie z placem de l'Odéon niczym wpadający do morza strumień.

Skrzyżowanie było pustkowieм zniszczenia. Niespotykana skala dewastacji, powywracane samochody, płonące autobusy, zdemolowane kafejki, splądrowane restauracje, ostatni ranni, którzy uciekali, kulejąc, bocznymi uliczkami – wszystko to uświadomiło im jasno, że starcie, jakie przed chwilą oglądali, było zyczajną potyczką w porównaniu z wielką bitwą, po której krajobraz stanowiła rozciągająca się teraz przed ich oczami scena.

Na środku placu stała barykada. Aby ją zbudować, manifestanci w ciągu kilku godzin zrąbali platany rosnące przy bulwarze Saint-Germain od kilkuset lat. Bitwa dobiegła końca, wygrana i przegrana, a barykada tarasowała wciąż drogę na niemal wyludnionej już ulicy. Żałosna, niestrzeżona, nadawała się najwyżej na ognisko.

Jakiś starzec z czarną przepaską na oku znalazł schronienie w wejściu do kina „Danton”. Pod jego stopami chrzęściły kawałki szkła, on zaś przyglądał się pobożowisku, usiłując pojąć, co się stało. W jego zdrowym oku pojawiły się łzy. Nie kierując swoich słów do żadnego konkretnego słuchacza, zawołał:

– Łotry! Łotry! Te drzewa były częścią historii Paryża. Zniszczyliście historię!

Nie zrozumiał jeszcze, że historia zrealizowała się przed chwilą w tym miejscu, tworzy się ją bowiem, także ścinając drzewa, jak robi się omlet, rozbijając jajka.

Przy wejściu do metra stał słup ogłoszeniowy, na jego szczycie zaś, niczym ów Quasimodo z Empire State Building, King Kong, przykucnęła brzuchaty, brodaty młodzieniec w jasnozielonej wiatrówce. Kilkakrotnie usiłował wstać, prostował się chwiejnie, po czym opadał z powrotem na kolana, w końcu jednak udało mu się utrzymać równowagę. Przyglądał się zniszczeniom ze szczytu słupa i można było niemal odnieść wrażenie, że lada chwila zabębni radośnie pięściami we własną pierś.

Czy to dlatego, że poszli za głosem instynktów, czy też dlatego, że ulegli panicznemu naporowi demonstrantów, Guillaume, Danielle i Matthew przedzierali się dalej południowym chodnikiem – minęli kino „Danton”, *bouche du Métro*, słup ogłoszeniowy, i wypadli na ulicę Racine.

Bramy École de Médecine stały otworem, ale wstępu na dziedziniec uczelni strzegli rygorystycznie, o ile w zaistniałych warunkach było to możliwe, dwaj młodzi wartownicy. Dziedziniec był zapchany manifestantami, którzy znaleźli tam schronienie niczym uchodźcy szukający azylu na terenie obcej ambasady. Brudne, białe ściany szkoły pokrywały odbite na powielaczu plakaty ogłaszające posiedzenia rozmaitych komitetów, spotkania i zgromadzenia, ale te plansze zostały już częściowo pozaklejane tekstami śmiałych manifestów, ultimatów oraz wykonanych za pomo-

cą szablonów karykatur Grimauda, prefekta policji, Marcellina, ministra spraw wewnętrznych, i prezydenta de Gaulle'a.

Unoszeni w ścisku głębiej i wyżej, przyjaciele wkroczyli na schody i weszli do budynku, który, o czym jeszcze nie wiedzieli, był „okupowany” od przeszło dwóch dni.

Atmosfera domu wariatów, królująca tego popołudnia w École de Médecine, wydawałaby się nienormalna, chwiejna i fantastyczna nawet tym, którzy mieli doskonałe rozeznanie w sytuacji i byli *au fait*, mogli więc wytłumaczyć każde szaleństwo albo ekscentryczność, jak i usprawiedliwić wszelkie odstępstwa od normy.

Studenci medycyny, którzy ledwie przekroczyli dziewiętnasty rok życia, snuli się po korytarzach w maseczkach chirurgicznych na wypadek ataku gazem łzawiącym.

Nad drzwiami, prowadzącymi do głównej sali operacyjnej, jakiś dowcipniś przemyślnie umocował trupią czaszkę i skrzyżowane piszczele – nie zwykłą piracką flagę, lecz najprawdziwszą ludzką czaszkę i kości.

W uczelnianej umywalni o ścianach przebarwionych niby gnijące zęby na ławce z twardych, brzozowych sklejek siedziało czworo studentów. W jednym kącie pomieszczenia tkwiła poczerwiała porcelanowa umywalka, którą otaczały linie metra odsłoniętych, lepkich od brudu rur, w drugim zaś widniało niewielkie podłużne okienko, okalające szary jak dachówka, usiany kominami widok na budynki Lewego Brzegu. Na skraju ławki z prawej strony siedziała młoda kobieta o rumianej cerze i opadających jej kaskadą na plecy marchewkowych włosach. Ubrana była w sięgającą kostek białą sukienkę, której barwny wzór przypominał ławicę małych, ruchliwych rybek tropikalnych. Miejsce po jej lewej ręce zajmowała ostrzyżona krótko „na chłopczycę” nastoletnia dziewczyna. Miała na sobie pasiastą pomarańczową sukienkę na cienkich ramiączkach, opinających jej nagie ramiona, i grała na mandolinie. Następne miejsce w szeregu zajmował chłopak o łagodnych rysach, w białej koszuli ze stójką i luźnych kremowych spodniach – u jego bosych stóp stały równiutko buty, w które ich właściciel wcisnął skarpetki zwinięte w kulki, jakimi lubią się bawić młode kocięta. Wreszcie z lewej strony, niestrudzenie chłodząc się prostym, chińskim wachlarzem z karbowanego czarnego papieru, siedziała nieco dojrzalsza i brzydsza kobieta. Jej nieosłonięte



stanikiem piersi kołysały się to w tę, to w tamtą stronę pod niemal przezroczystą bluzką koloru morwy. U jej stóp leżała na wpół uśpiona dziewczynka w niebieskim dzinsowym kombinezonie. Włosy dziecka rozsypały się na gołych deskach podłogi. Cała czwórka cicho i melodyjnie śpiewała „Michelle”.

Najbardziej fantastyczne było jednak to, że w piwnicy tego samego gmachu, w uczelnianej kostnicy, na lśniących wózkach leżało sześć nagich, zmrożonych na kość trupów.

Śmierć czasami nokautuje człowieka, czasem zaś wygrywa z nim na punkty. Tak czy inaczej, pośmiertnie wznosi przeciwnikowi pomnik. Spoczywające w zimnej, białej komorze, wystawione na stoickie spojrzenia i obsceniczne komentarze posągi śmierci, jej pokruszone, zapylone gipsowe odlewy, wydawałyby się martwe nawet umarłym. Były przeżarte śmiercią, jak umierający bywa przeżarty rakiem. Nawet Jezus nie mógłby przywrócić ich do życia.

Wokół zwłok bez końca ciągnęła się dyskusja. Czy jeśli uczelnia zostanie oblężona, należy wynieść trupy na dziedziniec i wyrzucać je przez ogrodzenie na głowy policjantów z CRS?

Oczywiście, istniał w tej kwestii subtelny precedens w osobie Cyda, którego trup umocowany w siodle poprowadził hiszpańską armię do bitwy przeciw Maurom. Nikt jednak nie wiedział, co począć. Nikt nie śmiał podjąć decyzji. Młodzi ikonoklaści nie potrafili posunąć się poza zwłoki.

Godzinę później do akademii dotarła wiadomość, że policjanci zmienili kierunek natarcia i prą bulwarem w stronę Saint-Germain-des-Prés. Studenci, którzy szczęśliwie nie mieli dyżuru i których nazwiska nie widniały na liście „okupacyjnej” na tablicy ogłoszeniowej w holu głównym, postanowili wymknąć się na ulicę i wrócić do domu.

Bojąc się zasięgać informacji i pytać o cokolwiek, by nie wystawić się na pośmiewisko, Guillaume, Danielle i Matthew skorzystaliby z okazji i cichaczem opuścili budynek.

Nieobecność przechodniów, wstrzymany ruch uliczny i brak neonów nadawał skrzyżowaniu de l'Odéon wygląd ogromnego, wietrznego planu filmowego. Wszędzie wzdłuż dopływów placu, na ulicy de Condé, des Quatre-Vents, de l'Ancienne Comédie i Hautefeuille demonstranci dwójkami, trójkami i czwórkami, zakrwa-

wieni albo cali i zdrowi, schodzili cichutko z opuszczonej już sceny, na której rozegrał się dramat. Na szarym końcu biegł młodziutki chłopak w berecie barwy marynarskiego błękitu i obszernym, staromodnym płaszczu typu *macferlane*. Na chwilę przerwał ucieczkę, by, wykonawszy figlarny piruet Murzynka w peruce, który odzyskuje chusteczkę Marschallina w ostatniej scenie „Kawalera srebrnej róży”, sięgnąć do rynsztoka po zakrwawiony, czerwony fular, upuszczony przez uciekającego tędy wcześniej towarzysza.

Prawem zupełnie nieoczekiwanego kontrastu plac Saint-Michel został tego popołudnia oszczędzony, jednak spośród licznych wychodzących na fontannę piwiarni tylko jedna była wciąż otwarta dla klientów. Gdy przechodzili obok z zamiarem przekroczenia mostu Saint-Michel, by dostać się na Île de la Cité, a potem znów przejść na drugą stronę Sekwany mostem leżącym dalej na południe, ktoś siedzący w piwiarni zastukał głośno w szybę.

– Guillaume! Guillaume!

Był to niejaki Dauphin. W rzeczywistości miał na imię René, ale odkąd sięgali pamięcią, był znany wszystkim pod tym po części królewskim, po części zaś zwierzęcym przezwiskiem. Książę i delfin: zważywszy na jego ceremonialną galanterię obywatela Starego Świata, roztrzepotane ramiona i milczący śmiech, który zawsze wstrząsał wysoką, barczystą postacią Dauphina, można było uznać, że reprezentuje zarówno świat zwierzęcy, jak i ludzki.

Był o rok starszy od Guillaume’a i kiedyś chodził z nim do jednej klasy. Stracili kontakt, gdy Dauphin wstąpił na jedną z paryskich politechnik na studia ekonomiczne.

Jeszcze w szkole hołdował bardzo konserwatywnym i prokapitalistycznym poglądom politycznym. Czytywał „Wall Street Journal”, który musiał prenumerować u głupekowatego kioskarza, i niedbale mawiał, że „idzie spotkać się ze swoim bankierem”, choć w istocie miał na myśli zwykłą wyprawę do banku. Mimo to, w świecie do tego stopnia cynicznym, że można w nim wątpić nawet w uśmiech dziecka, Dauphin cynikiem nie był, a Guillaume darzył go ogromną sympatią.

Weszli więc do środka.

Dauphin stał samotnie przy szybie ze szklanką piwa w ręku. Zmienił się nie do poznania. Zamiast niemal parodystycznie wytwornego ciemnego garnituru, który w szkole stał się jego znakiem

rozpoznawczym, miał na sobie skórzaną kurtkę lotniczą, ozdobioną egzotycznymi wzorami i paskudnym futrzanym kołnierzykiem, marmurkowe džinsy oraz rozpiętą szeroko pod szyją kraciastą koszulę. Jeszcze dziwniejsza była fryzura Dauphina, ogolił bowiem głowę zupełnie na łyso, jeśli nie liczyć grubej chińskiej kitki.

Przez chwilę zdezorientowany Guillaume nie mógł się zdecydować, czy powinien roześmiać się w głos, czy nie. W końcu wskazał czubek głowy Dauphina.

– Co to ma być?

Dauphin pogładził się po łysej czaszce.

– Chyba do twarzy mi z tą kitką, nie? Ale to długa historia. Postawię wam coś do picia.

Pocałował Danielle, a potem został przedstawiony Matthew, którego, nie będąc kinomanem, widział pierwszy raz w życiu.

Poprosili jednak o coś do jedzenia – kanapki albo *croque-monsieurs*.

– Coś do jedzenia? Ano, zobaczymy – odparł Dauphin, zerkając przez ramię na bar. – Brakuje przecież żywności. Ale zobaczę, co się da zrobić.

Nie rozumieli, dlaczego Dauphin mówi o braku żywności. Nie rozumieli jednak także mnóstwa innych rzeczy.

Gdy wrócił, niosąc kanapki z szynką i coca-colę, Guillaume znów zadał mu to samo pytanie.

– No więc? Skąd ta kitka?

– Mieszkałem ostatnio w Mongolii.

Dauphin wyraźnie rozkoszował się wrażeniem, jakie jego sensacyjne oświadczenie zrobiło na przyjaciółach. Nie zawiódł się na nich.

– Spędziłem siedem tygodni na pustyni Gobi wśród koczowników.

– A twoje studia? Politechnika?

– Ach, studia...

Dauphin spojrział przed siebie nieobecny wzrokiem, jak gdyby studia należały do dawno minionych etapów jego życia.

– Rozejrzyj się dokoła, Guillaume. Historia, wiedza i wyobrażenia wyszły na ulicę. Są w powszechnym obiegu i przestały być prywatną własnością. Przestały być prywatną własnością elity, rozprowadzającej je wyłącznie wśród tych, których ona uważa za godnych owych darów. Jeżeli nauczyłem się czegoś na politechni-

ce, to tego, że słowa *mistrz*, *pan* i *nauczyciel* niczym się nie różnią. Bo „nauczyciel i student” znaczy dokładnie to samo, co „pan i sługa”.

– Nie wiedziałam, że „Wall Street Journal” dociera także na pustynię Gobi – zauważyła oschle Danielle.

Nie mogąc powstrzymać się od szerokiego uśmiechu, Dauphin, niewątpliwie ze złośliwą przyjemnością, ograniczył odpowiedź do partyjnego sloganu:

– Nie czytuję faszystowskich szmat.

Guillaume i Danielle nie mogli się nadziwić temu oszustowi, który udawał Dauphina.

– Co się z tobą dzieje? – zawołał Guillaume. Z otwartymi ze zdumienia ustami wpatrywał się w ocalałych uczestników bitwy, popijających spokojnie piwo i colę niby w przerwie między zajęciami. – I w ogóle, co się dzieje z wami wszystkimi? Co się dzieje z Paryżem? Skąd te wszystkie barykady i suki CRS? Co tu się wyprawia, na litość boską?

Teraz z kolei Dauphin wyraził niedowierzanie.

– Jak to co się dzieje? Pytasz poważnie?

– Tak – odparł Guillaume.

– Naprawdę nie wiesz? – Dauphin przypatrywał się twarzy przyjaciela w poszukiwaniu śladów ironii albo innego znaku, który świadczyłby o tym, że Guillaume z niego kpi.

– Nie! Słowo daję, że nie.

– No, to gdzieś ty się podziewał?

– Gdzie? Wyjechałem...

– Wyjechałeś? A w jaki sposób wróciłeś? Jak udało ci się wjechać z powrotem do kraju?

– Powoli... Wszystko po kolei.

Dauphin mógł tylko odwzajemnić puste spojrzenie Guillaume'a. Wargi miał rozwarłe w półuśmiechu, a jego uniesione brwi wyglądały jak dwa krzaczaste półkola.

Uwierzył w końcu, że z powodu, którego nie potrafi na razie zgłębić, jego przyjaciele nie wiedzą zgoła nic o niepokojach, jakie wstrząsnęły uniwersytetem w Nanterre, potem innymi uczelniami, a wreszcie całym Paryżem, rozlewając się „na wszystkie cztery strony Sześciokąta”, jak mawiają czytelnicy gazet, i zrelacjonował im legendę wydarzeń, znanych już wtedy jako *les événements de mai*.

Dopiero teraz dowiedzieli się, w jaki sposób zwolnienie znanego im doskonale Henri Langlois z posady dyrektora Kinoteki Francuskiej stało się Sarajewem owych *événements* i w jaki sposób ów incydent doprowadził co najmniej do skryształizowania ducha wiszącej w powietrzu rewolucji, a więc w istocie do rozdmuchania płomienia, który przechodził następnie z rąk do rąk, niby znicz olimpijski...

– Czy Paryż płonie? – wrzeszczał Hitler w słuchawkę do generała von Choltitza w czerwcu 1944 roku.

Cóż – teraz Paryż płonął. Płomienie przewrotu lizały ulice, domy, klasy społeczne, serca i umysły. Bez względu na to, co jeszcze przyniosła paryżanom ta pożoga, niewątpliwie zapewniła mieszkańcom permanentny spektakl plenerowy, widowisko, amatorskie przedstawienie teatralne, misterium. Niewiele brakowało, by mogli każdego wieczora zaglądać do „Pariscope”, chcąc sprawdzić, których inscenizacji nie powinni przeoczyć.

Michel Foucault był gwoździem programu w amfiteatrze Maubert-Mutualité, Sartre na Sorbonie, a Jean-Louis Barrault i Madeleine Renaud dzielili scenę z publicznością w teatrze de l’Odéon.

Klejki formowały się bardzo wcześnie, a choć miejsca siedzące osiągały bardzo wysokie ceny, często pozostawały wyłącznie miejsca stojące.

W tych przedstawieniach mógł wziąć udział każdy. Staruszki wylewały z siódmego piętra miski lodowatej wody na głowy policjantów z CRS, po czym zamykały okna i zaciągały zasłony z animumem zadającym kłam ich wiekowi i pozycji szacownych obywaterek. Wzburzone matki krążyły wokół takiej czy innej manifestacji, wypatrując wśród demonstrantów swoich nastoletnich latorośli – a znalazłszy dzieci, nacierały im uszu, besztwały bezlitośnie i zaciągały do domu, głuche na odwieczną wymówkę, że „kumplom rodzice pozwolili zostać”. Lecz studenci nie byli bynajmniej najmłodszymi z ulicznych bojowników. Albowiem kiedy relegowano pewnego ucznia z Lycée Condorcet, licealiści Paryża postanowili ogłosić własny strajk. Odrzucając pióra i drewniane piórniki, maszerowali uroczyście ulicami Lewego Brzegu ramię w ramię ze swoimi starszymi braćmi i siostrami. Przypominało to krucjatę dziecięcą.

– Co dalej? – pieniał się oburzony autor czołówki w „Le Figaro”. – Czy mamy oczekiwać, że po nich powstaną brzdące ze szkół podstawowych?

Potem Dauphin wymienił nazwisko młodego Niemca, Daniela Cohn-Bendita.

Ów Cohn-Bendit nosił pseudonim Dany le Rouge. Reprezentował ulicę, rozmawiał z nią i stał się jej rzecznikiem. Czarował ją niczym Orfeusz zwierzęta. Gdziekolwiek szedł, ulica podążała za nim. Gdy wchodził do wnętrza, wypełniał je natychmiast plenerową atmosferą ulicy, dyskusji i polemik.

Przedtem ulica zawsze zatrzymywała się bojaźliwie na progach domów. Teraz, kiedy prowadził ją Dany, każdy dom szeroko otwierał jej drzwi. Ulica wchodziła. Siadała. Rozgaszczała się. A Dauphin twierdził, że nadejdzie dzień, kiedy Zgromadzenie Narodowe zostanie otoczone przez wszystkie ulice Paryża i Dany wedrze się na sale parlamentu, niesiony na ramionach swojego ulicznego dworu – procesji, promieniującej od jego osoby jak od człowieczego placu de l'Étoile.

Zrozumieli, że Dauphin nie jest już człowiekiem, którego znali przed laty.

Przeistoczył się w tyglu historii jak kulka wosku w ogniu: kulka zmienia w płomieniach kolor, kształt, fakturę oraz zapach i właśnie z powodu tych zmian uznajemy, że mamy do czynienia z woskiem. Gdyby bowiem przemiany nie zachodziły, rzeklibyśmy: *Ależ to nie jest wosk.*

Był to więc jednak ten sam dawny Dauphin, szczerzy i żarliwy jak zawsze – a zmianie uległ jedynie podmiot jego szczerości i przedmiot żarliwości.

– Ależ, Dauphin – powiedział Guillaume. – To nie jest pierwszy strajk na uniwersytecie. Pora chyba się do nich przyzwyczaić.

– To, co widzieliście dzisiaj, to jeszcze nic! Nie chodzi już tylko o studentów czy o uniwersytet, ani nawet o Paryż. Strajkuje cała Francja. Nie działają telefony, pozamykano banki, nie funkcjonuje poczta, zapasy benzyny są na wyczerpaniu. To strajk generalny, rozumiecie? Studenci i robotnicy zjednoczyli siły, tworząc wspólny front przeciwko wspólnemu wrogowi!

Gdyby mogli, zapadliby się pod ziemię. Kraj został wyrócony do góry nogami, a oni nie mieli o tym zielonego pojęcia. Dopiero teraz zrozumieli, dlaczego nikt nie zatelefonował z Var, dlaczego poeta i jego małżonka dotąd nie wrócili, a ciotka z „Le Nègre Bleu” przestała się nimi interesować – i dlaczego pozwolono im żyć tak długo pod kalekimi rządami izolacji i chaosu.

W kafejce zrobiło się zbyt tłoczno, postanowili więc wyjść i znów znaleźli się na placu Saint-Michel. O chodnik bębnił zacinający deszcz, szalała bowiem wichura, która zmuszała przechodniów, by pochylali się nisko jak cyrkowi klauni na koturnach.

– Coś mi się zdaje, że dojrzeliście do reedukacji – powiedział Dauphin i dodał tajemniczo: – Chodźcie do Maspéra.

Danielle poprosiła o papierosa.

– Kim albo czym jest Maspéro? – zapytała, osłaniając w dłoniach iskrę, którą usiłowała rozpaść na wietrze w płomień.

Dauphin obrzucił ją zdumionym spojrzeniem.

– Naprawdę, zachowujecie się jak przybysze z Marsa. Chodźcie, pokażę wam.

Okazało się, że Dauphin prowadzi ich do księgarni położonej kilka kroków dalej, za rogiem, na ulicy Saint-Séverin. Nazwisko właściciela brzmiało „Maspéro”, a szyld nad wejściem głosił: La Joie de Lire.

Ściany wewnątrz zaklejone były manifestami równie gęsto jak w École de Médecine; obok widniały wypisane szablonami hasła, rykoszetujące jedno od drugiego, a także plakaty, których głównymi motywami były pękające łańcuchy, długie szeregi czarnych od sadzy kominów fabrycznych i wzniesione pięści, trzymające bomby albo róże.

Ekspozowane miejsce zajmowały w księgarni sitodrukowe portrety Che Guevary, Mao Tse-tunga i Ho Szi Mina.

Pierwszy z przedstawionych na portrecie mężów z uwagi na symetryczną, dziwnie bezmyślną twarz, która zdawała się jedynie wypełniać puste miejsce między kruczoczarnymi, kręconymi włosami, czarnym beretem, gęstymi, czarnymi brwiami i jeszcze gęstszą czarną brodą, przypominał plamę atramentu z testu Rorschacha; drugi odznaczał się lśniąca, przymilnie enigmatyczną aparycją eunucha, trzeci zaś, prezentujący charakterystyczne dla mandarynów

dołki na policzkach i skąpą, kozią bródkę, upodabniał się do jednej z tych osobliwych postaci, których oblicza widziane z drugiej strony ujawniają inną, nieco mniej przekonującą twarz, niczym karykatury autorstwa Rexa Whistlera.

Wszystko wskazywało na to, że klienci traktują La Joie de Lire bardziej jako bibliotekę niż sklep. Książki o wytfuszczonych, a czasem pozaginanych na rogach stronicach, leżące niedbale na stołach albo poupychane byle jak na sztorc na białych, drewnianych półkach, konsumowali nieśpiesznie ci sami młodzi ludzie, którzy przed blisko godziną demonstrowali na ulicach, teraz zaś opierali się o ściany albo siedzieli w kucki na gołej podłodze, nie zdradzając najmniejszej chęci zakupu. Nawet sprzedawca kołyszający się na krześle, które runęłoby, gdyby wychylić je choć krztynę dalej, wyciągnął leniwie nogi na kontuarze i z niewzruszoną miną czytał dzieła Róży Luksemburg.

W kącie stała grupka studentów z Ameryki Łacińskiej. To, skąd pochodzili, można było poznać po żywiołowej maestrii, z jaką prezentowali berety *à la Che*, podkute buty z cholewami, równie trudne do zasznurowania jak węzły marynarskie, i staromodne, typowe dla rewolucjonistów okulary o okrągłych soczewkach. Jednak nic tak absurdalnie nie rzucało się w oczy w ich stroju jak zielono-beżowe panterki maskujące.

Nie było wątpliwości, że gardzą ludźmi, których uważali za profanów, czyli fotelowych partyzantów. Palili maleńkie, zaślinione cygaretki, które zwisały im ukośnie z ust, rozsiewając wokół aromat pieprzu. Zaciągnąwszy się, za każdym razem musieli zapalać je na nowo. Nosili z dumą wąsiki *à la Zapata*, równie fałszywe, jak wąsy, które malują dzieci na tablicach reklamowych, i uważali się, nie całkiem słusznie, za uchodźców politycznych.

Dauphin, a za nim pozostała trójka, zaczął wybierać ze stołu książki tak mechanicznie, jak gdyby kupował jedzenie w supermarkecie: najpierw sięgnął po „Manifest Komunistyczny”, potem po książki Marksa, Engelsa, Lenina, Bakunina, Gramsciego i Althussera, by w końcu wziąć zbiór esejów teoretycznych Brechta.

Były to srogo i surowo wyglądające dziełka. Ich ponure, czarno-czerwone okładki przywodziły na myśl maleńkie broszurki rewolucyjne. Niewątpliwie zakłóciłyby patrycjuszowski spokój zdobionych pięknymi, czerwonymi obwódkami białych tomów



wydawnictwa Gallimard, które monopolizowały niemal bibliotekę ojca Guillaume'a i Danielle. Poeta odrzuciłby te tanie, kieszonkowe książki z pogardą, jaką kolekcjoner dzieł sztuki żywi dla reprodukcji – i zadrżałby z przerażenia na widok przypisów pełzających ku górze z dołu każdej strony jak rtęć w termometrze.

– Przeczytajcie to – powiedział Dauphin. – Wszystko. Może wtedy zrozumiecie, jak i dlaczego za chwilę zmieni się świat.

– A gdzie jest „Das Kapital”? – zapytała Danielle, przeglądając książki. – Czy nie powinniśmy wgrzyźć się najpierw w „Das Kapital”?

– „Kapitał” to Biblia – (dla świeżo wtajemniczonego Dauphina dzieło to istniało już tylko w jego ojczystym języku). – To jedna z najważniejszych ksiązek, jakie kiedykolwiek wyszły drukiem. Jest jednak o wiele za trudna na początek. Musicie zasłużyć na to, żeby ją przeczytać.

– Boże, Dauphin, a czym my zapłacimy? Nie zauważyłeś, że nie mamy ani grosza przy duszy?

– Znam tego faceta za ladą. Po prostu weźcie te książki. Wszyscy tak robią. Zapłacicie, kiedy będziecie mieli pieniądze.

Oczy wciąż piekły ich od gazu łzawiącego, gdy wyszli z księgarni i ruszyli przed siebie bulwarem Saint-Michel. Na skrzyżowaniu z Saint-Germain unosił się całun siarkowego, szarego niby popiół dymu, jak gdyby niezdecydowany, w którą stronę popłynąć.

Rozmawiali. A ściślej mówiąc, perorował Dauphin, podczas gdy Danielle, czując się w swoim żywiole, atakowała każdą niespójność jego wywodów. Guillaume ograniczał się do wtrącanych od czasu do czasu kostycznych uwag, Matthew zaś, którego, być może, znów ogarnęła nieśmiałość, szedł dwa kroki za nimi.

Gdyby przytoczyć szczegóły argumentacji Dauphina, piskliwe i uroczyście zapewnienia o przemianie świata oraz naiwną wiarę w nieuchronną insurekcję mas, jego oracja niewątpliwie zabrzmiałaby banalnie i stereotypowo.

A przecież nie była banalna, albowiem mówienie o przemianie świata jest samo w sobie środkiem mogącym go zmienić, a już na pewno mogącym zmienić tych, którzy o zmianie mówią. I tak, powoli, stopniowo, nie w pełni zdając sobie sprawę, co się z nimi dzieje – nawet jeśli należeli tylko do owej arystokratycznej rasy rewolucjonistów, których bardziej fascynuje upadek i smakowite

gnicie starego, konającego porządku niż problematyczne narodziny nowego – Guillaume i jego siostra ponownie znaleźli się pod jarzmem uroku sprawy, o którą chcieli walczyć, jak pod urokiem nowego, ekscytującego narkotyku. Dla nich, urodzonych nałogowców, terminy „sprawa”, „urok” i „narkotyk” posiadały znaczenie niemal synonimiczne.

Jeśli zaś chodzi o Matthew, to niczym Madonna z ulicy Hoche czy miał otwarte, choć wydawało się, że są przymknięte – tak czy inaczej na tyle, by nie dało się zgłębić ich spojrzenia.

Rozmowa będąca echem setek innych rozmów, jakie słyszało się w maju tamtego roku, zanosła ich aż do sklepu „Drugstore” na Saint-Germain-des Prés. Dokładnie o wpół do piątej po południu.

O tej godzinie sklep na bulwarze wyglądał jak migotliwa oaza ciepła i światła.

– Wejdźmy do środka – zaproponowała Danielle, po czym zwróciła się do Dauphina: – Pożyczylbyś mi pieniądze na papierosy?

„Drugstore” na Saint-Germain graniczył z jednej strony z apteką, sygnalizującą swą obecność słabowitym zielonym neonem w formie krzyża, z drugiej, obok piwiarni „Lipp”, z trafiką, przed wejściem do której wisiała do góry nogami mała czerwona gaśnica. Wśród tych przybytków, przed oszklonym tarasem, na którym młodzi kelnerzy w kraciastych blezerkach podawali gościom lody bananowe i brzoskwiniowe melby, skrycie lub wyzywająco otwarcie patrolowały swój rewir męskie prostytutki, wystrojone w najnowsze kreacje mody najstarszego zawodu świata.

Przeszli na drugą stronę pustego bulwaru.

Kiedy Danielle poszła kupić papierosy, Guillaume, Dauphin i Matthew weszli do tej części sklepu, gdzie sprzedawano gazety i czasopisma. Klientela, podobnie jak w księgarni Maspéra, przeglądała prasę leniwie niczym w poczekalni u dentysty.

Schody po lewej stronie prowadziły na górę, do restauracji. Stoliki rozstawione były wokół niewielkiej kolistej galeryjki z widokiem na parter. Ściany odnowiono, zdobiąc je olbrzymimi, rzeźbionymi w brązie ustami Brigitte Bardot, Catherine Deneuve i Elsy Martinelli. Dalej na lewo podobne schody wiodły do drugiej, niemal identycznej restauracji. Kolejne schody w głąbi prowadziły w dół, do sklepu w suterenie, sprzedającego zabawki, książki

i kojące zszargane nerwy zapracowanych dyrektorów kosztowne gadzety, jak szereg wiszących na kole pasowym stalowych kulek, klekoczących rozkosznie po wprawieniu w ruch albo prostokątny, szklany pojemnik, zamontowany na hydraulicznej podstawie i wypełniony do połowy rtęcią, w którym, kiedy pociągnęło się przełącznik, powstawała fala Hokusai.

Choć widok z oszklonego tarasu zasłaniała flotylla furgonetek CRS, stojących na długości całego bulwaru, i choć na chodniku naprzeciwko, przed kawiarniami „Deux-Magots” i „Flore”, bezczynnie stali niewidoczni policjanci w płaszczach, chuchając w złożone dłonie i zabijając ręce, by się rozgrzać, goście w restauracji wciąż zajadali hamburgery, sałatki nicejskie, osso bucco i brzoskwińowe melby, jak gdyby nigdy nic – jak gdyby nie był to ten właśnie maj, tylko pierwszy lepszy inny.

Mężczyźni wystrojeni byli we włoskie marynarki z głębokimi rozcięciami na plecach i rozpięte pod szyją koszule o falbaniastych mankietach oraz długich, szerokich, spiczastych kołnierzykach, wyłożonych na kłapy marynarek. Kiedy wstawali, w promieniach światła połyskiwały złote krzyżyki i dyndające na łańcuszkach medaliony.

Bransoletki, amulety, zegarki, naszyjniki i kolczyki kobiet wypełniały „Drugstore” cichym brzękiem krowich, alpejskich dzwoneczków.

Dauphin przyglądał się tym ludziom z bacznym obrzydzeniem, które w Guillaumie i Danielle budzili goście na weselu Jacqueline. Wyobrażał sobie, jak stają przed rewolucyjnym plutonem egzekucyjnym, a bojownicy zrywają im z piersi złote medaliony i uciszają krowie dzwonki na zawsze.

– Oto *petits-fascistes* – zamruczał pod nosem. – *Petits-fascistes*, jak *petits-bourgeois*. Nadają się jedynie na śmietnik historii.

Danielle wróciła w okamgnieniu. Na ulicy Guillaume poprosił Dauphina, żeby ich przenocował.

Nie rozmawiali wprawdzie o dręczącym ich niepokojem, bali się jednak trochę, wiedzieli bowiem, że na razie nie są w stanie wrócić do mieszkania przy placu de l’Odéon. Wydawało im się, że mieszkanie leży na innej planecie, w innym wszechświecie, jak gdyby odcięto je od świata zewnętrznego na podobieństwo pokoju, w którym popełniono *crime passionel* i który na rozkaz policji

został następnie zamknięty i opieczętowany. Teraz jednak, licząc od dzisiejszego poranka, odkąd obudzili się na balkonie, łapiąc równowagę niczym lunatycy na krawędzi przepaści, stawali się znów częścią świata, przed którym zamknęli się niegdyś tak skwapliwie.

Jeżeli nawet prośba zaskoczyła Dauphina, nie okazał tego w żaden sposób. Zgodził się, nie stawiając żadnych pytań ani warunków. Oświadczył jedynie, że jedzie do domu tylko po to, by zmienić ubranie i wziąć prysznic, bo o szóstej musi stawić się na placu Denfert-Rochereau.

Tego dnia bowiem uniwersytet w Nanterre został znów otwarty. Tamtejsi studenci uznali, że takie zwycięstwo, bez względu na to, jak złudne może okazać się w końcowym rozrachunku, należałoby uświęcić demonstracją obejmującą zasięgiem cały Paryż. Wymiana ognia, do jakiej doszło tego dnia, była po prostu potyczką harcówników, poprzedzającą główną atrakcję wieczoru.

Studenci zamierzali pomaszerować pod studia telewizji ORTF, żeby potępić sposób, w jaki relacjonowano powstanie, a potem dalej, pod Pałac Sprawiedliwości, w milczącym proteście przeciw parodii prawa i porządku, która zaprowadziła wielu ich kolegów do więziennych cel.

Prefekt policji bezzwłocznie zakazał organizowania dalszych demonstracji poza gettem Dzielnicy Łacińskiej. Nie mógł się jednak bardziej mylić, jeśli sądził, że takim posunięciem wyrwie studenckiemu protestowi zęby.

Wydany przez prefekta zakaz studenci potraktowali jako zaproszenie. A Dauphin zamierzał dotrzymać terminu wyznaczonego spotkania na placu Denfert-Rochereau.

Mieszkał niedaleko wieży Eiffla, na trzecim piętrze, w dwupokojowym mieszkaniu, które wynajmował za niewielką opłatą, ponieważ wychodzące na głęboką studnię podwórka lokum było ponure jak piwnica. Guillaume nocował już kiedyś w przestronnym, skąpo umeblowanym pokoju, przylegającym do sypialni Dauphina, gdzie niczym w akademiku leżało na podłodze kilka materaców. Oprócz nich pokój mieścił jeszcze tylko dwa elementy wyposażenia – opatrzoną podpisem *La lune! dit le docteur*, powiększoną, oprawioną ilustrację z powieści Jules'a Verne'a, przedstawiającą leciwego, brodatego mężczyznę w binoklach, który stał w bujnym, lesistym

ogrodzie przed ozdobionym kryształową kopułą obserwatorium i na użytek stojącego obok młodszego mężczyzny bez zarostu wskazywał rogalik świecącego niezwykle jasno księżycy – oraz akwarium o tak nieprzeniknionej zawartości, że jego mieszkańcom (zakładając, oczywiście, że zamieszkiwały je jakieś stworzenia, w środku bowiem niczego nie było widać) mogło się wydawać, iż oto pływają w najbardziej mętnych głębinach oceanu, ponieważ w mieszkaniu panowała ciemność, a poza tym Dauphin przez kilka ostatnich tygodni był wyjątkowo zajęty i nie miał czasu, żeby zmienić wodę.

Dotarli na miejsce nieco po wpół do szóstej. Zapomniawszy, jak bardzo są wciąż głodni, spustoszyli lodówkę. Pochłonęli salami, kawałek nieco spleśniałego sera i miseczkę rzodkiewek.

Wybierając się pod prysznic, Dauphin obrzucił spojrzeniem trójkę gości.

Matthew siedział w kącie, dotykając brodą kolan. Jego górną wargę w kształcie litery M zdobił grzebień bladej, marmurowej smugi, świadczącej o tym, że przed chwilą pił mleko wprost z kartonu, dolna tworzyła zaś falistą linię, jaką dziecko mogłoby przedstawić na rysunku lecącą mewę, której dwa czarne pióra stanowiły brwi chłopaka. Danielle leżała jak nieżywa w drugim pokoju na nieposłanym łóżku Dauphina. Jej wyrazistą twarz okalały dwa bliźniacze pukle włosów, przypominając maleńką teatralną kurtynę, która mogłaby wyjść spod ręki młodego Pollocka. Guillaume rozparł się na wielkim, miękkim, wyściełanym krześle, a jego bezwładne, patykowate ciało budziło skojarzenia z rozlazłym szczeniakiem owczarka alzackiego, które z uległego, niezgrabnego, dorastającego „młodzieńca” przemieni się wkrótce, jak na tę rasę przystało, w szczupłego, żylastego i muskularnego psa.

Zapadło milczenie. Po chwili:

– No właśnie – powiedział Dauphin. – A gdzie *wy* się podziwialiście?

Znowu nastała cisza. Wszyscy milczeli, po czym odezwała się Danielle. Gestem astronoma z reprodukcji wskazała ilustrację z powieści Verne’a:

– Byliśmy tam. Na księżycu.

Wczesnym wieczorem, około wpół do siódmej, demonstranci zaczęli gromadzić się na placu Denfert-Rochereau, wdrapując się całymi tysiącami na pomnik „lwa spod Belfort”.

Następnie do wtóru okrzyków „Uwolnijcie naszych towarzyszy!” przemaszerowali bulwarem Arago pod więzienie Santé, w którego umieszczonych wysoko w górze maleńkich okienkach powiewali zza krat jeszcze mniejszymi, czerwonymi chusteczkami osadzeni, niebędący zapewne studentami.

Na skrzyżowaniu Saint-Michel i Saint-Germain policja CRS przygotowała blokadę zagradzającą studentom drogę z jednej strony na plac Saint-Michel i mosty na Sekwanie, z drugiej zaś na bulwar Saint-Germain. Fala manifestantów musiała zatem wpłynąć w ulicę Gay-Lussac i na plac Edmond-Rostand, sterczący przy bulwarze niczym nochal najślawniejszego bohatera tego dramaturga.

Wraz z nadejściem wieczoru rozpoczęła się potajemnie aktywna okupacja Dzielnicy Łacińskiej. Ponieważ większość demonstrantów została stłoczona przez funkcjonariuszy między placem a ulicą Gay-Lussac, nieliczne grupki zwiadowców, a w niektórych wypadkach pojedynczy gońcy, infiltrowali sekretnie sąsiednie ulice i place, w tym ulicę Saint-Jacques, du Panthéon, de l'Estrapade i plac de la Contrescarpe. Zaczęto też wznosić pierwsze barykady, z ogrodzeń, kratownic, kamieni brukowych, gałęzi drzew, żarliwości i potu.

Na ulicy de l'Estrapade leżał kołami do góry pusty jednopakładowy autobus. Staranował ogródek, gdzie zazwyczaj siadywały matki, by przypatrywać się zabawom swoich pociech w piaskownicy. Na widok przewróconego autobusu, którego koła przypominały zeszywniałe łapy martwego zwierzęcia, można się było zdumieć, niczym na widok powalonego drzewa, jak cudownie ogromny jest autobus oglądany pod innym kątem niż zwykle.

O dziesiątej przemyślny system fortyfikacji obronnych i skomplikowany labirynt barykad rozciągał się już od placu Edmond-Rostand na północy po ulicę d'Escarpes na wschodzie, skrzyżowanie d'Ulm z Gay-Lussac na południu i liceum Saint-Louis na zachodzie.

Niestety, barykady, które na mapach swoich architektów przypominały zapewne mosty, w rzeczywistości były ich całkowitym przeciwieństwem. Pomyślane na wzór okrętowych grodzi, by na wypadek, gdyby jedna pękła, inne powstrzymały dalsze zniszczenia, konstrukcje te na suchym lądzie uniemożliwiały jedynie obrońcom ucieczkę.

Co więcej, barykady miały służyć także jako arsenały. Demonstranci, nie dysponując bardziej wyrafinowaną bronią zaczepną niż kratownice i kamienie, stanowiące zarazem jedyne środki obronne, musieliby w przypadku szturmów policji przepiłować gałąź, na której siedzieli.

Kwadrans po jedenastej w telewizji wystąpił prefekt policji, który przemawiając do podsuniętego mu pod nos bukietu mikrofonów, tłumaczył cierpliwie, że on także kiedyś był studentem i za młodych lat nieraz oberwał policyjną pałką, dlatego rozumie studentów, a nawet im współczuje, są jednak pewne granice, toteż jeżeli przyjdzie co do czego...

Następnie zwracając się bezpośrednio do demonstrantów i używając jednego z tych eufemizmów, które bywają stokroć bardziej ponure niż określenia, jakie mają łagodzić, oświadczył, że jeśli studenci do północy nie rozejdą się do domów, na otrzymany od ministra spraw wewnętrznych rozkaz „oczyści Dzielnicę Łacińską”.

O wpół do dwunastej na linii Maginota studenckich barykad wciąż stali ich obrońcy, rozkaz ministra przekazano zatem siłom CRS.

W ten właśnie spustoszony krajobraz, paradoksalnie zarówno księżycowy, jak i oświetlony księżycowym światłem, poprzecinany barykadami, z lotu ptaka przybierający zaś niewątpliwie formę szachownicy albo kraciastego obrusa na stole w jadalni mieszkania na pierwszym piętrze przy placu de l'Odéon, wkroczyli Guillaume, Danielle i Matthew.

Z mieszkania Dauphina (który opuścił dom dwie godziny wcześniej) poszli nabrzeżami Lewego Brzegu – d'Orsay, Voltaire i de Conti – aż dotarli na ulicę Saint-Jacques.

Ich nosy, oczy, a nawet pory skóry wyczuwały już gaz łzawiący, którym przesycone były ulice. Za jego przejrzystą woalką fasady domów drżały jak powietrze na pustyni. Wokół latarni tworzyły się fiołkoworóżowe aureole. Błady, zachmurzony księżyc kojarzył się przyjaciołom z tytułem pewnego filmu Kenji Mizoguchiego<sup>16</sup>.

<sup>16</sup> Kenji Mizoguchi (1898–1956) – reżyser japoński. W tym wypadku chodzi o jego film „Opowieści księżycowe” z 1953 roku (przyp. tłum.).

Przez kilka minut stali w milczeniu u wylotu rozpościerającej się przed nimi jak na dłoni ulicy Saint-Jacques, zapomnianej teraz przez zmotoryzowanych i przechodniów. Fasady domów i obojętni, pochowani za zamkniętymi żaluzjami mieszkańcy wydawali im się obcy, anonimowi, nieznani, niczym mieszkańcy Monachium, Barcelony albo innego miasta, które Guillaume, Danielle i Matthew odwiedzali po raz pierwszy w życiu.

W tym właśnie momencie ze stacji metra na placu Saint-Michel ruszył ku nim pogrążony w półmroku zespół ulicznych grajków, złożony z marokańskiego skrzypka z „Rhumerie”, pomarszczonej staruchy z kawiarni „Flore” z akordeonem na piersiach, żydowskiego harfisty, którego niewidzące oczy wyglądały jak dwa małe sadzone jajka, skrzypaczki, najprawdopodobniej studentki konserwatorium, o włosach splecionych ciasno w mysi ogonek, Cygana z cytrą, młodego, jasnowłosego, niechlujnego Amerykanina z gitarą i wysokiego, czarnego Afrykańczyka, wybijającego palcami nieustający, pełen irytacji werbel na dwóch bębenkach, które nosił przewiązane nad kolanem.

Tworzyli niezwykle zaskakujący widok, ponieważ nikt nie pamiętał, by kiedykolwiek przedtem widywano ich razem. Ulice i place, na których zwykle grywali, tego wieczoru zostały dla nich zamknięte, spotkali się więc na placu pod gwiazdami w cieniu Notre-Dame, by zagrać, wyłącznie dla własnej przyjemności, arię z „Wesołej wdówki”.

W ten sposób Guillaume, Danielle i Matthew dogonili w końcu historię przy akompaniamencie tej dziwnej, brzękliwej muzyki, a wszystkie kolejne fazy ich związku – sesje gry w „kino domowe”, *quartier des enfants*, płyta Charles’a Treneta, tabliczka ouija i słownik – zaczęły odpływać nagle z teraźniejszości, jak odpływają w dal słupki milowe na drodze. Ulica Saint-Jacques niczym winda miała unieść ich na miejsce randki pod księżycem przypominającej schadzki, na które kochankowie umawiają się pod zegarami na dworcach kolejowych.

Zbliżając się do miejsca bitwy, dostrzegli w oddali osobiwie, jak gdyby pionowo zawieszone niebo, przypominające niezdobytą, majaczącą na horyzoncie skrwawioną ścianę, którą przecinały olbrzymie, ciężkie zeppelinowe chmury dymu. Za każdym razem, gdy wystrzelała w górę różowa albo biała flara, by opaść po chwi-



li w kaskadzie iskier z głośnym jękiem fajerwerku czy meteorytu, rozświetlały się na moment, jakby wyłącznie dla nich, akty indywidualnej odwagi i poświęcenia. Ujrzeni więc dziewczynę bijącą pięściami w pierś funkcjonariusza CRS, który przetrzącił palce towarzyszącemu jej chłopakowi – i mieszkającego w pobliżu mężczyznę w średnim wieku, który, tylko w swetrze i domowych kapciach, popędził na ulicę, by pomóc demonstrantom przewrócić własny samochód.

Szli dalej.

Cudownym zrządzeniem losu, przebiegając z lewego chodnika na prawy i z powrotem, kryjąc się w opustoszałych, wyludnionych bramach, gnając przez ulice i place (Guillaume wysforował się naprzód, a Danielle i Matthew próbowali dotrzymać mu kroku, jak wtedy, już strasznie dawno temu, kiedy pędzili korytarzami i salonomi Luwru, jak gdyby tamten wyścig stanowił jedynie trening przed dzisiejszym), zdołali w końcu dotrzeć na barykadę na placu Edmond-Rostand. Tam, pod zielonym neonowym krzyżem kolejnej apteki, przywarli do opartego na drewnianych skrzynkach poplamionego, poszarpanego materaca, z którego wyrastały kłaki żółtawobiałej wełny niczym kosmyki siwych włosów z ucha starca.

Gdy przykucnęli, kratownica cieni rozplatała im twarze na czworo niby toporem, podkreślając głębokimi krechami orzechowy kolor ich przesyconych dymem oczu.

Światło policyjnych latarek opryskiwało mury, barykadę i skryte za nią twarze gwiazdami, aureolami i śnieżnymi plamami. Tu i ówdzie pojawiał się obraz albo fragment obrazu, jakiś pospolity, uprzywilejowany całkiem przypadkowo szczegół... Otwarte z przerażenia usta, naprędcie zabandażowane ramię, wymieniony skrycie pocałunek, palec, który coś wskazuje... Ale dlaczego? Co? Kogo? Słyszać było najróżniejsze odgłosy, zgrzytliwy śmiech i narastające krzyki „CRS – SS! CRS – SS!” albo „De Gaulle morde-rca! De Gaulle morde-rca!”... Krzyki te były jednak nieco roz-synchronizowane, jak gdyby zdubbingowano je nieudolnie na ścieżce dźwiękowej filmu.

W ten sposób mijały długie godziny – albo tak im się tylko wydawało.

Trzy, cztery, pięć razy policjanci usiłowali przełamać szyki obronne manifestantów – i trzy, cztery, pięć razy musieli się wy-

cofać. Za barykadę pofrunęły granaty z gazem łzawiącym, a wtedy obrońcy naciągnęli na twarze lniane czerwone przyłbice. Wysoko w górze mieszkańcy pobliskich domów otwierali okna i rzucali na ulicę chusteczki, ręczniki lub szmaty, którymi demonstranci mogli osłaniać twarze. Potem paryżanie ruszyli po miski i dzbany, nabierali wody i raz za razem opróżniali naczynia z balkonów na ulicę – albowiem lodowato zimna woda niweczy skutki działania gazu łzawiącego.

Po lewej stronie, gdzie ulica Médicis pochyła się ku placowi de l'Odéon, funkcjonariusz CRS poddawał przesłuchaniu samotną studentkę. W aureoli światła, jaką rzucała jej pod nogi latarnia, było widać, że jest to młoda Murzynka. Stała zwrócona plecami do parkanu okalającego Ogród Luksemburski, osaczona przez policjanta, który co chwila odpychał ją na sterzące pionowo żelazne pręty. Kilka jardów dalej parkowała furgonetka CRS, przy niej zaś stało trzech dalszych policjantów. Kiedy dziewczyna uderzała głową o ogrodzenie, ci trzej liczyli chórem: – *...et trois... et quatre... et cinq... et six...*

W końcu, wściekła, doprowadzona do ostateczności ofiara, nie mogąc dłużej znieść takiego traktowania, zwróciła się przeciwko swemu prześladowcy – ściągnęła zamszową rękawiczkę i długimi, polakierowanymi paznokciami wryła na jego policzku cztery równoległe rysy tak gwałtownie i głęboko, że na barykadzie po przeciwnej stronie placu było niemal słyszeć, jak rozrywa mu twarz.

Policjant kwiknął z bólu. Ostrożnie, bardzo ostrożnie przesunął palcem wzdłuż zadrapań i przyjrzał się lśniącej na opuszcze strużce krwi. Wrzeszcząc: *Salope! Salope!*, z wściekłością uderzył dziewczynę w brzuch kolbą pistoletu. Murzynka zatoczyła się i krzyknęła – był to przeciągły, nieprzerwany krzyk. Potem, skamłając jak udręczone zwierzę, zwinęła się na chodniku, unosząc nogę w ażurowej pończosze pod osobliwym kątem, niby przeprowadzający toaletę kot.

Bez słowa, niepomny latających mu nad głową rakiet, flar i pojemników z gazem, Guillaume wstał, obszedł barykadę i skierował się na miejsce zdarzenia. Kiedy policjant ostro odwrócił głowę w jego stronę, Guillaume mocno kopnął go kolanem w krocze – tak mocno, że poczuł, jak genitalia policjanta zamieniają się pod jego ręką w galareteę.

Twarz funkcjonariusza rozłożyła się niczym strzęp szarego, zmiętego papieru.

Na swoje nieszczęście Guillaume zawahał się. Nie potrafił zdecydować, co zrobić. Powinien był wbiec w paszczę ulicy Médicis, szukać schronienia w którejś z pobliskich kamienic albo nawet przeskoczyć ogrodzenie i uciekać przez Ogród Luksemburski południową bramą. Ale on tkwił tylko nieruchomo, zeszywniały, sparaliżowany, niczym żywe wcielenie paradoksu Zenona: jak gdyby czekał, jakby chciał, by zatrzymali go ci trzej policjanci, którzy stali kilka kroków dalej.

Rozległy się policyjne gwizdki. W chwilę później Guillaume leżał rozciągnięty w pozycji embriona, zgarbiony, osłaniając dłońmi kroczę przed razami pałek.

Po drugiej stronie ulicy Danielle krzyknęła przeraźliwie, kryjąc w dłoniach twarz. Nie zważając na niebezpieczeństwo i nie zdając już sobie sprawy, co czyni, niczym bachantka albo duch zemsty ruszyła naprzód szczytem barykady, potknęła się, upadła, ocierając kolana, kostki i ręce do krwi, po czym zsunęła się na chodnik i pobięła na pomoc swojemu bratu.

Matthew został sam. Skamieniał niby posąg, ale jego serce, nad którym stracił kontrolę, wciskało pedał gazu i rwało się do przodu.

Usiłował zebrać myśli. Mówił sobie, że trzeba odwrócić uwagę policjantów... Krzywdzą jego przyjaciół, biją ich... Dlatego musi odwrócić ich uwagę.

Rozglądał się gorączkowo wśród spowijających wszystko cieni w poszukiwaniu jakiegoś znaku, broni albo rekwizytu.

Nagle spostrzegł, że biegnąc na pomoc bratu, Danielle przewróciła czerwoną flagę, wciśniętą na sztorc między dwa podłużne płyty żelaznych krat. Sztandar leżał teraz na płask na kratownicach i kamieniach brukowych.

Przypomniał sobie Pasionarię w ortalionie pod balkonem mieszkania przy placu de l'Odéon. A pamiętał jeszcze dużo, dużo więcej...

I te wspomnienia dodały mu odwagi.

Uniesie flagę raz jeszcze, zagrzeje demonstrantów, wzmocni ich morale, odwróci uwagę policji, żeby Guillaume i Danielle mogli bezpiecznie umknąć.

Wspólnie przeistoczą labirynt barykad w nić Ariadny, która wyprowadzi ich z labiryntu własnych ciał... Zagubią się w masie ciał manifestantów, jak zagubili się kiedyś w swoich ciałach... Ciała demonstrantów wchłoną ich, a wówczas staną się wszyscy jednym ciałem, jak jednym ciałem byli kiedyś Danielle i Guillaume, jak jednym ciałem stali się później w trójkę, razem z nim...

Serce zabiło mu mocno.

Czerwony sztandar spoczywał bez ruchu, samotnie, w poprzek barykady.

Popatrzył na niego surowo. Potem, niczym Edith Piaf wstępująca do nieba w kolejce linowej na Montmartre, jak gdyby słowo *Fin* zbliżało się ku niemu niby wyłaniający się z tunelu z szaleńczą prędkością pociąg, jak gdyby nawet teraz nie pojmował różnicy między życiem a kinem, między polowaniem a balem myśliwskim, choć mgliście zdawał sobie sprawę z wzniosłej absurdałości i niebywale anachronicznego patosu postawy, którą za chwilę miał przybrać, Matthew wdarł się demonstracyjnie, niczym nieosłonięty, na barykadę, pochwycił flagę, uniósł ją wysoko i stanął w pozycji pozującego do zdjęcia alpinisty albo dziewczyny z „Wolności” Delacroix. Prawą nogę, niezłomnie postawiwszy stopę na szczycie, ugiął lekko w kolanie, na lewej zaś, cofniętej, oparł ciężar ciała i ze wszystkich sił zaintonował:

DEBOUT LES DAMNÉS DE LA TERRE!  
DEBOUT...

Zabrzmiał strzał.

Wciąż powiewając flagą, Matthew zamienił się w swój własny pomnik.

Stojący po przeciwnej stronie barykady policjant CRS wpaływał się z niedowierzaniem w pistolet maszynowy. Trzymał go w wyciągniętej ręce, jak gdyby dopiero teraz zrozumiał, że broń jest naładowana.

Ściągnął z twarzy maskę przeciwgazową. Pomimo jej osłony miał w oczach łzy.

– Nie chciałem tego! – wołał raz po raz policjant. – Nie chciałem!

Matthew obrócił się do niego bokiem. Wyglądał groteskowo, usiłując postąpić kilka kroków i zejść z barykady. Szaleńczo roz-

rzucił kolana na boki, jak czarujący potwór spod National Gallery, a potem opadł bezwładnie na ziemię jak worek.

Guillaume i Danielle wyrwali się oprawcom, których strzał na chwilę jakby zaczarował.

Przyklękli z drżeniem u boku Matthew i unieśli mu głowę.

Matthew otworzył usta. Bezsilnie wysunął upstrzony cętkami piany język.

W jego ohydnie zniekształconych rysach wyczytali straszliwą prawdę – że człowiek umiera, żyjąc.

Matthew chciał coś powiedzieć.

Jednak nawet w chwili śmierci przypomniał sobie za późno, o wiele za późno, co miał do powiedzenia.

## EPILOG

### *Paryż. Październik 1968*

Starzejąc się, tracimy coraz więcej przesłanek, by żywić nadzieję na przyszłość albo cieszyć się szczęściem – ale z tych, które nam pozostają, coraz mniej okazuje się zwykłymi złudzeniami.

Był rześki, suchy wieczór na początku października. Sztormowy wiatr wiejący od esplanady Trocadéro przewracał poustawiane przez wrotkarzy butelki po coca-coli, które wirowym ruchem ślizgały się po ziemi jak „kaczki” puszczane na rzece. Na lewym brzegu Sekwany wieża Eiffła migotała niczym neon, jak gdyby wiedziała, że jest logo Paryża, prawnie chronionym osiemdziesięcioletnim znakiem firmowym miasta.

Tego wieczoru w Kinotece Francuskiej zgromadził się tłum. Taki tłum, że *rats*, dla których zabrakło wolnych miejsc, otrzymały pozwolenie, by ten jedyny raz, na przekór wszelkim przepisom przeciwpożarowym, mogły siedzieć gdziekolwiek, choćby na prowadzących na salę schodkach, w przejściach wzdłuż dwóch rzędów krzeseł, a nawet na wystrzępionym dywanie, bezpośrednio pod górującym nad widzami ogromem białego ekranu. Ci, którzy mieli najmniej szczęścia i przybyli za późno na cokolwiek, tłoczyli się w foyer. Zrozpaczeni, zabawiali się praksynoskopami i latarniami magicznymi w nadziei, że mimo wszystko zwolni się dla nich miejsce, że ktoś z siedzących na widowni może źle się poczuje albo dostanie ataku epilepsji.

Kinoteka znów otworzyła podwoje. Wobec chóralnych protestów, które zyskały na sile w obliczu wydarzeń wiosennych oraz letnich, Malraux musiał odwołać swoją decyzję i przywrócić Langois na stanowisko kuratora placówki. Jednym słowem, Malraux

poddał się. Dwie instytucje, Henri Langlois i Kinoteka Francuska, zostały znów zjednoczone.

Langlois stał na scenie w zatłoczonej sali. Ubrany był w nowy dwurzędowy garnitur, zakupiony niewątpliwie specjalnie na tę okazję, na szyi zaś miał luźno przewiązaną jedwabną chustę. Promieniał. Cała sala trzasnęła siedzeniami i wstała, by powitać powrót utracjusza żywiolową owacją.

Kurator wygłosił krótkie, stosunkowo nieśmiałe przemówienie, po czym przedstawił François Truffaut'a i Jean-Pierre'a Léauda, reżysera i aktorską gwiazdę filmu „Skradzione pocałunki”, którego projekcja miała odbyć się tego wieczoru jako *avant-première*. Filmowcom również zgotowano owację. Artyści także wygłosili mowy, a potem zeszli ze sceny. Przygasły światła. Kurtyna niechętnie rozluźniła uścisk i rozsunała się na boki.

Pierwszym ujęciem filmu był widok alei Albert-de-Mun i ocienionej, równoległej do niej ścieżki, prowadzącej do ogrodu Kinoteki. Na ten obraz została nałożona dedykacja, napisana osobiście ręką reżysera:

*„Baisers volés” est dédié à la Cinémathèque Française d’Henri Langlois*

*François Truffaut*

Kiedy panorama skończyła się ujęciem zamkniętej na kłódkę kratownicy Kinoteki i wiszącej na niej kartki z odręcznym napisem *Fermé*, salę przebiegła olbrzymia fala emocji, aluzję powitano natomiast salwą braw. Kilku widzów wstało, jak poprzednio, by klaskać i wiwatować. Inni płakali.

Potem, kiedy pojawiły się napisy czołowe, na ścieżce dźwiękowej filmu zaśpiewał Charles Trenet:

*Ce soir le vent qui frappe à ma porte  
Me parle des amours mortes  
Devant le feu qui s'éteint.  
Ce soir c'est une chanson d'automne  
Devant la maison qui frissonne  
Et je pense aux jours lointains.*

*Que reste-t-il de nos amours?  
Que reste-t-il de ces bons jours?  
Une photo, vieille photo  
De ma jeunesse.*

*Que reste-t-il des billets-doux,  
Des mois d'avril, des rendez-vous?  
Un souvenir qui me poursuit...*

*Un souvenir qui me poursuit...  
Un souvenir qui me poursuit...  
Un souvenir qui me poursuit...  
Un souvenir qui me poursuit...*

*Czyżby zacięła się płyta?*

Jeżeli tak, to tylko dla dwojga widzów. Odzyskali wreszcie swoje miejsca na samym środku w pierwszym rzędzie, które należały im się prawem starszeństwa; a kiedy słuchali Treneta, w ich oczach, jak w oczach siedzących wokół kinomanów, zabłysły łzy.

Ale łzy tych dwojga wzbierały z zupełnie innego źródła.

*La Folletière  
1987*